

Frederik Pohl
Cyril M. Kornbluth

Handlarze kosmosem

Przekład
Małgorzata Łukomska

2000

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

The Space Merchants

Data wydania:

1952

Wydanie polskie

Data wydania:

2000

Projekt graficzny serii:

Tomasz Wencek

Przełożyła:

Małgorzata Łukomska

Wydawca:

Agencja Promocji Książki „Solaris”
ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn

Box 933

Tel (fax) (0-89) 541-31-17

e-mail: apk-solaris@poczta.wp.pl

ISBN 83-88431-06-4

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

Rozdział 1

Ubierając się rano, przebiegłem w myślach długą listę danych statystycznych, wybiegów, przekłamań i wyolbrzymień, jakich można było spodziewać się w moim raporcie. Wydział, za który byłem odpowiedzialny – Produkcja – został dotknięty prawdziwą plagą zwolnień lekarskich i rezygnacji z pracy, a robota sama, bez ludzi nie posunie się do przodu i Rada z pewnością nie rozgrzeszy mnie z tego.

Roztarłem na twarzy mydło do usuwania zarostu i spłukałem je cienkim strumykiem słodkiej wody z kranu. To zbytnia rozrzutność, wiem, lecz przecież płacę podatki, a po słonej wodzie zawsze swędzi mnie skóra. Zanim zmyłem dokładnie resztki mazistej piany, woda przestała ciec z kranu już na dobre. Zakląłem pod nosem i dokończyłem spłukiwanie słoną wodą. To zdarzało się ostatnio zbyt często; są tacy, co winą za to obarczają sabotażystów Consies. W Korporacji Wodociągów Nowego Jorku przeprowadzają kontrolę za kontrolą, sprawdzając lojalność pracowników, ale jak dotąd bez rezultatów.

Poranne wiadomości zatrzymały mnie na chwilę przed lustrem... wieczorne przemówienie Prezydenta, krótka migawka o przysadzistej srebrzystej rakiem na Wenus, startującej z piasków Arizony, rozruchy w Panamie... Wyłączyłem je, kiedy zabrzmiał sygnał czasomierza nadawany w paśmie słyszalnym.

Wyglądało na to, że znów się spóźnię, co oczywiście nie pomoże mi ułaskawić Rady.

Zarobiłem pięć minut zakładając wczorajszą koszulę zamiast wkładać spinki do czystej i pozwalając, aby sok śniadaniowy zrobił się na stole ciepły i kleisty. Niestety straciłem też pięć minut próbując dodzwonić się do Kathy. Nie podnosiła słuchawki i spóźniłem się wchodząc do biura.

Na szczęście – co było wręcz niesłychane – Fowler Schocken też się spóźnił.

W naszym biurze Fowler ma zwyczaj zwoływania cotygodniowych posiedzeń Rady piętnaście minut przed rozpoczęciem normalnych godzin urzędowania. Stawia to w pogotowiu urzędników i stenotypistki, a Fowlerowi nie sprawia najmniejszego trudu. I tak co rano jest w biurze, a dla niego „ramo” zaczyna się równo ze wschodem słońca.

Dzisiaj jednak zdążyłem wziąć z biurka streszczenie przygotowane przez moją sekretarkę. Kiedy Fowler Schocken wszedł do biura, uprzejmie usprawiedliwiając się za spóźnienie, ja siedziałem na swoim miejscu przy końcu stołu, w miarę odprężony i tak pewny siebie, jak to jest tylko możliwe będąc współpracownikiem organizacji Fowler Schockena.

– Dzień dobry – powiedział Fowler, a nasza jedenastka wydała zwyczajowy, idiotyczny pomruk.

Nie usiadł, przez mniej więcej pół minuty stał przyglądając się nam po ojcowsku. Następnie, z miną dziennego turysty w Xanadu, rozejrzał się uważnie i z zadowoleniem po pomieszczeniu.

– Myślałem o naszej sali konferencyjnej – powiedział, a my wszyscy rozejrzeliśmy się wokoło. Sala nie jest ani duża, ani mała, powiedzmy dziesięć na dwanaście. Ale jest chłodna, dobrze oświetlona i bardzo okazale umeblowana. Klimatyzatory są zmyślnie ukryte za ozdobnymi frezami, boazeria jest solidna i stonowana, a każdy mebel wykonano od dołu do góry z prawdziwego, przebranego drewna.

Fowler Schocken powiedział:

– Mamy tutaj bardzo miłą salę konferencyjną. Jakże miałyby jednak być inaczej, skoro Zrzeszenie Fowler Schocken jest największą agencją w mieście. Nasze zyski są o miliony dolarów wyższe niż jakiegokolwiek innej firmy w okolicy. No i – rozejrzał się po nas – myślę, że zgodzicie się ze mną wszyscy, że jest to warte zachodu. Nie sądzę, by w tej sali była osoba, która ma mniejszy apartament niż dwupokojowy. – Mrugnął do mnie. – Nawet kawalerowie. Jeśli chodzi o mnie, nie narzekam. Z mojego letniego domu mam widok na jeden z największych parków na Long Island. Od lat nie jadłem żadnych protein z wyjątkiem nowego mięsa, a kiedy jadę na przejażdżkę, pedałuję Cadillaciem. Głód mi nie grozi. I sądzę, że każdy z was może powiedzieć o sobie to samo. Czyż nie tak?

Ręka naszego dyrektora do spraw badania rynku wystrzeliła do góry. Fowler zwrócił się do niego.

– Tak, Matthew?

Matt Runsted umie się podlizać. Rzucił wkoło wojownicze spojrzenie.

– Chcę tylko powiedzieć, że zgadzam się z panem Schockenem w stu procentach, w zupełności – wyrzucił z siebie.

Fowler Schocken uniósł głowę.

– Dziękuję ci, Matthew.

I rzeczywiście tak myślał. Minęła chwila, zanim zaczął kontynuować.

– Wszyscy wiemy – ciągnął – co spowodowało, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy dzisiaj. Pamiętamy korzyści wyciągnięte ze Starrzelius Verily oraz moment, gdy nanieśliśmy ma mapę Indias Industries pierwszy sferyczny trust. Scalanie całego subkontynentu w jeden kompleks produkcyjny. Zrzeszenie Schockena było pionierem w obu tych przypadkach. Ale to mamy już za sobą. Chciałbym się w związku z tym czegoś dowiedzieć. Możecie mi szczerze powiedzieć – czy tracimy tempo?

Przerwał, by przyjrzeć się badawczo każdej twarzy, ignorując las podniesionych do góry rąk. Dobry Boże, przecież moja też była w górze. Po chwili Fowler kiwnął na mężczyznę po swej prawej stronie.

– Ty pierwszy, Ben – powiedział.

Ben Winaten wstał i powiedział swym charakterystycznym barytonem:

– Jeśli chodzi o Antropologię Przemysłową, to nie! Przeczytajcie dzisiejszy raport dotyczący postępu prac – jest w południowym biuletynie, ale pozwólcie, że go pokrótce streszczę. Według wczorajszych wieczornych doniesień wszystkie szkoły podstawowe na wschód od Mississippi przystosowały już swoje programy wydawania obiadów do naszych zaleceń dotyczących opakowań. Sojaburgery i zregenerowany stek – nie było człowieka przy naszym stole, który nie wzdrygnąłby się z obrzydzeniem na myśl o sojaburgerze i zregenerowanym steku – są pakowane w pojemniki malowane na ten sam odcień zieleni co produkty Universalu. Lecz raczej cukierków, lodów i papierosów Kiddiebutt są zawijane w kolorową czerwień Starrzeliusa. Kiedy te dzieciaki dorosną... – triumfalnie oderwał swe oczy od notatek – według naszych przewidywań za piętnaście lat produkty Universalu zostaną rozbite, wykończone i całkowicie wyparte z rynku.

Usiadł w burzy okłasków. Schocken klaskał z innymi i promiennie patrzył na resztę. Pochyliłem się do przodu z Wyrazem Numer Jeden – gorliwość, inteligencja, fachowość – wszystko na mojej twarzy. Ale niepotrzebnie się wysilałem. Fowler wskazał na chudego mężczyznę obok Winstona, Harveya Brunera.

– Nie muszę chyba panom mówić, że Wydział Sprzedaży ma swoje specjalne problemy – powiedział Harvey, nadymając chude policzki. – Przysięgam, że ten cały przekłety rząd musi być naszpikowany przez sabotażystów Consies. Wicie, co ostatnio zrobili. Zakazali stosowania infradźwięków w naszych słuchowych reklamach, więc wymyśliliśmy specjalne zestawy słów – replik semantycznych kojarzących się z wszystkimi podstawowymi urazami i neurozami, których obawia się dzisiejsza Ameryka. Potem, przestrzegając dokładnie tych dziwnych przepisów bezpieczeństwa, zmusili nas do zaprzestania projekcji naszych komunikatów na oknach aerobusów. Ale i z tym daliśmy sobie radę. Z Laboratorium donoszą mi – skinął przez stół do naszego dyrektora do spraw badań – że wkrótce zostanie poddany próbom system projekcji bezpośrednio na siatkówkę oka ludzkiego. I na tym wcale nie koniec, ciągle idziemy do przodu. Jako przykład chciałbym wymienić produkt pod nazwą Coffiest... – przerwał. – Przepraszam, panie Schocken – szepnął. – Czy służba bezpieczeństwa sprawdziła tę salę?

Fowler Schocken skinął głową. – Absolutnie czysta. Nic oprócz zwykłego podsłuchu mikrofonowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Izby Reprezentantów. Oczywiście karmimy je spreparowanym playbackiem.

Harvey odprężył się znowu.

– Jeśli chodzi więc o Coffiest – powiedział – to próbujemy go w piętnastu kluczowych miastach. Jest to zwykła oferta – trzynastotygodniowa dostawa Coffiest, tysiąc dolarów gotówką i weekend na Riwierze Liguryjskiej dla każdego, kto się zgodzi. Ale – i tu jest to, co w moim odczuciu czyni tę kampanię naprawdę wielką – każda porcja Coffiest zawiera trzy miligramy prostego alkaloidu. Nic szkodliwego, lecz stanowczo kształtującego przyzwyczajenie. Po dziesięciu tygodniach klient znajduje się jakby w potrzasku do końca

życia, kuracja odwykowa będzie go kosztować co najmniej pięć tysięcy dolarów, tak więc prościej jest dla niego pozostanie przy picu Coffiest – trzy filiżanki do każdego posiłku plus dzbanek obok łóżka w nocy, tak jak to jest napisane na opakowaniu.

Fowler Schocken rozchmurzył się, a ja znów przyjąłem Wyraz Numer Jeden. Obok Harveya siedziała Tilda Kathis, szefowa działu kadr i prawa ręka samego Schockena. Ale on nie prosił kobiet o zabieranie głosu na posiedzeniach Rady, a obok Tildy siedziałem ja.

Właśnie układałem sobie w głowie wstępne frazy mego wystąpienia, gdy Fowler Schocken pominął mnie z uśmiechem na twarzy.

– Nie będę prosił – powiedział – by każdy wydział składał sprawozdanie. Nie mamy na to czasu. Ale usłyszałem od was odpowiedź, panowie. Odpowiedź, jaką lubię. Podejmowaliście dotąd każde wyzwanie. I w związku z tym – chcę wam rzucić nowe.

Nacisnął przycisk w swym pulpicie sterowniczym i obrócił się wraz z krzesłem. Światła na sali przygasły, projekcja Picassa wisząca za krzesłem Schockena znikła zostawiając marmurkową powierzchnię ekranu, na której zaczął się formować nowy obraz.

Obraz ten widziałem już dzisiaj na ekranie – nad lusterkiem do golenia. Była to rakieta na Wenus, trzystumetrowe monstrum, ospałe dziecię wysmukłych pocisków V2 i przysadzistych rakiet na Księżyc z przeszłości. Wokół niej stało rusztowanie ze stali i aluminium, na którym aż roilo się od małych postaci inżynierów i mechaników, którzy uwijali się z maleńkimi maszynami spawalniczymi. Obraz był oczywiście archiwalny, pokazywał raketę taką, jaką była tygodnie lub miesiące wcześniej, we wstępnej fazie budowy, jeszcze nie ustawioną pionowo do startu.

Jakiś głos z ekranu mówił triumfująco, choć nieściśle:

– To jest statek, który połączy gwiazdy!

Rozpoznałem głos należący do jednego z komentatorów Wydziału Efektów Słyszalnych, a tekst bez trudu zidentyfikowałem jako dzieło jednej z reporterek Tildy. Utalentowana grafomanka myśląca Wenus z gwiazdami musiała pochodzić z jej personelu.

– Oto właśnie statek, którym współczesny Kolumb przemierzy przestrzeń – mówił głos. – Sześć i pół miliona ton płataniny rur i stali – arka dla tysiąca ośmiuset mężczyzn i kobiet, a w niej wszystko co niezbędne do uczynienia nowego świata ich domem. Kto go zaludni? Jacy szczęśliwi pionierzy wydrą imperium z obfitej, dziewiczej gleby innego świata? Pozwolą państwo, że przedstawię niektórych z nich – oto mężczyzna i jego żona, dwoje nieustraszonych...

Głos mówił dalej. Na ekranie obraz rozpląnął się, pokazując obszerne podmiejskie osiedle wczesnym rankiem. Na ekranie mąż zwijający łóżko do ściany i zdejmujący przepierzenie kącika dziennego, żona krzątająca się przy śniadaniu i rozkładająca stół. Nad sokami śniadaniowymi i strawą dla dzieci (z parującym kubkiem Coffiestu dla każdego, jakżeby inaczej) rozmawiali przekonywująco ze sobą o tym, jak mądrze i dzielnie postąpili, zgłaszając się do odbycia podróży w rakiecie na Wenus. I po zamykającym pytaniu

najmłodszej gaduły: – Mamusiu, kiedy już będę taki duży, to czy wezmę moich chłopców i dziewczynki do miejsca tak samo ładnego jak Wenus? – nastąpiła seria niezwykle pięknych zdjęć z Wenus, ale takiej, jaką będzie kiedy to dziecko dorośnie – zielone doliny, kryształowo czyste jeziora, lśniące góry.

Komentarz nie zaprzeczał wprost, alei też nie rozwodził się nad dziesiątkami lat hydroponiki i życia w hermetycznie szczelnych kabinach, latami zmagania się z nie nadającą się do oddychania atmosferą Wenus i bezwodną chemią.

Instynktownie nacisnąłem starter na moim zegarku, w chwili gdy rozpoczął się film. Kiedy się skończył, odczytałem wskazanie: dziewięć minut. Trzy razy dłużej, niż mógłby być legalnie nadawany jakikolwiek program reklamowy. O pełną minutę dłuższy od czasu, jaki nam zazwyczaj przyznawano na antenie.

Zaraz po tym jak zapalono światła i papierosy, a Fowler Schocken rozpoczął swoje pełne werwy przemówienie, zacząłem rozumieć jak mogło to być możliwe.

Rozpoczął w wymijający sposób, który stał się już częścią naszego zawodu. Zwrócił naszą uwagę na historię reklamy – od prostego zadania sprzedaży gotowych produktów, do jej obecnej roli, polegającej na tworzeniu gałęzi przemysłu i przeobrażeniu życia ludzi celem zaspokajania potrzeb handlu. Jeszcze raz wspomniał o tym, co my sami, współpracownicy agencji Fowler Schocken dokonaliśmy w naszej ekspansywnej karierze. A następnie powiedział:

– Jest takie stare powiedzenie, panowie! „Świat jest naszą ostrygą”. Uczyniliśmy go prawdziwym. Ale tę ostrygę już skonsumowaliśmy.

Dokładnie zgasił swego papierosa.

– Zjedliśmy już ją – powtórzył. – Dosłownie i realnie podbiliśmy już ten świat. Jak Aleksandrowi, potrzebny jest nam świat do podbicia. I tutaj – wskazał ręką znajdujący się za nim ekran – tutaj widzieliście właśnie pierwszy z tych światów.

Jak już mogliście się zorientować, nigdy nie lubiłem Matta Runsteda. Jest człowiekiem wścibskim, którego podejrzewam o podsłuchiwanie, nawet wewnątrz firmy, musiał wyszpiegować projekt Wenus już dawno, gdyż nawet najbardziej utalentowane umysły nie mogłyby zaimprovizować tego, co powiedział. Podczas, gdy cała nasza reszta była zajęta przyswajaniem sobie tego, co powiedział Fowler Schocken, Runsted skwapliwie mu się podlizywał.

– Panowie – powiedział z pasją – to jest naprawdę pomysł geniusza. To nie jakieś tam Indie. To nie jakiś towar. Ale cała planeta do sprzedania. Chylę czoło, panie Fowler Schocken – Clivie, Boliwarze i Johnie Jakobie Astorze nowego świata!

Jak już powiedziałem, Matt był pierwszy, ale każdy z nas wstał i kolejno powiedział coś w tym rodzaju. Nie wyłączając mnie. To było łatwe, robiłem to od lat. Kathy nigdy tego nie rozumiała, a ja próbowałem jej tłumaczyć to zachowanie twierdząc, że był to rodzaj jakby religijnego obrzędu – coś, jak rozbicie butelki szampana o dziób statku, lub ofiara z dziewicy

przed zbiorem zbóż. Nawet tłumacząc to z lekkim naciskiem nie przeprowadzałem zbyt daleko idących analogii. Nie sądzę, by ktokolwiek z nas, może tylko z wyjątkiem Matta Runsteda, dostarczałby na rynek substancje zawierające opium, wyłącznie dla zysku. Ale słuchając Fowlera Schockena i hipnotyzując się naszymi antyfonicznymi odpowiedziami, wszyscy stawaliśmy się zdolni do każdego działania, które służyłoby naszemu bogowi handlu.

Nie chcę przez to powiedzieć, że jesteśmy kryminalistami. Alkaloidy w Coffiest były, jak podkreślał Harvey, nieszkodliwe.

Kiedy skończyliśmy, Fowler Schocken dotknął innego przycisku i pokazał nam schemat kampanii. Objął go dokładnie, punkt po punkcie, pokazał nam tablice, wykresy oraz diagramy opisujące cały nowy wydział Zrzeszenia Fowler Schocken, który będzie utworzony dla kierowania rozwojem i eksploatacją planety Wenus. Opisał nudne dla mnie układy w lobby oraz przyjacielskie kontakty w Kongresie, które dawały nam wyłączne prawo do ściągania daniny i pieniędzy z planety – a ja zacząłem rozumieć, dlaczego mógł bezpiecznie nadawać dziewięciominutowe reklamówki. Wyjaśnił dlaczego rząd – to zresztą dziwne, że wciąż myślimy i mówimy o tej Izbie reprezentującej różne grupy nacisku, tak jakby to była jedność z własnej wolnej woli – dlaczego rząd chciał, by Wenus była planetą amerykańską i dlaczego wybrał typowo amerykański talent do rozreklamowania tego przedsięwzięcia. Gdy przemawiał, część jego zapachu udzieliła się i nam. Zazdrościłem temu, kto będzie prowadził Wydział Wenus, każdy z nas byłby dumny z podjęcia takiego wyzwania.

Mówił też o kłopotach z senatorem z Du Pont Chemicals i jego czterdziestoma pięcioma głosami, a także o łatwym zwycięstwie nad senatorem z Nash-Kelwinator z jego sześcioma. Mówił z dumą o lipnej demonstracji Consie przeciwko Fowlerowi Schockenowi, która ustawiła się przed nastawionym niezwykle anty-Consie Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Środki wizualne zrobiły piękną robotę kondensując informacje, ale i tak spędziliśmy prawie godzinę oglądając schematy i słuchając o osiągnięciach i planach Fowlera.

W końcu nasz szef zgasił projektor i powiedział:

– No i proszę. Oto nasza nowa kampania. Zaczyna się od teraz. Mam jeszcze jedną wiadomość do podania i wszyscy będziemy mogli wziąć się do pracy.

Fowler Schocken jest dobrym aktorem. Upłynęło trochę czasu, zanim wyjął kartkę papieru i odczytał z niej zdanie, które najniższy rangą z naszych urzędników mógłby odczytać z mankietu.

– Przewodniczącym Wydziału Wenus – przeczytał – będzie Mitchell Courtenay.

I to była największa niespodzianka ze wszystkich, zaserwowanych nam dzisiaj przez Fowlera, bo Mitchell Courtenay to ja.

Rozdział 2

Postałem z Fowlerem ze trzy czy cztery minuty, zanim reszta Rady nie rozeszła się z powrotem do swoich biur, a jazda windą w dół z sali konferencyjnej do mojego biura na osiemdziesiątym szóstym piętrze zajęła kilka sekund. Kiedy wszedłem, Hester sprzątała już z mojego biurka.

– Gratuluję, panie Courtenay – powiedziała. – Przechodzi pan na osiemdziesiąte pięcie. Czy to nie cudowne! A ja również będę miała prywatne biuro!

Podziękowałem jej i chwyciłem za słuchawkę telefonu. Pierwszą rzeczą, jaką powinienem zrobić było zwołanie mojego personelu i przekazanie steru Wydziału Produkcji Tomowi Gillespie, który był następnym w kolejce. Ale pierwszym, co zrobiłem, było wykręcenie numeru do apartamentu Kathy. Ponieważ nadal nikt nie podnosił słuchawki, poprosiłem zespół.

Byli właściwie zmartwieni widząc, że odchodzę, a jednocześnie zadowoleni z faktu, że wszyscy przesuwali się o oczko wyżej w hierarchii.

A potem przyszła pora lunchu, tak więc odłożyłem problem planety Wenus na popołudnie.

Zadzwoniłem, zjadłem szybko w barze zakładowym, zjechałem windą na dół do kolejki, a kolejką szesnaście przecnic na południe. Wychodząc znalazłem się po raz pierwszy tego dnia na otwartym powietrzu. Sięgnąłem po zatyczki przeciwsadzwowe, lecz ich nie włożyłem. Mżył lekki deszczyk i powietrze było nieco czystsze. Było lato, gorące i parne. Hordy ludzi tłoczących się na chodnikach, tak jak ja chciały dostać się z powrotem do budynku. Musiałem wręcz przedzierać się przez ulicę, aby dostać się do lobby. Windą wjechałem na czternaste piętro. Był to stary budynek z niedoskonałą klimatyzacją i poczułem chłód w moim wilgotnym garniturze. Przyszło mi do głowy, by wykorzystać ten fakt, zamiast historyjki, którą wcześniej przygotowałem, ale zarzuciłem tę myśl.

Dziewczyna w wykrochmalonym białym uniformie podniosła na mnie wzrok, kiedy wszedłem do biura. Powiedziałem:

– Nazywam się Silver. Walter P. Silver. Jestem umówiony.

– Ach, pan Silver – przypomniała sobie. – Pańskie serce, powiedział pan, że to nagły wypadek.

– Zgadza się. To z pewnością są bóle psychosomatyczne, ale czułem...

– Oczywiście – wskazała mi krzesło. – Doktor Nevin zaraz pana przyjmie.

Minęło dziesięć minut. Z gabinetu lekarskiego wyszła jakaś młoda kobieta i wszedł mężczyzna, który czekał w pokoju przyjęć przede mną. Wszedł po chwili i pielęgniarka zaprosiła mnie do środka.

– Zechce pan teraz wejść do gabinetu doktor Nevin?

Wszedłem. Kathy, schludna i przystojna w lekarskim kitlu, kładła na swym biurku kartę chorobową. Kiedy mnie ujrzała powiedziała bardzo poirytowanym tonem:

– Oh, Mitch!

– Powiedziałem tylko jedno kłamstwo – rzekłem. – Zmyśliłem tylko nazwisko. Ale to jest nagły wypadek. I zaangażowane w to jest moje serce.

Zauważyłem jakby cień uśmiechu, który przemknął szybko po jej twarzy.

– Ale nie z medycznego punktu widzenia – stwierdziła.

– Powiedziałem twojej dziewczynie, że prawdopodobnie jest to psychosomatyczne, a ona zgodziła się z tym, że moja wizyta u pani doktor jest konieczna.

– Pomówię z nią o tym. Mitch, wiesz przecież, że nie mogę widywać się z tobą podczas godzin pracy. A teraz proszę...

Usiadłam obok jej biurka.

– W ogóle się ostatnio nie widzimy Kathy. Co się stało?

– Nic. Proszę odejść, Mitch. Jestem lekarzem, pracuję.

– Nic nie jest tak ważne jak to, Kathy. Dzwoniłem do ciebie przez cały wczorajszy wieczór i dzisiejszy ranek.

Zapaliła papierosa nie patrząc na mnie.

– Nie było mnie w domu – powiedziała.

– Nie było cię. – Pochyliłem się do przodu, wziąłem papierosa od niej i zaciągnąłem się. Zawahala się, wzruszyła ramionami i wyjęła drugiego. Powiedziałem!

– Nie przypuszczam, bym miał prawo pytać się mojej żony, gdzie spędza czas?

Kathy wybuchła.

– Cholera, Mitch, wiesz przecież... – Jej telefon zadzwonił. Zamknęła na chwilę oczy i wzięła głęboki oddech. Podniosła słuchawkę, przechylając się do tyłu na krześle, patrząc w dal, odprężona, lekarz uspokajający pacjenta. Trwało to tylko kilka chwil. Kiedy skończyło się, była całkowicie opanowana.

– Proszę wyjdź – powiedziała gasząc niedopałek papierosa.

– Nie wyjdę, dopóki nie powiesz mi kiedy się zobaczymy.

– Ja... nie mam czasu na spotkania z tobą, Mitch. Nie jestem twoją żoną. Nie masz prawa dręczyć mnie w ten sposób. Mogłabym ci zakazać i spowodować twoje aresztowanie.

– Mój akt jest zarejestrowany – przypomniałem jej.

– Mój nie. I nigdy nie będzie. To tylko do końca roku i między nam skończone, Mitch.

– Jest coś, co chciałem ci powiedzieć – Kathy zawsze można było złapać na ciekawość.

Nastąpiła długa przerwa i zamiast powiedzieć „Proszę, wyjdź”, rzekła:

– No wiec, cóż to takiego?

– Coś dużego – oznajmiłem. – Coś, co trzeba koniecznie uczcić. I nie mówię tego tylko po to, by się z tobą spotkać na krótko dziś wieczorem. Proszę, Kathy... Kocham cię bardzo i obiecuję nie robić sceny.

– ... Nie.

Ale zawahała się. Powiedziałem:

– Proszę...

– No więc...

Kiedy myślała, zadzwonił telefon.

– No dobrze – powiedziała. – Zadzwoń do mnie do domu. O siódmej. A teraz pozwól mi zająć się tymi chorymi ludźmi.

Podniosła słuchawkę. Wyszedłem z jej gabinetu, podczas gdy ona wciąż rozmawiała. Nawet nie spojrzała na mnie.

Kiedy wszedłem, Fowler Schocken pochylał się nad swoim biurkiem, wpatrując się w ostatnie wydanie „Taunton’s Weekly”. Czasopismo błyszczało wszystkimi kolorami, gdyż wzbudzone fotonami cząsteczki jego tuszów odbijały je pełną gamą. Zamachał w moim kierunku błyszczącymi stronami i zapytał:

– Co o tym sądzisz, Mitch?

– Tania reklama – powiedziałem bezzwłocznie. – Gdybyśmy musieli poniżyć się aż tak, by sponsorować takie czasopismo jak Taunton Associates to sądzę, że zrezygnowałbym. To jest za tani chwyt.

– Hm. – Położył czasopismo stroną tytułową do dołu, błyszczące strony wydały ostatni błysk światła i przygasły, odcięte od słońca.

– Tak, to tani chwyt – powiedział z namysłem. – Ale musisz docenić ich przedsiębiorczość. Taunton ma szesnaście i pół miliona czytelników swoich cotygodniowych reklamówek. Niczyich innych – tylko swoich, klientów Tauntona. Mam nadzieję, że nie mówiłeś poważnie o tej rezygnacji. Właśnie dałem Harveyowi przedsiębiorczego człowieka, aby zorganizował czasopismo „Shock”. Pierwsze wydanie pojawi się jesienią z zamówieniem na druk dwudziestu milionów. Nie... – łagodnie podniósł rękę, by przerwać moją próbę wytłumaczenia. – Rozumiem, co chciałeś powiedzieć, Mitch. Jesteś przeciwko taniej reklamie. Ja również. Taunton jest dla mnie uosobieniem wszystkiego, co przeszkadza reklamie znaleźć prawnie należne jej miejsce wśród duchowych, medycznych i barowych spraw naszego życia. Nie ma takiej rzeczy, której on by się nie chwycił, począwszy od przekupienia sędziego, a na ukradzeniu pracownika skończywszy. I, Mitch, on jest człowiekiem, na którego musisz uważać.

– A to dlaczego? To znaczy, dlaczego właśnie na niego? – Schocken zachichotał.

– Bo ukradliśmy mu projekt Wenus – oto dlaczego. Mówiłem ci, że on jest bardzo przedsiębiorczy. Wpadł na ten sam pomysł, co ja. Nie było łatwo przekonać rząd, że Wenus powinna być naszym dzieckiem.

– Rozumiem – powiedziałem. I rzeczywiście rozumiałem. Nasz przedstawicielski rząd jest teraz może bardziej przedstawicielski niż był kiedykolwiek przedtem w historii.

Niekoniecznie jest przedstawicielski per capita, ale z pewnością jest nim ad walorem. Jeśli lubisz rozważania filozoficzne, to mam jedno zadanie dla ciebie: czy oddany głos wyborczy każdej ludzkiej istoty ma być zarejestrowany tak, jak chcą tego książki prawnicze i jak według niektórych pragnęli założyciele naszego narodu? Czy też głos ten powinien być wazony zależnie od mądrości, siły i wpływów – to znaczy od pieniędzy – głosującego? Jest to problem filozoficzny dla ciebie, ale nie dla mnie. Jestem pragmatykiem i jeszcze raz pragmatykiem, w dodatku jestem na liście płac Fowlera Schockena.

Jedna rzecz mnie zaniepokoiła.

– Czy nie należy się spodziewać, że Taunton przedsięwzięmie – powiedzmy, bezpośrednio działanie?

– Oh, będzie próbował ukraść nam planetę z powrotem – powiedział Fowler łagodnie.

– Nie to mam na myśli. Pamiętasz, co się stało z Eksploatacją Antarktyki.

– Byłem tam. Mniej więcej sto czterdzieści ofiar po naszej stronie. Bóg wie ilu i co stracili oni.

– A to był tylko jeden kontynent. Taunton bierze to wszystko całkiem do siebie. Jeśli rozpoczął wojnę o ten nędzny zamrażony kontynent, to co zrobi, jeśli chodzi o całą planetę?

Fowler odpowiedział z cierpliwością w głosie:

– Nie, Mitch. Nie odważyłby się. Wojny są kosztowne. Poza tym, nie dajemy mu pola ani możliwości, by dopominał się o swoje. A po trzecie... możemy skrócić mu łeb.

– Domyślam się – powiedziałem i poczułem się trochę uspokojony. Uwierzcie mi, jestem lojalnym pracownikiem Towarzystwa Fowler Schocken. Od najwcześniejszych dni próbowałem żyć dla firmy i dla handlu. Ale wojny przemysłowe, nawet w naszym zawodzie, mogą być całkiem brudne. Nie tak dawno, bo zaledwie kilka dziesięcioleci temu, jakaś mała, ale próżna agencja w Londynie rozpoczęła wojnę przeciwko angielskiemu oddziałowi B.B.D.&O. i wybiła ją w pień, za wyjątkiem dwóch Bartonów i jednego nieletniego Osborna. Mówią, że do dziś zostały plamy krwi na schodach centralnej administracji poczty, pamiątka po bitwie, jaką wydała Western Union, walcząc z American Railway Express o wyłączność używania kurierów.

Schocken ciągnął tymczasem dalej.

– Jest jedna rzecz, na którą będziesz musiał uważać: na szaleńców. Jest to rodzaju przedsięwzięcie, które zmusi ich do ujawnienia się. Każda stuknięta organizacja rozpoczynając od Consies, a skończywszy na G.O.P. będzie chciała zadeklarować się za lub przeciw naszemu projektowi. Możesz być pewien, że wszystkie będą za: nabiorą wówczas znaczenia.

– Nawet Consies? – zachrypiałem.

– No, nie. Nie miałem ich na myśli pewnie są bardziej odpowiedzialni. – Jego siwe włosy załśniły, kiedy kiwnął głową z namysłem.

– Hm. Może mógłbyś rozpowszechnić slogan, że lot w przestrzeń kosmiczną i

konserwatyzm różnią się diametralnie. Zużywa zbyt dużo surowców, obniża standard życia – no wiesz, temu podobne banialuki. Uwypuklij fakt, że paliwo zużywa materiały organiczne, z których powinno robić się nawozy... przynajmniej tak sądzą Consies.

Lubię obserwować mistrza przy robocie. Fowler Schocken wyłożył mi plan całej subkampanii; do mnie należało tylko rozrysowanie i przygotowanie szczegółów. Konserwatyści byli zagranem fair, ci pazerni dewoci, których aspiracją była nowoczesna cywilizacja, w pewien sposób „splądrowali” naszą planetę. Absurdalni ludzie. Nauka zawsze była i będzie krokiem w kierunku zniszczenia zasobów natury. Ostatecznie, gdy zaczęło brakować prawdziwego mięsa, wynaleziono sojaburgery. Kiedy skończyła się ropa, technologia wynalazła trycykl z budką oraz wzmocnionym napędem pedałowym.

Z racji zawodu dobrze znałem hasła Consies, których argumenty sprowadzały się do jednego: życie w zgodzie z Naturą, jest jedynym właściwym sposobem życia. Śmieszne. Jeżeli „Natura” chciała, byśmy odżywiali się świeżymi warzywami, nie dałaby nam ani niacyny, ani kwasu askorbinowego.

Przez następne dwadzieścia minut inspirującej przemowy Fowlera Schockena siedziałem cicho, ponownie odkrywając to, co już wielokrotnie odkryłem – w sposób krótki i rzeczowy potrafił podać mi wszystkie fakty oraz instrukcje, których potrzebowałem.

Szczegóły pozostawił mnie, ale ja znałem się na rzeczy. Chcieliśmy aby Wenus została skolonizowana przez Amerykanów. Aby tego dokonać potrzebne były trzy rzeczy: kolonizatorzy, sposób przewiezienia ich na Wenus i coś, czym można by zająć ich tam po wylądowaniu.

Pierwsze można było łatwo załatwić przez zwykłą reklamę. Telewizyjne reklamówki Schockena były doskonałym modelem, na którym moglibyśmy oprzeć realizację tego punktu. Zawsze łatwo jest wytłumaczyć konsumentowi, że gdzieś daleko trawa jest bardziej zielona. Naszkicowałem już przykładową kampanię o budżecie sporo poniżej miliona. Więcej byłoby ekstrawagancją.

Drugie było tylko w części naszym problemem. Statki zostały zaprojektowane – przez Republic Aviation, Bell Telephone Labs oraz U.S. Steel, i to, jak się wydaje na zamówienie samego Ministerstwa Obrony. Naszym zadaniem nie było umożliwienie transportu na Wenus, lecz uczynienie go przyjemnym. Kiedy twoja żona dowie się, że jej przepalonego opiekacza nie da się naprawić, bo jego zepsuty element jest częścią głównego silnika rakiety na Wenus, lub kiedy niezadowolony kongresmen reprezentujący małą i wyrugowaną z rynku firmę wymachuje nad głową papierami kredytowymi i mówi o rządzie tracącym na niedorzecznych planach, to wkraczamy my. Musimy przekonać twoją żonę, że rakiety są ważniejsze od opiekaczy, musimy przekonać podległą kongresmenowi firmę, że jej polityka wywołała niezadowolenie, i że obciąży to jej zyski.

Pomyślałem przez moment o jakiejś prostszej kampanii i odrzuciłem tę myśl. Mogłyby na tym ucierpieć nasze inne wydatki. A może by tak sprowokować jakiś ruch religijny – coś, co

można byłoby zaferować w zastępstwie ośmiuset milionom tych, którzy nie polecą rakieta... Zanotowałem to sobie. Bruner mógłby mi w tym pomóc. I przeszedłem do trzeciego punktu. Muszę znaleźć coś, czym zajęliby się kolonizatorzy na Wenus.

Wiedziałem, że właśnie tego Fowler Schocken będzie pilnował najbardziej. Pieniądze, które rząd zapłaci za podstawową kampanię będą niemałym dodatkiem do naszego rocznego funduszu, ale Fowler Schocken to ktoś o zbyt dużym formacie, by robić jednorazowe numery. To, czego chcieliśmy, to coroczna pewność głównego kompleksu przemysłowego; to czego chcieliśmy, to kolonizatorzy oraz ich dzieci dodani do naszych rachunków. Fowler chciał oczywiście powtórzyć na znacznie większą skalę nasz druzgocący sukces z Indiastries. On i jego pomocnicy zorganizowali całe Indie w jeden gigantyczny kartel, w którym każdy produkowany tam pleciony koszyk, sztabka irydium czy puszka opium były sprzedawane za pośrednictwem reklam Fowlera Schockena. A teraz mógłby to samo zrobić z Wenus. Potencjalnie było to warte wszystkich istniejących dolarów razem wziętych! Cała nowa planeta, wielkości Ziemi, w perspektywie tak bogata jak Ziemia – a każdy jej mikron, każdy miligram – nasz.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła czwarta Z Kathy umówiłem się z Kathy na siódmą. Miałem niewiele czasu. Wykręciłem do Hester i poprosiłem ją, by zarezerwowała mi miejsce w samolocie do Waszyngtonu, podczas gdy ja wykonałem telefon do osoby, nazwisko której podał mi Fowler. Nazwisko brzmiało Jack O'Shea, i był on jedynym człowiekiem, który był na Wenus – jak dotąd jedynym. Jego głos był młody i pewny siebie, gdy umawiał się ze mną na spotkanie.

Spędziliśmy nad Waszyngtonem pięć dodatkowych minut w kolejce do lądowania, a potem na schodach zaczęła się rozróżba. Wokół naszego samolotu aż roiło się od strażników Brink's Express, a ich porucznik prosił każdego wychodzącego pasażera o okazanie dowodu tożsamości. Kiedy nadeszła moja kolej, zapytałem co się stało. Spojrzał uważnie na mój niski numer karty świadczeń, a następnie zasalutował.

– Przepraszam, że pana niepokoję, panie Courtenay – usprawiedliwiał się. – To Consies rzucili bombę w pobliżu Topeka. Dostaliśmy informację, że ten sabotażysta może być na pokładzie tego samolotu z Nowego Jorku. Wydaje się jednak, że wprowadzono nas w błąd.

– Na co Consies dokładnie rzucili bombę?

– Wydział Surowców Du Pont – mamy zleconą ochronę ich zakładu, wie pan – było otwarcie nowej kopalni węgla pod uprawną ziemią, którą tam posiadają. Z tej okazji odbyła się mała uroczystość, i właśnie w chwili, gdy hydrauliczna maszyna górnicza zaczęła zdejmować wierzchnią warstwę ziemi, ktoś z tłumu rzucił bombę. Zabił operatora maszyny, jego pomocnika oraz wiceprezydenta. Człowiek ów wtopił się w tłum, ale został zidentyfikowany. Wkrótce go złapiemy.

– Powodzenia, poruczniku – powiedziałem i pospieszyłem do głównego hallu z bufetem

na dworcu lotniczym. O'Shea czekał na ławce pod oknem, wyraźnie poirytowany, ale uśmiechnął się, gdy wyjaśniłem mu przyczynę opóźnienia.

– To może zdarzyć się każdemu – powiedział i machając krótkimi nogami zwrócił się piskliwym głosem do kelnera. Kiedy złożyliśmy zamówienia, odchylił się do tyłu i zapytał: – No więc?

Spojrzałem na niego siedzącego po drugiej stronie stołu, a potem wyjrzałem przez okno. Daleko na południu w charakterystyczny sposób błyszczała gigantyczna kolumna pomnika F.D.R.; za nim leżała mała, zmatowiała kopuła starego Kapitolu. Ja, wygadany spec od reklamy, nie bardzo wiedziałem od czego zacząć. A O'Shea bawił się doskonale.

– A więc? – zapytał ponownie, wyraźnie rozbawiony, a ja wiedziałem, co chciał przez to powiedzieć. – Teraz wy wszyscy musicie przyjść do mnie, i jak wam się ta zmiana podoba?

Zdecydowałem się na stanowczy krok.

– Jak jest na Wenus? – zapytałem.

– Piach i dym – odpowiedział szybko. – Nie czytał pan mojego raportu?

– Oczywiście, Ale chcę wiedzieć więcej.

– Wszystko jest w raporcie. Mój Boże, kiedy wróciłem, trzymano mnie na przesłuchaniu przez trzy pełne dni. Jeżeli pominąłem cokolwiek, to teraz już sobie tego nie przypomnę.

– Nie to miałem na myśli, Jack – powiedziałem. – Kto chce spędzić życie czytając raporty? W Wydziale Badań mam piętnastu ludzi, którzy nie robią nic innego tylko czytają dla mnie różne raporty tak, że nie muszą ich czytać. Chcę wiedzieć coś więcej. Chcę poznać wrażenia z tej planety. Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć, od człowieka, który tam był osobiście.

– A ja czasami chciałbym, żeby mnie tam nie było. – powiedział O'Shea zmęczonym głosem. – A więc, od czego zacząć? Wiesz, jak mnie wybrano – Jedyny karzeł na świecie z licencją pilota. I wiesz wszystko o statku. Widziałeś też z pewnością raport o próbkach, które przywożem. Nie dlatego, żeby miały wielkie znaczenie. Wylądowałem tylko w jednym miejscu, a pięć mil dalej próbki geologiczne mogłyby być zupełnie inne.

– Wszystko te wiem. Posłuchaj, Jack. Zróbmy tak. Przypuśćmy, że chcesz, by mnóstwo ludzi pojechało na Wenus. Co byś im powiedział o niej?

Zaśmiał się.

– Powiedziałbym im mnóstwo cholernych, wielkich bzdur. Zaczniemy od początku. O co chodzi?

Wprowadziłem go w to, czym się teraz zajmuje Towarzystwo Schockena, a z jego okrągłej małej twarzy patrzyły na mnie okrągłe małe oczy. To co dla mnie niezrozumiałe w karłach, to ta cecha, która czyni ich bardziej doskonałymi i wytwornymi od zwykłych ludzi. Jakby przeznaczenie, czyniąc ich małymi, obdarzyło innymi talentami po to, by pokazać, że mały wzrost nie oznacza braku realizacji. Pociągał swego drinka drobnymi łykami, a ja piłem w przerwach między zdaniem.

Kiedy skończyłem nadal nie wiedziałem, czy był po mojej stronie czy też nie, a jeśli chodzi o niego miało to znaczenie. Nie był marionetką tańczącą za sprawą sznurków, za które Fowler Schocken wiedział jak pociągać. Nie był także osobą prywatną, którą można byłoby kupić ułamkiem odsetka naszych zysków. Fowler pomógł mu zbić pewien kapitał na jego sławie, poprzez polecenia, książki oraz wykłady, tak więc należało się nam od niego nieco wdzięczności, ale nic więcej.

– Chciałbym pomoc – powiedział, a to znakomicie ułatwiało sprawę.

– Możesz – powiedziałem mu. – Po to tu jestem. Powiedz mi, co Wenus ma do zaoferowania ludziom.

– Cholernie mało – powiedział marszcząc swoje błyszczące czoło. – Od czego mam zacząć? Czy muszę ci mówić o atmosferze? Jest tam formaldehyd w stanie wolnym, no wiesz – płyn balsamujący. Albo o temperaturze? Średnia powyżej punktu wrzenia wody, której zresztą tam nie ma. Nieprzystępna we wszystkich wymiarach. Albo opowiedzieć ci o wiatrach? Zmierzyłem, pięćset mil na godzinę.

– Nie, nie o to chodzi – przerwałem mu – znam to wszystko. A prawdę powiedziawszy, Jack, wszystko to można pokonać. Chcę, byś opowiedział o swoich wrażeniach stamtąd, o czym myślałeś będąc na powierzchni Wenus, jak reagowałeś. Po prostu zacznij mówić. Powiem ci, kiedy usłyszę to, czego chciałem się dowiedzieć.

Przygryzł dolnymi zębami swoje różnane – marmurowe usta.

– No więc – powiedział – zacznijmy od początku. Napijmy się jeszcze jednego drinka, dobrze?

Kelner podszedł, przyjął zamówienie i wrócił z trunkiem, Jack zabębnił palcami po stole, pociągnął reńskie wino z wodą sodową i zaczął mówić.

Rozpoczął od dawnych czasów, co było dobre, gdyż chciałem poznać ducha tego co się stało, nieuchwytny, subiektywny wątek, którego nie było widać w jego technicznych raportach o Wenus, podstawowe emocje, które sprawiły, że przymus i przeświadczenie zamieniły się w przedsięwzięcie.

Opowiedział mi o swoim ojcu, wysokim na sześć stóp inżynierze chemiku, o swojej matce, zażywej energicznej gospodyni. Dał mi odczuć atmosferę rozpacz i ogromnej miłości do ich trzydziestopięcioletniego syna. Kiedy miał jedenaście lat po raz pierwszy zaistniała kwestia jego dorosłego życia i zawodu. Pamiętał zmartwienie na ich twarzach, gdy od niechcienia zasugerował pracę w cyrku. Nie mogło być nic gorszego dla nich, więc temat ten nigdy nie był już poruszany. Pocieszeniem była wyrażona przez niego chęć uczenia się inżynierii i techniki raketowej. Chciał zostać pilotem oblatywaczem, rodzice płacili więc za naukę i spełnili jego życzenie, pomimo przeszkód w postaci kpin oraz odmowy ze strony wielu szkół.

Oczywiście lot na Wenus sprawił, że gra była warta tych wyrzeczeń.

Projektanci statku na Wenus zapędzili się w kozi róg. Stosunkowo łatwo było

zaprojektować raketę na Księżyc odległy o jakieś ćwierć miliona mil; teoretycznie wcale nie trudniej było odpalić w przestrzeń podobną, do najbliższego innego świata, czyli Wenus. Kwestią było tylko wybranie jednej z orbit, sposób sterowania statkiem i czas jego powrotu. Był to dylemat. Statek mógłby dotrzeć do Wenus w kilka dni – ale przy takim rozrzutnym wydatku paliwa, że nie pomieściłoby się w dziesięciu statkach razem wziętych. Można też byłoby puścić go lotem dryfującym na spotkanie naturalnej orbity Wenus – co zaoszczędzało paliwo, ale wydłużało podróż do wielu miesięcy. Człowiek w ciągu osiemdziesięciu miesięcy zjada dwa razy tyle ile sam waży, zużywa dziewięć razy więcej powietrza od swego ciężaru i – wypija taką ilość wody, która wystarczyłaby do zwodowania łódki żaglowej. Mógłby ktoś powiedzieć, że wystarczy oddestylować wodę z odchodów i wprowadzić ją do obiegu; zrobić to samo z żywnością; zrobić to samo z powietrzem. Przepraszam. Sprzęt potrzebny do takiej recyrkulacji waży więcej niż ta żywność, powietrze i woda. Tak więc oczywistym było, że człowiek – pilot nie wchodził w rachubę.

Zespół projektantów rozpoczął prace nad pilotem automatycznym. Kiedy skończono, działał stosunkowo dobrze. I ważył cztery i pół tony pomimo zastosowania najnowocześniejszych technologii.

Prace nad tym projektem zatrzymały się, gdy ktoś wpadł na pomysł posłużenia się najdoskonalszym serwomechanizmem: sześćdziesięciofuntowym karłem. Jack O'Shea mając ciężar jednej trzeciej dorosłego człowieka zjadał trzecią część jego pożywienia, wdychał trzecią część tlenu. Ze swoją minimalną wagą, zmniejszonym zapotrzebowaniem na wodę i powietrze, Jack zmieścił się w limicie i tym samym zyskał nieśmiertelną sławę.

Nieco pijany, dwa słabe drinki to było za dużo dla jego małego organizmu, powiedział w zamroczeniu:

– Włożyli mnie do rakiety, jak wkłada się palec do rękawiczki. Chyba wiesz, jak wyglądał statek? Ale czy wiesz, że zapięli mnie za pomocą zamka błyskawicznego w fotelu pilota? Chociaż, to właściwie nie był fotel. To bardziej przypominało skafander nurka; jedyne powietrze na statku znajdowało się w tym skafandrze, a jedyna woda wchodziła przez rurkę wprost do moich ust. Zaoszczędzili na ciężarze...

W skafandrze tym spędził osiemdziesiąt dni. To ciasne więzienie żywiło go, piło wodą, oddzielało jego pot od powietrza i usuwało odchody. Gdyby zaszła taka konieczność skafander wstrzyknąłby mu nowokainę do złamanej ręki, zacisnąłby opaskę uciskową na przeciętej arterii udowej lub też pompowałby powietrze do rozerwanego płuca. Był jak łożysko matki, tyle że ohydne i niewygodne.

W tym skafandrze leciał trzydzieści trzy dni na Wenus i czterdzieści jeden z powrotem. Pozostałe sześć dni w środku było sensem tej katorżniczej podróży.

Jack sprowadzał swój statek na dół po omacku, nic nie widząc z powodu chmur gazu, które przesłoniły jego oczy i zmyliły radar, na dół na powierzchnię nieznanego świata. Dopiero poniżej tysiąca stóp nad powierzchnią dojrzał cokolwiek poza wirującą wszędzie

zółcią. Wylądował i wyłączył napęd.

– Wiesz oczywiście, nie mogłem się wydostać – powiedział. – Z czterdziestu lub pięćdziesięciu powodów to ktoś inny powinien być pierwszym człowiekiem, który postawi nogę na Wenus. Ktoś, kto nie jest tak wrażliwy na oddychanie, przypuszczam. Tak czy siak, ja tam się znalazłem i przyglądałem obcej planecie. – Wzruszył ramionami, spojrzał zmieszonym wzrokiem i cicho zaklął. – Mówiłem to już dziesiątki razy na wykładach, ale nie do końca. Mówię, że najbardziej podobną do Wenus rzeczą na Ziemi jest Malowana Pustynia. Tak mi się zdaje, bo nie byłem tam osobiście.

Na Wenus wieją straszne wiatry, które rozrywają skały na kawałki. Te odłamki są porywane i tworzą burze piaskowe. Te skały, twardsze, które się oparły burzom, przybierają śmieszne kształty i kolory. Niektóre z nich są olbrzymie, wręcz monstrualne. Najbardziej postrzępione wzgórza i kotliny, jakie można sobie tylko wyobrazić. To tak, jakby się było we wnętrzu jakiejś jaskini – coś w tym rodzaju – tylko nie tak ciemno. Ale światło jest pomarańczowo brązowe, bardzo jaskrawe i w pewnym sensie groźne. Tak jak groźne jest niebo latem o zachodzie słońca tuż przed burzą. Tylko tam nie ma takich burz, jak u nas, bo nie ma tam ani jednej kropli wody. – Zawahał się.

– Są błyskawice, mnóstwo ich, ale nigdy nie pada deszcz... Nie wiem, Mitch – powiedział zniecierpliwiony – czy w ogóle przydadzą ci się na coś?

Spojrzałem na zegarek i zobaczyłem, że powrotny samolot ma właśnie odlecieć, tak więc pochyliłem się, by wyłączyć magnetofon w neseserze. – Bardzo mi pomogłeś, Jack – powiedziałem. – Ale będę cię jeszcze potrzebował. Teraz muszę już jechać. Słuchaj, czy mógłbyś przyjechać do Nowego Yorku i popracować trochę ze mną? Wszystko co mówiłeś mam na taśmie, ale chcę obejrzeć też zdjęcia. Nasi artyści mogą pracować na podstawie zdjęć, które przywiozłeś, ale musi być coś więcej. A do naszych celów ty nam bardziej się przydasz niż te wszystkie fotki. – Nie wspomniałem, że artyści będą rysować wrażenia z Wenus takiej, jaką chcielibyśmy by była, niż taką jaką jest. – Co ty na to?

Jack odchylił się do tyłu i uśmiechnął się rozbrawiająco. Pociłem się kiedy pokrótce opowiadał mi o swoich szerokich planach, także jego agent od wyjazdów i występów przygotował dla niego zajęcia na kilka następnych tygodni w przód; w końcu zgodził się. Zdecydował, że rozmowę za Shrinierami będzie można odwołać, a spotkanie z gryzypiórkami może się równie dobrze odbyć w Nowym Jorku, jak w Waszyngtonie. Umówił się na następny dzień właśnie w chwili, kiedy system obsługi pasażerów zapowiedział mój lot.

– Odprowadzę cię do samolotu – zaproponował Jack. Zsunął się z krzesła i rzucił na stolik banknot dla kelnera. Przecisnęliśmy się razem między ławkami baru na otwartą przestrzeń. Jack uśmiechnął się i przybrał dumną minę, gdy został rozpoznany i rozległy się ochy i achy. Na zewnątrz było prawie ciemno, a poświata unosząca się nad Waszyngtonem była jasnym tłem dla sylwetki górującego nad lotniskiem samolotu. Od strony towarowego terminalu dryfował w naszą stronę duży towarowy helikopter – pięćdziesięcotonowiec, jego

kadłub błyszczał wszystkimi kolorami odbitymi od znajdujących się poniżej światła. Nie znajdował się wyżej niż pięćdziesiąt stóp nad ziemią i musiałem przytrzymać kapelusz, by nie porwał go podmuch od wielkich śmigieł.

– Ci cholerni piloci – mruzczał Jack patrząc do góry na helikopter. – Nie powinni tu latać. Tylko dlatego, że daje się tym łatwo manewrować, ci chłopcy myślą, że mogą latać wszędzie. Gdybym ja tak latał odrzutowcem, to... – Nagle zaczął krzyżeć do mnie i pchać mnie w pasie swymi małymi rękami. – Uciekaj! Uciekaj!

Wytrzeszczyłem na niego oczy, tak było to gwałtowne i z niczym nie związane, zupełnie bez sensu. Pochylił się w moją stronę i odepchnął mnie o jeszcze kilka kroków.

– Co u diabła...? – zacząłem się uskarżać, ale nie usłyszałem własnych słów. Utonęły w odgłosie jakiegoś mechanicznego trzasku, drganiu pochodzącym od uderzeń wirników i w najpotworniejszym huku, jaki kiedykolwiek słyszałem, a wywołanym przez pojemnik ładunkowy helikoptera, który uderzył o beton zaledwie o metr od miejsca, w którym staliśmy. Jeden ze szkarłatnych cylindrów przytoczył się do moich stóp, ogłupiały podniosłem go i obejrzałem.

Nade mną oświetlony helikopter uniósł się z głośnym warkotem i odleciał, ale nie widziałem tego.

– Na miłość Boską, zdejmijcie to z nich! – krzyknął Jack pociągając mnie za sobą. Nie byliśmy sami na płycie lotniska. Spod powykrzywianego aluminium wystawała ręka trzymająca walizkę, a wśród różnych głosów docierających do mych uszu słyszałem bełkotliwy krzyk ludzkiego bólu. Dałem się pociągnąć w kierunku pogiętego metalowego pudła i spróbowaliśmy je podnieść. Skaleczyłem się w rękę i rozdarłem marynarkę, wkrótce podbiegli ludzie z obsługi lotniska i obcesowo wyprosilili nas stamtąd.

Nie pamiętam jak szedłem, wiem tylko, że w końcu siedziałem na czyjejs walizce, z plecami opartymi, o ścianę terminalu, a Jack O'Shea mówił coś do mnie w podnieceniu. Przeklinał umiejętności pilotów helikopterów transportowych i wyzywał mnie za to, że stałem tam jak głupiec, podczas gdy on widział jak otwierają się uchwyty mocujące pojemnik i wiele innych rzeczy, których ja nie zauważyłem. Pamiętam, jak zirytowany wytrącił mi z rąk czerwoną puszkę ze śniadaniowym pożywieniem. Psychologowie mówią, że raczej nie jestem wrażliwy ani bojaźliwy, ale znajdowałem się w stanie szoku, który trwał aż do chwili kiedy Jack załadował mnie do mego samolotu.

Później stewardesa powiedziała mi, że pięć osób zostało przygniecionych pod pojemnikiem, i że cała sprawa nabrała rozgłosu. Ale nie wcześniej niż minęliśmy połowę drogi do Nowego Yorku. Wówczas pamiętałem tylko to, co wydawało mi się najważniejsze, Jacka mówiącego wciąż to samo z gorzką i złą miną wyrysowaną na jego porcelanowej twarzy:

– Cholernie dużo ludzi, tłumy. Te cholerne tłumy. Zgadzam się z tobą w każdym calu. Potrzebujemy Wenus, Mitch, potrzebujemy przestrzeni...

Rozdział 3

Mieszkanie Kathy leżące z dala od centrum, w Bensonhurst, nie było duże, ale wygodne, a nawet komfortowe. W jakiś swojski, praktyczny sposób było pięknie i funkcjonalnie umeblowane. A któż mógłby je znać lepiej niż ja? Nacisnąłem guzik nad tabliczką z napisem „Dr. Nevin” i uśmiechnąłem się, kiedy otworzyła drzwi.

Nie odpowiedziała mi uśmiechem. Powiedziała za to dwie rzeczy:

– Spóźniłeś się, Mitch – oraz – Myślałam, że najpierw zadzwonisz. Wszedłem do środka i usiadłem. – Spóźniłem się, bo o mało nie zostałem zabity i nie zadzwoniłem, bo się spóźniłem. Czy to wystarcza?

Zadała pytanie, które chciałem, żeby zadała i opowiedziałem jej, jak blisko byłem śmierci tego wieczora.

Kathy jest piękną kobietą o ciepłej, przyjaznej twarzy, jej włosy są zawsze doskonale ułożone i ufarbowane w dwa odcienie blond, a oczy zawsze się śmieją. Spędziłem wiele czasu przyglądając się jej, ale nigdy nie patrzyłem na nią z większą uwagą niż teraz, gdy opowiadałem o tym, jak o mało co nie przygnoiłł mnie pojemnik cargo. Ale jakże się rozczarowałem. Naprawdę się mną przejęła, bez wątpienia. Ale serce Kathy otwiera się dla setek ludzi i w tej twarzy nie zobaczyłem nic, co mogłoby pozwolić mi przypuszczać, że o mnie troszczy się bardziej niż o kogokolwiek innego, kogo zna od lat.

Tak więc powiedziałem jej moją drugą wielką nowinę, o projekcie Wenus oraz o mojej kierowniczej w niej roli. Tym razem udało się, była zaskoczona, podniecona i szczęśliwa zarazem; pocałowała mnie nawet w przypiływie dobrych uczuć. Ale kiedy próbowałem pocałować ją tak, jak to chciałem zrobić od miesiący, poderwała się i przeszła na drugi koniec pokoju, ostentacyjnie mieszając drinka.

– Trzeba to oblać, Mitch – uśmiechnęła się. – Co najmniej szampanem. Mój drogi, to jest cudowna nowina.

Podchwyciłem szansę.

– Pomożesz mi to uczcić? Tak naprawdę uczcić?

Jej brązowe oczy zrobiły się ostrożne.

– Uhm – powiedziała. A potem – Oczywiście, że tak, Mitch. Pojedziemy razem do miasta – cała przyjemność po mojej stronie i to bez dwóch zdań. Tylko jest jedna rzecz. Będę musiała opuścić cię punktualnie o północy. Spędzam noc w szpitalu. Rano muszę zrobić histerektomię i nie mogę pójść spać za późno. Ani być zbyt pijana.

Ale uśmiechnęła się. Ja też zdecydowałem się nie przeciągać struny mojego fartu.

– Wspaniale – powiedziałem i nie było w tym nic z fałszu. Kathy jest wspaniałą dziewczyną do spędzania wieczorów w mieście. – Czy mogę skorzystać z twojego telefonu?

Zanim dopiliśmy drinki zamówiłem bilety na rewie, stół na obiad i wstęp do nocnego lokalu, Kathy wyglądała trochę niepewnie.

– Całkiem bogaty program jak na pięć godzin, Mitch – powiedziała. – Mojej histerektomii nie będzie się to podobało, jak będzie mi się kiwać głowa i drżeć palce. Ale wyperswadowałem jej to. Kathy posiada zadziwiającą zdolność regeneracji, kiedyś sama zrobiła udaną trepanację czaszki rankiem, po całonocnym wzajemnym wykrzykiwaniu złości.

Obiad był, przynajmniej dla mnie, niepowodzeniem. Nie udaję epikurejczyka, który nie znosi niczego oprócz nowych protein. Lecz z pewnością jestem facetem, który złości się, gdy płaci nowoproteinowe ceny, a dostaje towar z regenerowanych protein. Zamówiony szaszłyk miał właściwą konsystencję i układ włókien, ale smaku nie udało się oszukać i skreśliłem tę restaurację z mojej listy raz na zawsze. Przeprosiłem Kathy za to. Obróciła to w żart. Za to późniejszy pokaz był wspaniały. Hipnoza często przyprawia mnie o ból głowy, ale tym razem w transie znalazłem się niepostrzeżenie na początku filmu i potem w ogóle go nie odczuwałem.

Nocny klub był zapchany, a szef sali pomylił czas naszej rezerwacji. Musieliśmy czekać pięć minut w poczekalni i Kathy potrząsała stanowczo głową, podczas gdy ja domagałem się rozszerzenia godziny policyjnej. Kiedy szef sali zaprowadził nas wśród najuprzejmniejszych przeprosin i ukłonów do miejsca przy barze, a barman podawał drinki, przechyliła i pocałowała mnie znowu. Czuję się świetnie.

– Dziękuję – powiedziała. – To był cudowny wieczór, Mitch. Pnij się na wyższe szczeble. Podoba mi się to.

Zapaliłem papierosa dla niej i drugiego dla siebie oraz otworzyłem usta, by coś powiedzieć. Powstrzymałem się jednak. Kathy powiedziała:

– Śmiało, powiedz to.

– To znaczy, chciałem powiedzieć, że zawsze się oboje świetnie bawimy.

– Wiedziałam, że to powiesz. A ja chciałam powiedzieć, że wiem do czego zmierzasz, i że moja odpowiedź ciągle brzmi nie.

– Wiem o tym – powiedziałem ponuro. – Chodźmy już stąd.

Zapłaciła rachunek i wyszliśmy wkładając antysmogowe zatyczki, gdy uderzyło w nas powietrze ulicy.

– Taksówkę, proszę pana? – zapytał boy.

– Tak, proszę – odpowiedziała Kathy. – Tandem.

Zagwizdał na dwuosobowy trycykl z budką, a Kathy dała kierującemu adres szpitala.

– Możesz pojechać, jeśli chcesz, Mitch – powiedziała; wspiąłem się i usiadłem obok niej.

Boy popchnął nas dla rozpędu, ryksiarz mruknął coś nabierając szybkości.

Nie pytany, odciągnąłem budę. Przez moment było tak, jak podczas naszych zalotów: przyjazna ciemność, lekko stęchły zapach płóciennej budy, pisk sprężyn. Ale tylko przez chwilę.

– Co robisz, Mitch? – powiedziała ostrzegawczo.

– Proszę, Kathy – powiedziałem ostrożnie.

– Pozwól, że to powiem. To nie potrwa długo. Pobraliśmy się osiem miesięcy temu, za szybko – dodała – i to nie było prawdziwe małżeństwo. Wzięliśmy tylko czasowy ślub...

– Czy pamiętasz, dlaczego tak zrobiliśmy?

Odpowiedziała cierpliwie po chwili:

– Kochaliśmy się.

– Właśnie – powiedziałem. – Kochałem cię, a ty kochałaś mnie. Ale oboje musieliśmy myśleć o swojej pracy i zdawaliśmy sobie sprawę, że czasami trudno będzie dać sobie z tym radę. Tak więc wybraliśmy tymczasowe rozwiązanie. Miał upłynąć rok, nim zdecydujemy się, czy pobierzemy się na stałe. – Dotknąłem jej ręki, a ona jej nie cofnęła. – Kathy, kochanie, czy nie sądzisz, że wiedzieliśmy co wówczas robimy? Czy nie możemy przetrzymać chociaż rocznej próby? Zostały jeszcze cztery miesiące. Spróbujmy. Jeżeli rok się skończy i nie będziesz chciała zarejestrować swojego aktu – to przynajmniej niech nie będę mógł powiedzieć, że nie dałaś mi szansy. Jeśli chodzi o mnie, nie muszę czekać. Mój akt jest już zarejestrowany i ja się nie zmienię.

Minęliśmy właśnie latarnię uliczną i zobaczyłem jej usta wykrzywione w grymasie, którego nie mogłem odczytać.

– Och, do diabła z tym, Mitch – powiedziała ciężko. – Wiem przecież, że się nie zmienisz. To właśnie dlatego jest to takie straszne. Czy muszę tu siedzieć i mówić ci całą prawdę wprost, aby przekonać cię, że to beznadziejne? Czy mam ci powiedzieć, że jesteś złym człowiekiem, kombinatorem, makiawelistą i samolubną świnią? Kiedyś myślałam, że jesteś słodkim chłopcem, Mitch. Idealistą dbającym o zasady i etykę, a nie o pieniądze. Miałam wiele powodów, by tak myśleć. Sam mi o tym mówiłeś, bardzo przekonująco. Byłeś obłudnie przymilny, gdy chodziło o moją pracę. Wkuwałeś terminy medyczne, przychodziłeś popatrzeć, jak operuję trzy razy w tygodniu, mówiłeś o tym wszystkim swoim przyjaciołom i znajomym, podczas gdy ja siedziałam w pokoju słuchając cię, jaki dumny jesteś, że poślubisz chirurga. Po trzech miesiącach zrozumiałam, co chciałeś przez to powiedzieć. Każdy może ożenić się z dziewczyną, która będzie kurą domową. Ale ktoś taki jak Mitchell Courtenay poślubi pierwszorzędnego chirurga i zrobi z niej kurę domową. – Głos jej drżał. – Nie mogłam się na to zgodzić, Mitch. Nigdy się na to nie zgodzę. Ani na kłótnie, na dąsy i te ciągle utarczki. Jestem lekarzem. Czasami życie zależy ode mnie. A od walki z moim mężem jestem rozdarta od wewnątrz, i to nie jest życie, Mitch. Czy nie rozumiesz tego? – Usłyszałem coś, co zabrzmiało jak łkanie. Spytałem spokojnie:

– Kathy, czy kochasz mnie nadal?

Przez dłuższą chwilę była zupełnie spokojna. Potem zaśmiała się dziko i krótko.

– Tu już szpital, Mitch – powiedziała – i północ.

Odrzuciłem budę i wysiedliśmy.

– Poczekaj – rzuciłem kierującemu i odprowadziłem ją do drzwi. Nie pocałowała mnie na dobranoc, ani nie umówiła się na następne spotkanie. Stałem w hallu przez długie dwadzieścia minut, by upewnić się, czy rzeczywiście zostaje tam na noc, po czym wsiadłem do taksówki i pojechałem na najbliższy przystanek komunikacji miejskiej. Byłem w podłym nastroju. Nie pomogło mi, gdy ryksiarz zapytał mnie, kiedy mu płaciłem:

– Proszę pana, co znaczy mak... makiawelista?

– Po hiszpańsku „pilnuj swojego cholernego nosa” – powiedziałem bez namysłu. W wagonie zastanawiałem się skwaszony, jak bardzo musiałbym być bogaty, abym mógł kupić odosobnienie.

Mój humor wcale się nie poprawił, gdy następnego dnia rano przyszedłem do biura. Hester użyła całego swojego taktu, żeby nie sprowokować mnie do odgryzienia jej głowy w ciągu pierwszych kilku minut i tylko dziękować Bogu, że tym razem nie było posiedzenia Rady. Po doręczeniu mi poczty oraz sterty nocnych komunikatów międzywydziałowych Hester inteligentnie gdzieś znikła. Kiedy wróciła, przyniosła mi filiżankę kawy – autentycznej kawy hodowanej na plantacji.

– Zarządczyni parzy ją po cichu w damskiej toalecie – wyjaśniła. – Normalnie nie pozwoliłaby nam wziąć jej, gdyż boi się brygady Coffiest. Ale teraz, jak pan jest w klasie gwiazd...

Podziękowałem jej i przekazałem taśmę Jacka O’Shea, żeby przepuściła ją przez kanały. Następnie wziąłem się do pracy.

Na początku wynikała kwestia obszaru próbnego i ból głowy z Mattem Runstedem. On jest od badań rynku, więc musiałem pracować z nim i przy jego pomocy. Lecz on nie wykazywał najmniejszych skłonności do pracy ze mną. Włożyłem mapę południowej Kalifornii do projektora, podczas gdy Matt i jego dwaj bezbarwni pomocnicy strząsali popiół z papierosów na moją podłogę.

Strzałką pokazałem obszary próbne i kontrolne. San Diego do Tijuany, połowa gmin wokół Los Angeles i ta część Monterey, to będą obszary kontrolne. Resztę Kalifornii i Meksyku na południe od Los Angeles użyjemy do testów. Przypuszczam, że będziesz musiał się tym zająć, Matt. Na kwaterę główną poleciłem nasze biura w San Diego. Szefem jest tam Turner, i on jest właściwym facetem do tego zadania.

Runsted chrząknął.

– Tam nie ma ani jednego płatka śniegu od początku do końca roku. Nie można tam sprzedać płaszcza, jeśli nie dorzuci się niewolnicy jako premii. Na miłość Boską, człowieku, dlaczego nie pozostawisz badań rynku komuś, kto się na tym cokolwiek zna? Czy nie

rozumiesz, że klimat może całkowicie przekreślić twoje rachuby?

Młodszy z jego asystentów o tępych twarzach zaczął popierać swego szefa, ale uciszyłem go. W sprawach dotyczących obszarów kontrolnych musiałem konsultować się z Runstedem – to była jego specjalność. Ale Wenus był moim projektem i to ja miałem go prowadzić. Powiedziałem, co zabrzmiało może nieco chłodno:

– Dochód w skali regionu i świata, wiek, gęstość zaludnienia, warunki zdrowotne, stan psychiczny, rozkład grup wieku oraz przyczyny i wskaźnik śmiertelności tworzą średniocyfrowe sigmy, Matt. Stan Kal-Mex został pomyślany przez samego Pana Boga jako doskonały obszar próbny. W tym niewielkim wszechświecie zaludnionym przez mniej niż sto milionów ludzi odzwierciedlone są wszystkie istotne segmenty rynkowe Ameryki Północnej. Nie zmienię mojego projektu i będziemy trzymać się obszaru, który wybrałem.

Położyłem nacisk na słowo „mojego”. Matt powiedział:

– Beze mnie. Temperatura jest głównym czynnikiem. Każdy to powinien zrozumieć.

– Ja nie jestem każdy, Matt. Jestem szefem.

Matt Runsted zgasił niedopałek swego papierosa i wstał.

– Chodźmy pomówić z Fowlerem – powiedział i wyszedł. Nie pozostało mi nic innego, jak pójść za nim. Kiedy wychodziłem, usłyszałem jak starszy z jego pomocników dzwonił, by uprzedzić sekretarkę Fowlera Schockena, że idziemy do jej szefa. Miał niezły zespół, ten Runsted. Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób mógłbym utworzyć taki zespół dla siebie, nim zacząłem obmyślać jak przedstawić sprawę Flowerowi.

Ale Schocken posiadał niezwykłą umiejętność radzenia sobie z kłótniami pracowników. Zastosował ją wobec nas. Kiedy tylko nas zobaczył, zawołał wylewnie:

– Ach, jesteście! Właśnie chciałem was zobaczyć. Matt, czy mógłbyś mi to wyjaśnić? Chodzi o ludzi z A.I.G. Twierdzą, że nasze interesy z PregNot przeszkadzają im w handlu. Mówią, że zwrócą się do Tauntona, jeśli nie porzucimy PregNot. Ich obroty nie są wysokie, ale mówią, że to Taunton napuścił ich na to. – Przeszedł następnie do wyjaśnienia zawłości naszych stosunków z Amerykańskim Instytutem Ginekologów. Słuchałem tego beznamiętnie; nasza kampania „Bables Without Maybes” – „Dzień bez niepewności”, służąca ich projektowi określania płci, przyniosła im co najmniej dwudziestoprocentowy wzrost przyrostu naturalnego. Powinni być w całości nasi po tym wszystkim. Runsted też tak uważał. Odezwał się:

– Nie mają powodu, Fowler. My sprzedajemy im trunek i środek na kaca. Nie mają żadnych podstaw, by się uskarżać na jakieś inne interesy. Poza tym, co u diabła ma z tym wspólnego Badanie Rynku?

Fowler zaśmiał się z zadowoleniem.

– Właśnie! – uniósł się. – Damy im orzech do zgryzienia. Będą oczekiwać normalnego postępowania ze strony księgowości – ale zamiast tego ty zajmiesz się tym osobiście. Zarzucisz ich masą wykresów i danych statystycznych dowodzących, że PregNot wcale nie

przeszkadza parze w zrobieniu dziecka, a jedynie umożliwia im odłożenie to do chwili, kiedy będzie ich stać na zrobienie tego właściwie. Innymi słowy część ich sprzedaży wzrośnie, a jej absolutna wielkość pozostanie taka sama. I to będzie miał Taunton na uwadze. A pracownicy zostaną pozbawieni uprawnień adwokackich za reprezentowanie sprzecznych interesów. Wielu z nich oberwie za to po kieszeni. Musimy się upewnić, że każda próba narzucania tej zasady w naszym zawodzie będzie stłumiona w zarodku. Zastanów się Matt, czy zrobisz to dla starego człowieka?

– Tam do diabła, no pewnie – mruknął Runsted. – A co z Wenus?

Fowler mrugnął do mnie.

– Co o tym sądzisz? Czy możesz się obejść bez Matta przez pewien czas?

– Na zawsze – powiedziałem. – Prawdę powiedziawszy, właśnie po to tu przyszedłem.

Runsted upuścił papierosa i pozwolił, by przypalał nylonową wełnę dywanu Fowlera.

– Co u diabła... – zaczął buńczucznie.

– Spokojnie – powiedział Fowler. – Wysłuchajmy historyjki, Matt.

Runsted rzucił mi groźne spojrzenie.

– Wszystko co powiedziałem to tylko to, że południowa Kalifornia nie jest dobrym obszarem próbnym. Jaka jest różnica pomiędzy Wenus a tutejszymi warunkami? Gorąco! Potrzeba nam obszaru próbnego z umiarkowanym kontynentalnym klimatem. Mieszkańca Nowej Anglii może i można zachęcić do kolonizacji ciepłym Wenus, ale człowieka z Tijuany nigdy. I tak jest już za upalnie w Kal-Mex.

– No tak – powiedział Fowler Schocken. – Powiem ci coś, Matt. To trzeba rozpatrzeć, a ty będziesz zajęty tą sprawą z A.I.G. Wybierz dobrego człowieka, który będzie cię zastępował przy projekcie Wenus podczas twojej nieobecności i poruszmy tę sprawę na jutrzejszym popołudniowym posiedzeniu Rady. A tymczasem – spojrzał na zegar stojący na biurku – senator Danton czeka już od siedmiu minut. Dobrze?

Było oczywiste, że Matt poszedł w odstawkę. Poszło całkiem dobrze. Przyszli z Wydziału Postępu z raportem, na temat tego, czego dowiedzieli się z taśmy O'Shea i z wszystkich innych dostępnych materiałów. Wspomniano tam o możliwości szybkiego podjęcia produkcji, w warunkach prowizorycznych, czegoś w rodzaju małych, pamiątkowych kul Wenus wykonanych z substancji organicznej unoszącej się czymś, co żartobliwie nazywaliśmy „powietrzem” Wenus. Do produkcji w dalszej kolejności, wytypowano czyste żelazo: nie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach czyste i nie w dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięciu dziesiątych, ale absolutnie czyste żelazo, którego nikt nigdy nie znajdzie, ani nie wyprodukuje na planecie z tlenem, takiej jak Ziemia. Laboratoria dobrze za nie zapłacą. Przy czym Wydział Postępu odkrył, nie opracował, godną uwagi małą rzecz zwaną tubą Hilscha. Bez zużycia energii mogłaby ochładzać domy pionierów, wykorzystując gorące tornada na Wenus. Było to proste urządzenie leżące w zapomnieniu od mniej więcej 1943 roku. Nikt przed nami nie znalazł dla niego żadnego zastosowania, gdyż nikt przed nami nie musiał się

zмагаć z takimi wiatrami.

Tracy Collier, łącznik Wydziału Postępu z Sekcją Wenus próbował mi również powiedzieć o katalizatorach azotowych. Kiwałem głową od czasu do czasu, dowiadując się, że rozsiane na Wenus kawałki gąbczastej platyny, w połączeniu z ciągłymi, strasznymi piorunami spowodują opady „śniegu” z azotanów oraz opady „deszczu” z węglowodorów, oczyszczając tym samym atmosferę z formaldehydu i amoniaku.

– Ile to może kosztować? – zapytałem roztropnie.

– To nie będzie kosztowne – odpowiedział. – Platyna, jak pan wie, nic zużywa się. Jeden gram na milion lat lub dłużej, więcej platyny i reakcja zajdzie szybciej.

W rzeczywistości nie rozumiałem z tego nic, ale oczywiście były to pomyślnie wiadomości. Poklepałem go i wysłałem do pracy.

Za to Wydział Antropologii Przemysłowej zbił mnie z pantałyku. Ben Winston narzekał:

– Nie możemy zmusić ludzi, by żyli w podgrzewanej puszcze do sardynek. Nikt tego nie zaaprobuje. Kto będzie chciał podróżować sześćdziesiąt milionów mil po to, by spędzić resztę życia upchany z innymi frajerami w blaszanej chacie, kiedy może zostać na Ziemi i mieć korytarze, windy, ulice, dachy i otwartą przestrzeń, jakiej tylko może zapragnąć. To jest przeciwne ludzkiej naturze, Mitch.

Zgodziłem się z nim, ale nie na wiele się to zdało. Zaczął opowiadać o amerykańskim stylu życia – poprowadził mnie do okna i wskazał na setki dachów pod nami, gdzie mężczyźni i kobiety mogli spacerować na otwartej przestrzeni, nosząc jedynie proste nosowe zatyczki ekstraktorów sadzy zamiast dużych hełmów tlenowych.

W końcu nie wytrzymałem:

– Ktoś przecież musi chcieć pojechać na Wenus – powiedziałem. – Gdyby tak nie było, nie kupowałyby książki Jacka O’Shea, tak jak to robią. Dlaczego wyborcy wciąż głosują za miliardowymi, a nawet większymi kredytami na budowę rakiet? Bóg mi świadkiem, że nie chcę pana prowadzić za rączkę, ale oto co pan ma zrobić: przyjrzeć się ludziom, którzy kupują książki, albo tym, co wielokrotnie oglądają telewizyjne pokazy Jacka O’Shea, tym, którzy przychodzą wcześniej na jego wykłady i gromadzą się na korytarzu po nich. O’Shea bierze od nas pieniądze – wyciśnijcie z niego wszystko, co da się wycisnąć. Przyjrzyjcie się kolonii na Księżycu, dowiedźcie się, jakiego rodzaju ludzie tam mieszkają. Wtedy dowiemy się do kogo skierować naszą reklamę. Czy są jakieś niejasności, na miłość Boską? – Nie było.

Hester dokonała cudów ustalając harmonogram moich spotkań na ten dzień, ale spotkałem się roboczo z szefem każdej zainteresowanej sekcji. Nie mogła jednak odczytać moich notatek i pod koniec pracy uzbierało się ich sześć cali po mojej prawej ręce. Hester z własnej woli zaproponowała, że zostanie ze mną, ale naprawdę musiałem się z tym uporać sam. Poprosiłem, by przyniosła mi kanapki i jeszcze jedną filiżankę kawy, a potem zwolniłem ją do domu.

Kiedy skończyłem, było już po jedenastej. Zjadłem obiad na piętnastym piętrze, po czym

udałem się do mojego domu, pudła bez okien, w którym kawę czuć było drożdżami, z których została zrobiona, a szynka w kanapce miała posmak soi. Była to tylko drobna niedogodność i szybko o niej zapomniałem. Bo gdy otworzyłem drzwi do mojego mieszkania, usłyszałem świst i eksplozję, a potem coś wbiło się w futrynę drzwi tuż obok mojej głowy. Wskoczyłem do środka z wrzaskiem. Za oknem jakaś postać wisząc na drabince linowej oddalała się, z bronią w ręku.

Byłem na tyle głupi, że podbiegłem do okna i gapiłem się na napastnika transportowanego przez helikopter. Byłbym doskonałym celem, gdyby zamachowiec nie chybotął się na drabince, mógłby strzelić do mnie znowu, na szczęście tak się nie stało.

Zdziwiony swoim spokojem zadzwoniłem do Miejskiego Zrzeszenia Ochrony.

– Czy jest pan subskrybentem naszych usług? – zapytał dyżurny.

– Tak, do diabła. Od sześciu lat. Przyślijcie tu człowieka. Przyślijcie tu cały oddział.

– Chwileczkę, panie Courtenay... Pan Mitchell Courtenay? Redaktor, najwyższa klasa?

Zacisnąłem zęby.

– Należę do najwyższej klasy – przyznałem.

– Dziękuję panu. Mam przed sobą pańską kartę. Przykro mi, proszę pana, ale zalega pan z opłatami. Nie godzimy się na to, by osoby z najwyższej klasy płaciły normalne składki z uwagi na ryzyko porachunków przemysłowych, proszą pana. – Wymienił sumę, od której zjeżyły mi się wszystkie włosy na głowie.

Powstrzymałem się, dyżurny był tylko urzędnikiem, narzędziem.

– Dziękuję – powiedziałem ciężko i odłożyłem słuchawkę. Włożyłem do czytnika szpulkę Czerwonej Księgi z „Programem wydruku z urzędzeń wyszukiwania informacji” i połączyłem się ze zbiorem Agencji Ochrony, istniejących w mieście. Trzy czy cztery odmówiły mi, aż w końcu jeden prywatny detektyw o śpiącym głosie zgodził się przyjąć za słoną opłatą.

Pojawił się przed upływem pół godziny. Zapłaciłem mu, a on jedyne co zrobił, to tylko nękał mnie pytaniami, na które nie było odpowiedzi i szukał nieistniejących odcisków palców. Po chwili odszedł mówiąc, że popracuje nad tym. Poszedłem do łóżka i w końcu zasnąłem z jednym z tych jego pytań, na które nie było odpowiedzi, ciągle płaczącym się po mojej głowie. Kto chciałby zastrzelić zwyczajnego, nieszkodliwego człowieka od reklamy takiego jak ja?

Rozdział 4

Zebrałem się na odwagę i śmiało przemierzyłem hall kierując się prosto do biura Fowlera Schockena. Potrzebowałem odpowiedzi, a on mógł ją znać. Choć mógłby mnie wyrzucić ze swego biura za samo pytanie, to musiałem znać tę odpowiedź.

Nie był to najlepszy moment dla zadawania pytań Fowlerowi. Tuż przede mną, drzwi do jego gabinetu otworzyły się gwałtownie i Tildy Mathis wybiegła chwiejnym krokiem. Spojrzała na mnie, ale mógłbym przysiąc, że nie znała mego nazwiska.

– Przepisać – powiedziała dzikim głosem. – Całe serce oddaję dla tego starego siwego szczura, a jak on mnie traktuje? Przepisać. „To jest dobry tekst, ale od pani chcę znacznie lepszy niż dobry” powiedział. „Niech pani to przepisze” mówi. „Chcę kolorów. Chcę powabu i piękna, czułości, ludzkiego ciepła i ekstazy, oraz tych wszystkich delikatnych, smutnych uczuć płynących z pani słodkiego kobiecego serca” rzekł. „I choćby to było w piętnastu słowach”. Dam mu piętnaście słów – zaszlochła i popędziła obok mnie przez hall. – Dam to temu świętoszkowi, słodkiemu, obleśnemu, patriarchalnemu, tworzącemu gwiazdy i pożerającemu geniuszy Molochowi, temu staremu...

Trzaśnięcie drzwi do pokoju Tildy przerwało jej słowa. Szkoda, to mogło być chyba dobre określenie.

Odchrząknąłem, zapukałem jeden raz i wszedłem do biura Fowlera. W uśmiechu, którym mnie przywitał nie było śladu utarczki z Tildą. Prawdę powiedziawszy jego zaróżowiona, jasnooka twarz zaprzeczała moim podejrzeniom, ale... przecież strzelano do mnie.

– Ja tylko na chwilę, Fowler – powiedziałem. – Chcę wiedzieć, czy grasz ostro z Towarzystwem Tauntona?

– Zawsze gram ostro – zamrugał oczami. – Ostro, ale czysto.

– Chodzi mi o to, czy przypadkiem nie bardzo, bardzo ostro i bardzo, bardzo nieczysto. Czy próbowałeś kiedyś, przy jakiejś sposobności zastrzelić ich ludzi?

– Mitch! No wiesz!

– Pytam tylko – zawziętem się – ponieważ wczoraj wieczorem jakiś strzelec z helikoptera próbował mnie podziurawić, gdy przyszedłem do domu. Nic mi nie przychodzi do głowy, tylko zemsta Tauntona.

– Skreśl z listy Tauntona – powiedział kategorycznie. Wciągnąłem głęboko powietrze.

– Fowler – powiedziałem – mówiąc między nami, czy nikt cię nie uprzedzał? Ja może się już nie liczę, ale muszę spytać. Nie chodzi o mnie. Chodzi o projekt Wenus.

W tym momencie Fowler nie wydał jak zwykle policzków, a w jego oczach dostrzegłem, że moja praca i pozycja w uprzywilejowanej, najwyższej klasie ważą się na szali.

– Mitch – powiedział. – Awansowałem cię do najwyższej grupy, gdyż sądziłem, że podolasz odpowiedzialności, która za tym idzie. To nie jest po prostu praca. Wiem, że potrafisz ją wykonać. Sądziłem, że będziesz również umiał żyć tak jak wszyscy ludzie reklamy.

– Tak jest – przytaknąłem.

Usiadł i zapalił Starra. Dokładnie po ułamku chwili wahania pchnął paczkę w moim kierunku.

– Mitch, jesteś młodzikiem, bardzo krótko w najwyższej klasie, ale już masz władzę. Pięć twoich słów i w przeciągu tygodnia lub miesiąca pół miliona klientów odkryje, że ich życie jest kompletnie odmienione. To jest władza, Mitch, i to absolutna. Znasz to stare powiedzenie. Władza uszlachetnia. Władza absolutna, uszlachetnia absolutnie.

– Tak jest – powiedziałem. Znałem wszystkie jego archaiczne powiedzenia, w których się lubowałem. Wiedziałem również, że w końcu odpowie na moje pytanie.

– Ach, Mitch – powiedział rozmarzonym głosem, wymachując papierosem. – Mamy swoje przywileje, swoje obowiązki oraz swoje ryzyko. Nie można mieć jednego bez pozostałych. Gdybyśmy nie prowadzili wojen, to wysiadłby cały system kontroli i równowagi.

– Fowler – powiedziałem, zdobywając się na odwagę. – Wiesz, że nie uskarżam się na system. Działa sprawnie, nic dodać nic ująć. Wiem, że potrzebujemy wojen. Jest rzeczą zrozumiałą, że jeżeli Taunton wypowiada nam wojnę to trzeba stosować się do zasad. Nie można rozprzestrzeniać tej informacji, bo każdy kierownik na stanowisku będzie rozglądał się za osłoną, zamiast wykonywać swoją pracę. Ale Wenus, cały projekt znajduje się w mojej głowie, Fowler. W ten sposób daję sobie z nim lepiej radę. Gdybym wszystko zapisywał nie byłbym tak szybki.

– To oczywiste – powiedział.

– Przypuśćmy, że zostałeś ostrzeżony i że to ja będę pierwszym, którego Taunton chce sprzątnąć – co wówczas stanie się z projektem?

– Może masz rację – przyznał. – Zgadzam się z tobą, Mitch. Nie było jednak żadnego ostrzeżenia.

– Dziękuję, Fowler – powiedziałem szczerze. – Strzelano do mnie. A tamten wypadek w Waszyngtonie może też nie był wypadkiem. Nie podejrzewasz, że Taunton mógłby wypowiedzieć wojnę bez ostrzeżenia ciebie, co?

– Nie sprowokowałem ich aż do tego stopnia i chyba jednak nigdy nie zrobiliby czegoś takiego. Stosują tanie i nieuczciwe chwyt, ale znają reguły gry. Zabijanie w trakcie wojny przemysłowej jest wykroczeniem. Zabijanie bez ostrzeżenia jest czynem karygodnym. Nie trudno się w tym rozeznaczyć, jeśli się nie myłę.

– Nie – powiedziałem. – Moje życie było dotąd bardzo nieciekawe. To wszystko jest zwariowane. To musiała być jakaś pomyłka. Ale cieszę się, że ktokolwiek to był, że nie trafił.

– Ja też, Mitch, bardzo się cieszę! Skończmy jednak z twoim życiem osobistym, czas wziąć się za interesy. Widziałeś się z O'Shea? – już nie pamiętał o strzelaniu.

– Tak. Przyjeżdża tu dzisiaj. Będzie ze mną ściśle współpracował.

– Wspaniale. Część jego sławy spadnie na Towarzystwo Fowler Schockena, jeżeli dobrze rozegramy tę kartę. Postaraj się o to, Mitch. Nie muszę ci mówić, jak masz to zrobić.

Był to znak, że ze mną skończył.

O'Shea czekał w przedpokoju mojego biura. Nie nudził się, bo większość żeńskiego personelu skupiła się wokół niego, podczas gdy on siedział na biurku mówiąc coś apodyktycznie i ze swadą. Nie można było się pomylić co do ich spojrzeń. Był trzydziestopięcioletnim karłem, lecz miał pieniądze i sławę, te dwie drobne rzeczy, do których uwielbienie wpajamy od lat wszystkim ludziom. O'Shea mógł przebierać wśród kobiet. Ciekaw byłem, ile ich miał od czasu swego triumfalnego powrotu na Ziemię.

Nasze biuro było doskonale prowadzone, personel zdyscyplinowany, ale dziewczyny nie rozeszły się, dopóki nie odchrząknąłem.

– Cześć, Mitch – powiedział O'Shea. – Już po szoku?

– Jasne. Zaraz potem doznałem następnego. Ktoś próbował mnie zastrzelić. – Opowiedziałem mu całą historię, a on chrząknął znacząco.

– Czy rozważyłeś możliwość wynajęcia ochrony? – zapytał.

– Oczywiście, lecz jej nie wezmę. To musiała być jakaś cholerna pomyłka.

– Tak jak z tym pojemnikiem ładunkowym?

Przemilczałem ten fat.

– Jack, proszę cię, czy moglibyśmy zmienić temat? Obrzydzenie mnie bierze.

– Jak sobie życzysz – skłonił się. – A teraz, do roboty, co dziś robimy?

– Po pierwsze, musimy znaleźć słowa. Chcemy słów o Wenus, słów, które poruszają ludzi. Takich, które ich porażą. Niech zamarzą o zmianie w swoim życiu, przestrzeni i o dalszych słowach. Tym razem takich, które spowodują, że poczują się choć trochę niezadowoleni z tego czym są i nieco podnieceni perspektywą tego, czym mogliby być. Słowach, które spowodują, że doznawane przez nich uczucia będą wzniosłe, a nie płaskie. Słowach, które to wszystko sprawią i uczynią ich szczęśliwymi, a to za sprawą Indiestries i Starrzelius Verily oraz Zrzeszenia Fowlera Schockena. Słowach, które będą miały siłę sprawczą i sprawią, że będą nieszczęśliwi myśląc o Universal Products i Towarzystwie Tauntona.

Gapił się na mnie z rozdziawioną gębą.

– Nie mówisz chyba tego poważnie – zawołał w końcu.

– Jesteś już po tej stronie – powiedziałem szczerze. – To nasz styl pracy. Tak pracowaliśmy nad tobą.

– O czym ty mówisz?

– Jack, twoje ubranie i obuwie jest ze Starrzelius Verily. To znaczy, że jesteś nasz. Taunton i Universal pracowali nad tobą, Starrzelius i Schocken pracowali nad tobą, a ty wybrałeś Starrzeliusa. Dopadliśmy cię. Łatwo, gdyż nawet przez jedną chwilę nie byłeś świadomy, że to się stało, zostałeś przekonany, że w ubraniach i butach Starrzeliusa coś jest, w ubraniach i obuwiu z Uniwersalu nie.

– Nigdy nie czytałem reklam – powiedział wyzywająco. Uśmiechnąłem się.

– Ale ty, nasz największy chwyt reklamowy, jesteś chodzącą reklamą naszych wyrobów – powiedziałem.

– Uroczyście przyrzekam – powiedział O’Shea – że zaraz po powrocie do hotelu wrzucę moje ubranie do spalarki...

– Nawet bagaż? – spytałem. – Bagaż od Starrzeliusa?

Przez chwilę wyglądał na przestraszonego, ale zaraz odzyskał spokój.

– Bagaż Starrzeliusa także – powiedział. – A następnie podniosę słuchawkę i zamówię w Universalu walizki i ubrania. I nie powstrzymasz mnie od tego.

– Nawet nie myślę cię powstrzymywać, Jack. To będzie tylko oznaczało jeszcze lepszy interes dla Starrzeliusa. Powiem ci, co zrobisz. Kupisz komplet walizek i ubrań Universalu. Będziesz z nich korzystał, ale wciąż z niejasnym, podświadomym uczuciem niezadowolenia. Będzie to szarpało twoje libido, gdyż nasze reklamy Starrzeliusa – nawet jeśli mówisz, że ich nie znasz, przekonały cię, że zadawanie się z inną firmą nie jest męskie. Ucierpi na tym uczucie twojej własnej godności. W głębi duszy będziesz przekonany, że nie jesteś najlepiej ubrany. Twoja podświadomość długo tego nie wytrzyma. Będziesz miał wrażenie, że „gubisz” kawałki odzieży Universalu. „Przypadkowo” złapiesz się na wkładaniu nóg przez mankiety twoich spodni z Universalu. Będziesz się łapał na upychaniu ubrań w walizki z Universalu i będziesz go przeklinał za to, że nie jest pojemniejszy. Będziesz wchodzić do sklepów, gdzie w nagłym ataku amnezji będziesz kupował produkty Starrzeliusa. Przekonasz się.

O’Shea zaśmiał się niepewnie.

– I zrobiliście to ze mną za pomocą słów?

– Słów i obrazów. Wzrok oraz dźwięk, a także powonienie, smak i dotyk. Ale najważniejsze ze wszystkich są słowa. Czy czytujesz poezję?

– O Boże, oczywiście, że nie. Któż to dzisiaj robi?

– Nie mam na myśli współczesnych wierszy; masz całkowitą rację jeśli chodzi o ich wartość. Mam na myśli Keatsa, Swinburne’a, Wylie’ego – największych poetów.

– Kiedyś ich czytywałem – przyznał roztropnie. – Ale o co w tym chodzi?

– Mam zamiar poprosić cię, byś spędził ten ranek, a także popołudnie z jedną z największych na świecie poetek lirycznych, dziewczyną o nazwisku Tildy Mathis. Ona sama nie wie, że jest poetką, uważa się za sekretarkę szefa. Nie wyprowadzaj jej z błędu. Mogłaby poczuć się nieszczęśliwa.

*Ty nieskalana panno młoda spokoju
Wychowanko Ciszy i powolnego Czasu...*

Tego typu rzeczy pisałyby przed powstaniem reklamy. Zależność jest oczywista. Reklama w górę, poezja liryczna w dół. Po świecie chodzi wielu ludzi zdolnych do składania słów w

wersy, które poruszają, dotykają, wręcz śpiewają. Kiedy możliwe stało się zarabianie na życie za pomocą reklamy wykorzystującej te możliwości, poezja liryczna stała się domeną grafomanów i zwykłych gryzpiórków, którzy odtąd musieli się mieć na baczności, a ich poezja to zwykły wyścig dziwactw.

– Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz? – zapytał.

– Powiedziałeś, że należysz do nas, Jack. Z władzą związana jest odpowiedzialność. W naszym zawodzie sięgamy do najgłębszych warstw duszy mężczyzn i kobiet. Robimy to wykorzystując talent i... przeorientowując go. Nikt nie powinien igrać z życiem w sposób, w jaki my to robimy, chyba że powodują nim najwyższe ideały.

– Rozumiem cię – powiedział cicho. – Nie martw się o moje motywacje. Nie chodzi mi o pieniądze, ani o sławę. Jestem tu po to, by ludzkość ponownie zdobyła trochę godności i przestrzeni do życia.

– Nie myślałem inaczej – powiedziałem, przybierając Wyraz Numer Jeden. Ale w duchu przeraziłem się. „Najwyższym ideałem”, jaki mu właśnie miałem podać, była Sprzedaż.

Zadzwoiłem do Tildy.

– Porozmawiaj z nią – powiedziałem. – Odpowiadaj na jej pytania. Ją też pytaj. Postaraj się, by była to długa, przyjacielska pogawędka. Pozwól, by skorzystała z twoich doświadczeń. A ona, nie wiedząc o tym ubierze twoje doświadczenia w liryczne strofy, które trafią do serc i dusz milionów. Nie śmieję się z niej.

– Oczywiście. Ale, Mitch, czy ona nie będzie się śmiała ze mnie?

Z tym wyrazem twarzy przypominał mi figurkę Tanagry, radosnego młodego satyra.

– Nie będzie – przyrzekłem uroczyście. Wszyscy przecież znali Tildę.

Tego popołudnia, pierwszy raz od czterech miesięcy, zadzwoniła do mnie Kathy.

– Czy stało się coś niedobrego? – spytałem oschle. – Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Nic takiego, Mitch – zachichotała. – Chciałam tylko usłyszeć twój głos i podziękować za wspaniały wieczór.

– A co powiesz na jeszcze jeden – zapytałem żywo.

– Odpowiada ci kolacja u mnie dziś wieczorem?

– Oczywiście, że odpowiada. Jakiego koloru sukienkę włożysz, mam zamiar kupić ci prawdziwe kwiaty.

– Och, Mitch, nie musisz być ekstrawagancki. Nie jesteśmy narzeczeństwem i wiem, że masz więcej pieniędzy od Pana Boga. Ale jest coś, co pragnę, żebyś przyniósł...

– Powiedz tylko.

– Jack O’Shea. Załatwisz to? Widziałam w transmisji, że przyjechał do miasta dziś rano, jak przypuszczam, pracuje z tobą.

Nie mogła mnie bardziej przygasić. Ale powiedziałem:

– Tak, pracuje. Spytałem go i oddzwonię. Czy jesteś teraz w szpitalu?

– Tak. Bardzo ci dziękuję za fatygę. Strasznie bym chciała go poznać.

Skontaktowałem się z O'Shea w biurze Tildy.

– Jesteś zajęty dziś wieczorem? – zapytałem.

– Hmm... Mógłbym być – powiedział. Najwidoczniej zastanawiał się nad Tildą.

– Oto moja propozycja. Mała kolacyjka w domu z moją żoną i ze mną. Tak się składa, że jest piękną kobietą, dobrym kucharzem, pierwszorzędnym chirurgiem i doskonałym towarzyszem.

– Umówione.

Tak więc zadzwoniłem do Kathy i powiedziałem jej, że przywiozę jej upragnionego lwa salonowego około siódmej.

O'Shea wszedł dumnym krokiem do mojego biura o szóstej, mruczając od progu.

– Lepiej wycofam się z tego, Mitch. Ta twoja panna Mathis podoba mi się. Co za głupek ze mnie. Czy ona jest na tyle przytomna, by wyjść z tego nałogu?

– Nie sądzę – powiedziałem. – Ale Keats został złowiony przez dziewczuchę z biura projektów, a Byron nie miał na tyle rozumu, by się nie nabawić choroby wenerycznej. Swinburne z kolei, urządził ze swojego życia tragiczne bagno. Czy mam kontynuować?

– Nie, proszę. A jaki jest twój związek małżeński?

– Tymczasowy – powiedziałem, trochę wbrew sobie z odrobiną bólu w głosie.

O'Shea uniósł nieco brwi.

– Może zostałem niewłaściwie wychowany, ale jest coś w tego rodzaju związkach, co mnie irytuje.

– Mnie również – powiedziałem – przynajmniej w moim przypadku. Na wypadek gdyby Tildy zapomniała ci powiedzieć, moja piękna i utalentowana żona nie chce sfinalizować związku, aktualnie nie żyjemy ze sobą i jeżeli w ciągu czterech miesięcy nie przekonam jej do legalizacji, nasze drogi się rozejdą.

– Tildy rzeczywiście zapomniała mi o tym powiedzieć – powiedział. – Wydaje mi się, że cierpisz z tego powodu.

Prawie się rozczuliłem nad samym sobą. O mało co nie wywołałem jego współczucia. Prawie zacząłem opowiadać mu jak mi ciężko, jak bardzo ją kochałem, jak nie dawała mi spokoju, jak próbowałem wszystkiego o czym tylko pomyślałem, żeby ją o tym przekonać, ale bez skutku. I nagle zdałem sobie sprawę, że wygarnąłbym to wszystko do sześćdziesięciofuntowego karła, który, gdyby się ożenił, to w każdej chwili mógłby stać się dla swojej żony beużyteczną zabawką lub zwykłym śmieciem.

– To naprawdę nieciekawe – powiedziałem. – Chodźmy, Jack. Czas, byśmy się czegoś napili, a potem do pociągu.

Kathy nigdy nie wyglądała śliczniej i nagle zapragnąłem, by nie odmówiła mi wydania kilkudniowego zarobku na stanik od Cartiera.

Przywitała się z O'Shea, a on oznajmił głośno i bez ogródek:

– Lubię cię. Nie masz w oczach tego błysku, który mówi: „czyż on nie jest oryginalny?” Ani błysku „Boże, ależ on musi być bogaty i sfrustrowany”. Albo „Dziewczyna ma prawo popробować wszystkiego”. Krótko mówiąc ty lubisz mnie i ja lubię ciebie.

Jak można było się spodziewać był już nieco pijany.

– Napije się pan kawy, panie O'Shea? – zapytała. – Zrzućnowałam się na prawdziwe wieprzowe kielbaski i prawdziwy sok jabłkowy, mam nadzieję, że pan ich skosztuje.

– Kawa? – powiedział. – Dla mnie coffiest, proszę pani. Pić prawdziwą kawę byłoby nielojalne wobec takiej dużej firmy jak Zrzeszenie Fowlera Schockena, z którym jestem związany. Czy nie mam racji, Mitch?

– Rozgrzeszę cię tym razem – powiedziałem. – Poza tym Kathy uważa, że nieszkodliwe alkaloidy w coffiest nie są tak do końca nieszkodliwe. Na szczęście, gdy to mówiłem, Kathy stała w kąciu kuchennym odwrócona do nas plecami i albo nie słyszała, albo było jej wygodniej udać, że nie słyszy. Kiedyś stoczyliśmy czterogodzinną bitwę na ten temat, wypełnioną epitetami w rodzaju „truciciel dzieci” czy „stuknięty reformator” oraz kilkoma krótszymi, za to bardziej dosadnymi.

Podano kawę, która przygasiła delikatne rumieńce Jacka O'Shea. Kolacja była cudowna. Po niej poczuliśmy się wszyscy bardziej odprężeni.

– Przypuszczam, że był pan na Księżycu? – zapytała Kathy.

– Jeszcze nie. Może któregoś dnia.

– Tam nic nie ma – powiedziałem. – To strata czasu. Jeden z naszych najgłupszych chybionych wydatków. Sądzę, że ponieśliśmy je dla zebrania doświadczeń, które przydadzą się w eksploracji Wenus. Kilka tysięcy ludzi pracujących w kopalniach – to wszystko.

– Przepraszam – powiedział O'Shea i wyszedł do toalety. Skorzystałem z okazji.

– Kathy, kochanie – powiedziałem. – To cudownie, że mnie zaprosiłaś. Czy to coś oznacza?

Potała kciukiem o palec wskazujący, a ja wiedziałem, że cokolwiek po tym geście powie, będzie kłamstwem.

– Może, Mitch – skłamała nieśmiało. – Musisz mi dać trochę czasu.

Nie wytrzymałem i odkryłem karty.

– Kłamiesz – powiedziałem z oburzeniem. – Zawsze tak robisz, zanim mi skłamiesz. Nie znam drugiej takiej osoby – pokazałem jej gest, a ona zaśmiała się krótko.

– Ja też zagram fair – powiedziała z gorzkim rozbawieniem. – Ty zawsze wstrzymujesz oddech i patrzysz prosto w oczy, kiedy mi kłamiesz.

– Nie wiem jak twoi klienci i współpracownicy, ale...

O'Shea wrócił do pokoju i natychmiast wyczuł napięcie między nami.

– Powinienem już pójść – powiedział. – Mitch, czy wyjdziemy razem?

Kathy skinęła głową i powiedziała.

– Tak.

Przy drzwiach wymieniliśmy zwykle grzeczności, a Kathy pocałowała mnie na dobranoc. Był to długi, ciepły i namiętny pocałunek, od którego powinien zaczynać się wieczór, a nie kończyć. Rozgrzała ją – wyczułem to – ale chłodno zamknęła drzwi za nami.

– Myślisz o wynajęciu ochroniarzy? – zapytał O’Shea.

– To była pomyłka – powiedziałem z uporem.

– Chodźmy więc do ciebie na drinka – powiedział szczerze.

Sytuacja była niemal wruszająca. Sześćdziesięciofuntowy Jack O’Shea jako mój goryl.

– Oczywiście – powiedziałem. Wsiedliśmy do kolejki.

Wszedł pierwszy do pokoju, włączył światło i nic się nie wydarzyło. Pociągając słabą whisky z wodą sodową snuł się po pokoju sprawdzając zamki okien, zawiasy i tym podobne.

– To krzesło wyglądałoby lepiej tam – powiedział. – „Tam” było oczywiście miejscem poza linią strzału przez okno. Przesunąłem je.

– Uważaj na siebie, Mitch – powiedział na odchodnym. – Twojej uroczej żonie oraz twoim przyjaciółom brakowałoby ciebie, gdyby coś wydarzyło.

Jedynie co mi się przytrafiło, to obtarcie naskórka na goleni przy ścieleniu łóżka, zresztą nie pierwszy raz. Nawet Kathy, ze swoimi wdzięcznymi, oszczędnymi ruchami chirurga miała szramy świadczące o życiu w ciasnocie miejskiego mieszkania. Łóżko rozkłada się wieczorem, rano składa, do śniadania rozkłada się stół, by go zaraz potem złożyć, żeby dostać się do drzwi. Nic dziwnego, że niektórzy krótkowzroczni ludzie wzdychali do starych dni, myślałem, układając się wygodnie do snu.

Rozdział 5

Wydarzenia toczyły się codziennym rytmem przez tydzień. Runsted zniknął mi z oczu zajęty aferą PregNot kontra A.I.G., a ja mogłem działać.

Pracownicy Tildy produkowali teksty zależnie od nastroju, czasami z wielkim trudem ledwie jedną linijkę dziennie, czasem z błyskiem w oczach stronę za stroną bez najmniejszego trudu, jak opętani. Tilda kierowała i przebierała ich wypociny oraz przesyłała mi najlepsze z najlepszych: teksty dziewięciominutowych programów reklamowych, podpisy pod zdjęcia, ulotki rekrutacyjne, historyjki informacyjne, stronicowe reklamówki, szeptane hasła kampanii, poparcia, dowcipy, wiersze i określenia dwuznaczne (zwykle oraz świńskie).

Na wizji wrzało. Dekoratorzy i kamerzyści nieźle bawili się realizując obrazy planety. Doszli do perfekcji w realizacji reklamówek „Przed i po”, całkowicie pochłonięci tworzeniem

historii.

W Wydziale Rozwoju wyciągano jednego za drugim króliki z kapelusza. Collier pewnego razu, gdy zwróciłem mu uwagę, że jest zbyt optymistyczny, wyjaśnił mi dlaczego.

– To energia, panie Courtenay. Wenus ma wielkie zasoby energii. Jest bliżej Słońca. Słońce przelewa tę całą energię na planetę w postaci ciepła, wiązań molekularnych oraz szybkich cząstek. Tutaj na Ziemi nie ma takiego poziomu możliwej do wykorzystania energii. Używamy wiatraków przetwarzających energię kinetyczną atmosfery. Na Wenus będziemy używali do tego celu turbin. Jeżeli będziemy chcieli mieć elektryczność, po prostu zbudujemy akumulator, założymy piorunochron i odskoczmy. To zupełnie inny poziom.

Wydział Badań Rynku i Antropologii Przemysłowej zajmował się w San Diego marketingiem na terytorium Kal-Mex, korzystając z tekstów Tildy, podkładów wizyjnych i filmów. Miałem bezpośrednie połączenie z biurem Hama Harrisa, zastępcy Runsteda w San Diego.

Typowy dzień rozpoczynał się spotkaniem Sekcji Wenus. Otwierała je moja porywająca mowa, potem następowały sprawozdanie z postępu wszystkich prac, krytyka i sugestie międzywydziałowe. Harris mógł telefonicznie doradzać zespołowi Tildy, żeby w tekstach jemu przesyłanych zamiast zwrotu „spokojna atmosfera” używała innych wyrażen. Tilda z kolei mogła spytać Colliera, czy dobrze byłoby użyć w ulotce rekrutacyjnej terminu „topazowe piaski”, sugerującego, że na planecie aż roi się od nieobrobionych szlachetnych i półszlachetnych kamieni. Collier mógł powiedzieć specom od wizji, że atmosferę Wenus powinni zrobić bardziej czerwoną w panoramie „Przed”. A ja mogłem sobie pozwolić na zbesztanie Colliera, by dał temu pokój, gdyż jest to dozwolona swoboda.

Po zakończeniu spotkania każdy szedł do swojej pracy, a reszta dnia mijala mi na rozwiązywaniu problemów, koordynowaniu i interpretowaniu ogólnych dyrektyw, aż do szczebla wykonawczego. Przed końcem pracy zbieraliśmy się jeszcze raz. Spotkanie poświęcałem wówczas jakiemuś szczególnemu tematowi, takiemu jak zintegrowanie produktów Starrzeliusa z gospodarką Wenus lub poziom dochodów przyszłych kolonistów z punktu widzenia optymalnej siły nabywczej w dwadzieścia lat po wylądowaniu.

A potem następowała najprzyjemniejsza pora dnia. Pomiędzy Kathy i mną znowu się układało. Ciągłe byliśmy pod oddzielnymi przykrywkami, ale ja, pełen optymizmu, byłem pewien, że tym razem to już nie potrwa długo. Umawialiśmy się ze sobą, wychodziliśmy do miasta i bawiliśmy, ale z uczuciem, że dobrze jedząc i pijąc, równie dobrze się ubierając, jesteśmy parą używających życia przystojnych ludzi sukcesu. Prawie w ogóle nie rozmawialiśmy na poważne tematy. Ona nie zachęcała mnie do tego, a ja nie nalegałem. Sądziłem, że czas gra na moją korzyść. Jack O’Shea przed swoim wyjazdem na wykład do Miami raz wybrał się z nami i to również polepszyło mi samopoczucie. Para eleganckich, przystojnych ludzi, którzy zaszli tak wysoko, że mogli bawić się w towarzystwie pierwszorzędnej światowej sławy. Życie było piękne.

Po tygodniu ciągłego zadowolającego postępu w pracy powiedziałem Kathy, że nadszedł czas, bym zwizytował znajdujące się w terenie urządzenia – poligon rakietowy w Arizonie oraz biuro badań rynkowych w San Diego.

– Wyśmienicie – powiedziała. – Czy mogę się z tobą zabrać?

Ucieszyłem się jak głupiec. Byłem pewien, że to już nie potrwa długo. Wizytacja poligonu rakietowego przebiegła bez zakłóceń. Skłamałem tam paru swoich ludzi, łączników z armią, Lotnictwem Republikańskim, Bell Telephone Labs i U.S. Steel za opieszałość. Oprowadzili Kathy i mnie po tym monstrum bez zajknięcia, jak przewodnicy turystów.

– ...potężny stalowy pancierz... kubatura większa od średniego nowojorskiego biurowca... regeneracja żywności, wody i powietrza w cyklu zamkniętym... po jednej trzeciej miejsca zajmuje napęd, ładunek i przestrzeń do życia... bohaterscy pionierzy... izolacja... układy zasilające życie... urządzenia przenoszące ciepło od strony słonecznej na zacienioną... bezprzykładowy wysiłek przemysłu... narodowe poświęcenie, bezpieczeństwo narodowe...

Dziwne, ale na mnie największe wrażenie wywarła nie sama rakietka, lecz to, że teren był oczyszczony: żadnych domów, żadnych przeszkolonych pomostów, żadnych zbiorników na żywność ani baterii słonecznych. Częściowo działało się tak ze względów bezpieczeństwa, częściowo z uwagi na promieniowanie. Błyszczący piasek poprzecinany rurami nawadniającymi wyglądał bardzo dziwnie. Prawdopodobnie nie było podobnego widoku w całej Ameryce Północnej. Widok zmęczył moje oczy. Od lat skupiałem wzrok na odległość nie większą niż kilkanaście metrów.

– Jak dziwnie – powiedziała Kathy stojąc przy mnie. – Czy moglibyśmy się tam przejść?

– Przykro mi, dr Nevin – powiedział jeden z łączników. – Nazywamy to linią śmierci. Strażnicy na wieżach mają rozkaz strzelać do każdego, kto się tam pojawi.

– Niech pan odwoła ten rozkaz – powiedziałem. – Doktor Nevin i ja chcielibyśmy się tam przejść.

– Oczywiście, panie Courtenay – powiedział bardzo zmartwiony. – Postaram się, ale zajmie to trochę czasu. Muszę uzyskać zgodę C.I.C., Wywiadu Morskiego, CIA, FBI, A.E.C., Służby Bezpieczeństwa i Wywiadu...

Spojrzałem na Kathy, która wzdrygnęła ramionami w bezradnym rozbawieniu.

– Nieważne – powiedziałem.

– Dzięki Bogu – westchnął mój łącznik. – Przepraszam, panie Courtenay. Nigdy tego nie robiliśmy, więc nie ma przetartych kanałów. Pan wie, co to znaczy?

– Oczywiście – odparłem serdecznie. – Proszę mi powiedzieć, czy wszystkie przedsięwzięte środki bezpieczeństwa opłaciły się?

– Wydaje się, że tak, panie Courtenay. Nie było żadnego sabotażu, szpiegostwa, czy to zagranicznego, czy ze strony Consie, o którym byśmy się nie dowiedzieli w porę.

Z namaszczeniem potarł palcem prawej ręki o ładny dębowy pierścienek zaręczynowy, który nosił na środkowym palcu lewej ręki. Zanotowałem w pamięci, by sprawdzić jego

wydatki. Mężczyzna z jego poborami nie powinien być zainteresowany w noszeniu tego rodzaju biżuterii.

– Consie są zainteresowani? – zapytałem.

– Kto wie? C.I.C., CIA oraz A.E.C.S.&I. mówią, że tak. Wywiad Morski, FBI, że nie. Czy chciałby się pan spotkać z komandorem MacDonaldem? Jest tutaj specjalistą od Consie.

– Masz ochotę na spotkanie ze specjalistą od Consie, Kathy? – zapytałem.

– Jeśli mamy czas – odpowiedziała.

– Powiem, żeby zatrzymali dla was samolot – powiedział łącznik, próbując gorliwością naprawić fiasko ze strażnikami na wieży. Poprowadził nas przez płataninę szop i magazynów do budynku administracyjnego, gdzie przeprowadził przez siedem punktów kontroli, aż dotarliśmy do biura komandora.

MacDonald był jednym z tych zawodowych oficerów, których widok poprawia samopoczucie, jeśli jest się obywatelem amerykańskim – spokojny, kompetentny i silny. Z jego insygniów, baretek i oznak na ramionach zorientowałem się, że był wywiadowcą w Agencji Wywiadowczej Pinkertona zaangażowanym przez nas na trzeci już pięcioletni kontrakt. Był zawodowcem, nosił odznaczenie Wyższej Szkoły Służby Śledczej i Wywiadu Wojskowego w Pinkerton. Był to stylizowany wizerunek sosny z wyrzeźbionym na jej tle otwartym okiem. Nie była to błyskotliwa, inkrustowana robota, lecz była solidna. Odnosiło się wrażenie, że mamy do czynienia z wysoką jakością.

– Chcieli państwo usłyszeć o Consie? – zapytał spokojnie. – Jestem do usług. Poświęciłem swoje życie na ich zwalczanie.

– Jakaś osobista uraza, komandorze? – zapytałem sądząc, że usłyszę coś melodramatycznego.

– Nie. Staromodna duma zawodowa i nic ponadto. Lubię też dreszczyk polowania, chociaż nie ma w tym wiele z łowów. Dosiegamy ich zakładając pułapki. Czy słyszeli państwo o zamachu w Topeka? Oczywiście nie powinienem zwać na innych, ale strażnicy powinni byli wiedzieć, że była to przykrywka dla demonstracji Consie.

– A to dlaczego, komandorze? – zapytała Kathy.

– Przeczucie – powiedział, uśmiechając się chytrze. – To jest coś, co ciężko jest wyrazić słowami. Consie nie lubili górnictwa hydraulicznego od zawsze. Jeśli dać im jakąkolwiek szansę zademonstrowania niechęci do tej gałęzi przemysłu, to podejmą rękawicę.

– Ale dlaczego aż tak nie lubią górnictwa hydraulicznego? – nalegała. – Przecież dzięki niemu mamy węgiel i stal, nieprawdaż?

– No tak – powiedział z udanym znużeniem. – Chce pani, bym wysondował mózg Consie. Przesłuchiwałem ich po sześć godzin bez przerwy i nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by mówili do rzeczy. Jeżeli, powiedzmy, złapałbym tego Consie od zamachu w Topeka, to będzie mówił chętnie – ale to będą kpiny. Powie mi, że górnictwo hydrauliczne niszczy górną warstwę gleby. Ja powiem, że tak i jakie to ma znaczenie. On odpowie, czy nie rozumiem

tego? Spytam czego. A on wówczas walnie mi wykład o tym, że górna warstwa gleby nigdy nie będzie mogła być odtworzona. Powiem, że hodowla w zbiornikach jest lepsza. On odpowie coś w rodzaju, że hodowla w zbiornikach nie umożliwia naturalnego procesu reprodukcji zwierząt i tak dalej. Zawsze będzie mi wmawiał, że świat schodzi na psy, i że ludziom trzeba to uświadomić, a ja jemu, że do tej pory jakoś sobie radziliśmy i w przyszłości też damy sobie radę.

Kathy uśmiechnęła się niedowierzająco, a komandor ciągnął dalej.

– Są głupi, ale twardzi. Mają dyscyplinę. System komórkowy. Jeśli złapie pani jednego Consie, to zawsze przedostanie się dwóch lub trzech innych z jego komórki. Trudno złapać całą siatkę, bo nie ma żadnych poziomych kontaktów między komórkami, a pionowy kontakt z górą odbywa się przez pośrednika. Tak, wydaje mi się, że znam ich i dlatego tutaj specjalnie nie obawiam się sabotażu czy demonstracji. Tu nie mają szans.

Kathy i ja wracaliśmy wygodnie usadowieni w pomieszczeniu pasażerskim odrzutowca, oglądając popisówkę handlową. Właśnie leciał stary dobry wierszyk dla dzieci, który wymyśliłem wiele lat temu, kiedy byłem wolnym strzelcem. Trąciłem łokciem Kathy i powiedziałem jej o tym.

Reklamówki zostały nagle przerwane i pojawiło się proste ogłoszenie, bez efektów dźwiękowych:

Zgodnie z prawem federalnym, informujemy pasażerów, że lecą teraz nad Uskokiem San Andreas, w kierunku terytorium sejsmicznego, i że klauzule traktujące o stratach oraz uszkodzeniach spowodowanych trzęsieniem ziemi w dowolnym posiadany przez nie ubezpieczeniu tracą ważność aż do chwili opuszczenia przez Pasażerów wspomnianego terytorium sejsmicznego.

Po czym ponownie zaczęła się parada reklamówek.

– A ja przypuszczam – powiedziała Kathy – że w normalnym ludzkim języku oznacza to, że ubezpieczenie od ugryzienia przez jaka jest ważne wszędzie za wyjątkiem Tybetu.

– Ubezpieczenie od ugryzienia przez jaka? – zapytałem zdziwiony. – Co u diabła cię ono obchodzi?

– Według ciebie, dziewczyna nie ma prawa przewidzieć, że nie spotka gdzieś nieprzyjaznego jaka, nieprawdaż?

– Domyślam się, że stroisz sobie żarty – powiedziałem z godnością. – Powinniśmy wylądować za kilka minut. Osobiście chciałbym wpaść nieoczekiwanie do Hama Harrisa. To dobry chłop, ale Runsted mógł zarazić go defetyzmem, a wierz mi, nie ma nic gorszego.

– Pozwól, że pójdę z tobą, Mitch.

Gapiliśmy się przez okna jak turyści, gdy nasz odrzutowiec wszedł w korytarz powietrzny nad San Diego i krążył monotonicznie czekając na zezwolenie na lądowanie z wieży kontrolnej.

Kathy nigdy tu nie była. Ja byłem raz, ale zawsze jest coś nowego do obejrzenia, gdyż co jakiś czas budynki przewracają się, a na ich miejsce wznosi się nowe. I to jakie?! Bardziej przypominają plastikowe namioty na plastikowych szkieletach niż coś innego. Tego rodzaju konstrukcja pozwala poddać się kołysaniu gruntu, kiedy wstrząsy targają południową Kalifornią, zamiast pękać i rozpadać się. A jeżeli wstrząs jest na tyle silny, że szkielet pęknie, to co się straci? Trochę plastikowego poszycia, które pęka zwykle wzdłuż standardowych rowków dylatacyjnych oraz kilka plastikowych członów strukturalnych.

Z kontynentalnego ekonomicznego punktu widzenia dobrą zasadą jest niebudowanie zbyt wielu fantastycznych konstrukcji w południowej Kalifornii. Od czasu, gdy próby z bombą H powiększyły uskok San Andreas, istnieje całkiem duża szansa, że cały ten obszar pewnego dnia zsunie się spokojnie do Pacyfiku. Ale kiedy spoglądaliśmy w dół z korytarza powietrznego był tam jeszcze i tak jak wszyscy wiedzieliśmy, że prawdopodobnie pozostanie tam podczas trwania naszej wizyty. Przed moim urodzeniem wybuchła na tych terenach panika, wstrząsy powtarzały się codziennie, ale zapisałbym to na karb staromodnych konstrukcji, które łatwo się osuwały tworząc postrzępione zwały. W końcu ludzie przyzwyczaili się do tego widoku – i jak można było się tego spodziewać w południowej Kalifornii – byli tacy, co obnosili się z tym dumnie. Mieszkańcy przytaczali całe masy danych statystycznych dowodząc, że większą szansę miało się być uderzonym przez piorun lub meteoryt niż zginąć w jednym z ich wstrząsów sejsmicznych.

Wsiedliśmy do szybkiej trzyosobowej limuzyny, którą pomknęliśmy do miejscowego oddziału Zrzeszenia Fowlera Schockena. Moja słaba wiedza o Wydziale Badań Rynkowych nasunęła mi myśl, że Ham Harris mógł mieć informatora na lotnisku, żeby zyskać czas na przygotowanie się do drobiazgowej inspekcji. A tego rodzaju postępowanie jest gorzej niż zbyteczne.

Recepcjonistka z miejsca wyprowadziła mnie z błędu. Nie rozpoznała mojej twarzy i nazwiska. Powiedziała leniwie:

- Zobaczę, czy pan Harris jest zajęty, panie Conelly.
- Courtenay, młoda kobieto. I to ja jestem szefem pana Harrisa.

Kathy i ja ujrzeliśmy taką scenę rozleniwienia i beczynności, które zjeżyło mi włosy na głowie.

Harris, zdjawszy marynarkę, grał w karty z dwoma młodymi pracownikami. Dwóch innych patrzyło przed siebie szklistym wzrokiem siedząc przed odbiornikiem telehipnotycznym, będąc najwidoczniej w transie. Jakiś mężczyzna w rozmarzeniu uderzał w jednopalcowy kalkulator.

- Harris! – zagrzmiałem.

Wszyscy, oprócz tych dwóch w transie, odwrócili się w moją stronę z otwartymi ustami. Podeszedłem do odbiornika telehipnotycznego i wyłączyłem go gwałtownie. Powoli dochodzili do siebie.

– Pa-pppa-ppaa – pan Courtenay – wyjąkał Harris. – Nie spodziewaliśmy się...
– Oczywiście, że nie. Wy wszyscy wynoście się. Harris, chodźmy do twojego biura.
Kathy dyskretnie poszła za nami.

– Harris – powiedziałem – jeśli ktoś dobrze pracuje, można mu wiele wybaczyć. Dostawaliśmy od ciebie w tym projekcie cholernie dobrą robotę. Jestem dlatego zaniepokojony, głęboko zaniepokojony panującą tu atmosferą. Ale można to naprawić...

Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę. Jakiś głos mówił w podnieceniu.

– Ham? Jest tutaj. Pośpiesz się, wsiadł do limuzyny.

– Dziękuję – powiedziałem i rozłączyłem się. – To był twój kapuś z lotniska – powiedziałem Harrisowi. Zbladł. – Pokaż mi kontrolne arkusze – rozkazałem. – Formularze do przeprowadzania wywiadów. Wasze kody komputerowe, wasze oryginały. Wykresy z postępu robót. Krótko mówiąc, wszystko, nawet to, o czym sądziłeś, że nie będę chciał oglądać. Wszystko.

– Stał przez dłuższy czas w milczeniu, a w końcu powiedział:

– Nie ma żadnych.

– Co powinieneś mi pokazać?

– Podsumowanie – wymamrotał. – Zestawienia.

– Zmyślane, chciałeś powiedzieć. Fikcja, jak to, czym nas karmiłeś przez telefon.

Skinał głową. Jego twarz miała chory wyraz.

– Jak mogłeś to zrobić, Harris? – spytałem. – Jak mogłeś?

Zalał mnie potokiem chaotycznych słów. Nie chciał tego. To była jego pierwsza niezależna praca. Być może w ogóle się do niej nie nadawał. Próbował trzymać z niższym personelem, a z pracą zmagał się sam, ale oni to zaraz wyczuli i korzystali ze swobód, a on nie śmiał ich sprawdzać. Zmienił ton z rozczulania się nad samym sobą na bardziej wojowniczy. A o co właściwie chodzi? Przecież to tylko przygotowawcza robota papierkowa. Opinie jednego człowieka są tyle samo warte, co przypuszczenia drugiego. Tak czy owak jest przekonany, że całe przedsięwzięcie pójdzie na śmietnik. Co z tego, że on się tym nie przejmował, może się założyć, że wielu innych również się nie przejmowało, a mimo to wszystko skończyło się dobrze.

– Nie – powiedziałem. – Nie masz racji i powinieneś o tym wiedzieć. Reklama jest sztuką, ale zależy od takich dziedzin, jak marketing, rozpoznanie, testowanie obszaru i badanie klienta. Zachwiałeś podwalinami naszego programu. Uratujemy co się da i możemy rozpocząć od nowa.

Przez chwilę jakby się wahał.

– Straci pan czas, jeśli pan to robi, panie Courtenay. Od dawna pracuję z panem Runstedem. Znam jego zamiary, a jest on tak samo ważną figurą jak pan. On twierdzi, że ta cała papierkowa robota jest kupą kosztownych nonsensów.

Matta Runsteda znałem lepiej od niego. Wiedziałem, że jest mocny. Zresztą wszyscy o

tym wiedzieli.

– Co? – zapytałem ostro. – Czy masz coś na poparcie swych słów? Listy? Notatki? Nagrane rozmowy?

– Z pewnością coś takiego mam – powiedział i zaczął szukać w swoim biurku. Przerzucał papiery i przesłuchiwał urywki taśm przez kilka minut, podczas których na jego twarzy tężał wyraz strachu i frustracji. W końcu powiedział zakłopotanym głosem.

– Nie mogę niczego takiego znaleźć, ale jestem pewien...

Oczywiście, że był pewien. Najwyższą formą naszej sztuki jest przekonać klienta tak, by nie uświadomił sobie, że jest przekonywany. Runsted nafaszerował tę mierność jakimiś nierealistycznymi ideami, a potem wysłał go do mojego Wydziału, z rozkazem wykonania kreciej roboty.

– Jesteś zwolniony, Harris – powiedziałem. – Wynoś się stąd i nie pokazuj się więcej. I nie radzę ci starać się po tym wszystkim o pracę w reklamie.

Wyszedłem z biura i oświadczyłem pozostałym:

– Jesteście zwolnieni. Wszyscy. Zabierzcie swoje osobiste rzeczy i opuście biuro. Czeka otrzymanie pocztą.

Gapili się na mnie. Tuż przy mnie Kathy mruknęła:

– Mitch, czy to rzeczywiście konieczne?

– Przecież doskonale wiesz, że tak. Czy ktoś z nich powiadomił centralę o tym, co się tu działo? Nie, po prostu odpoczywali i dali się unosić bierności. Powiedziałem, że to zaraza, czyż nie tak?

Sam Harris przesunął się obok nas w kierunku drzwi wyjściowych z wyrazem zmieszania na twarzy. Był taki pewien, że Runsted go poprze. W jednej ręce trzymał wypchaną teczkę, a w drugiej płaszcz. Nie spojrzał na mnie.

Poszedłem do jego pustego biura i połączyłem się bezpośrednią linią z Nowym Jorkiem.

– Hester? Tu mówi Courtenay. Właśnie zwolniłem z pracy cały oddział w San Diego. Powiadom kadry i niech przygotowują wszystkie niezbędne informacje o ich zarobkach. I połącz mnie z Runstedem.

W zniecierpliwieniu bębniłem palcami przez długą minutę, po czym Hester powiedziała:

– Panie Courtenay, przykro mi, że kazałam panu czekać. Sekretarka pana Runsteda mówi, że wyjechał do Małej Ameryki na jedną z tych wycieczek. Powiedziała, że uporał się ze sprawą A.I.S. i zasłużył na odpoczynek.

– Zasłużył na odpoczynek. Boże Wszechmocny. Hester, zarezerwuj mi miejsce na trasie Nowy Jork – Mała Ameryka. Przylatuję następnym odrzutowcem. Zaraz po wylądowaniu śmigam na Biegun. Jasne?

– Tak, panie Courtenay.

Odłożyłem słuchawkę i spostrzegłem, że Kathy patrzy na mnie uważnie.

– Mitch – powiedziała. – Swego czasu byłam ci nieprzychylna. Z powodu twoich

napadów złego humoru. Teraz widzę, skąd je masz. O ile to było typowe działanie.

– Zupełnie nietypowe – powiedziałem. – To jest najgorszy przypadek skandalicznego sabotażu, jaki kiedykolwiek widziałem. Mnóstwo jest takich. Każdy stara się zaszkodzić komuś innemu. Kochanie, muszę teraz wracać na lotnisko i złapać najbliższy samolot lecący na Wschód. Czy chcesz lecieć ze mną?

Zawahała się.

– Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym została i pobawiła się trochę w turystkę?

– Ależ skąd, oczywiście, że nie. Baw się dobrze, a kiedy wrócisz do Nowego Jorku, ja już tam będę.

Pocałowaliśmy się na pożegnanie. W biurze nie było już nikogo, więc powiedziałem zarządcy budynku, by zamknął go po wyjściu Kathy, do chwili, kiedy nie dostanie dalszych poleceń.

Z ulicy spojrziałem w górę, a ona pomachała mi z okna tego dziwnego, lichego budynku.

Rozdział 6

Wytoczyłem się na pochylnię w Nowym Jorku, gdzie czekała już na mnie Hester.

– Dobra dziewczyna – powiedziałem do niej. – Kiedy startuje rakieta na Biegun?

– Za dwadzieścia minut, z pasa szóstego, panie Courtenay. Tu jest pański bilet i miejscówka. Pozwoliłam sobie też przynieść drugie śniadanie, gdyby...

– Świetnie. Rzeczywiście nic nie jadłem. Skierowaliśmy się na pas szósty, a ja zulem po drodze kanapkę ze zregenerowanym serem.

– Co w biurze? – zapytałem od niechcienia.

– Wielkie poruszenie z powodu zwolnienia przez pana ludzi z San Diego. Personel złożył zażalenie do pana Schockena, a on poparł pana – mniej więcej czwórka w skali.

To nie było dobrze. Dwunastka w skali – huragan – byłaby równoznaczną z wyrzuceniem ich z jego biura ze słowami:

– Jak śmieliście, urzędasy, kwestionować decyzję członka Rady kierującego całym projektem? Niech mi się to więcej nie powtórzy i tak dalej. Czwórka w skali, czyli niewielkie porywy wiatru, małe statki kierujące się do portu, oznaczała zwroty w stylu:

– Panowie, jestem pewien, że pan Courtenay miał rację robiąc to, co zrobił. Często całość sprawy jest niewidoczna dla szeregowych pracowników naszej organizacji...

– Czy sekretarka Runsteda – zapytałem Hester – jest jego prawą ręką, czy jedną z jego...
– chciałem powiedzieć „ulubienic”, ale powstrzymałem się – ...jedną z jego powiernic?

– Jest całkiem blisko z nim związana – powiedziała Hester z namysłem.

– Jak zareagowała na tę aferę z San Diego?

– Ktoś mi powiedział, że uśmieła się z tego, panie Courtenay.

Nie pytałem się już o nic więcej.

– Mam nadzieję, że wkrótce wrócę – powiedziałem. – Wszystko czego pragnę, to wyjaśnić coś z Runstedem.

– Pana żona nie jedzie z panem? – zapytała.

– Nie. Ona jest lekarzem. A ja mam zamiar rozerwać Runsteda na strzępy; gdyby dr Nevin była ze mną mogłaby próbować złożyć go z powrotem.

Hester uśmiechnęła się uprzejmie i powiedziała:

– Przyjemnej podróży, panie Courtenay.

Byliśmy na pochylni prowadzącej na pas szósty.

To nie była przyjemna wyprawa, lecz przygnębiająca podróż w nędznej, ciasnej rakiecie turystycznej. Lecieliśmy nisko i przy każdym siedzeniu znajdowało się okno pryzmatyczne, które nieodmiennie wywołuje u mnie nudności. Odwracasz głowę, wyglądasz i patrzysz prosto w dół. Co gorsza, wszystkie reklamówki były robotą Towarzystwa Tauntona. Wyglądasz przez okno i akurat w chwili, kiedy przekonałeś swój żołądek, że wszystko z tobą jest w porządku, i że tam w dole jest interesujący widok, łup – kiepska, przesycona seksem reklama Tauntona jakiegoś nędznego produktu zasłania okno, a jeden z ich nieznośnych, głupich wierszyków wciska ci się do mózgu przez uszy.

W dolinie Amazonki przelatywaliśmy nad ciekawą okolicą i właśnie przyglądałem się Trzeciej Elektrycznej, największej elektrowni wodnej świata, kiedy nagle:

Bolster wypełniony wszędzie,

Wypchany stanik Bolster,

Nie garb się, wypinaj,

Niechaj sterczą niczym ster.

Towarzyszące temu obrazy były w jak najgorszym guście i pomyślałem sobie, że powinienem dziękować Bogu, że pracuję dla Zrzeszenia Fowlera Schockena.

Tak samo było nad Ziemią Ognistą. Zataczaliśmy wielki łuk, żeby móc obejrzeć teren połowu wielorybów, wielki obszar oceanu zamknięty zaporami wpuszczającymi plankton, lecz nie wypuszczającymi wielorybów. Patrzyłem urzeczony jak samica wieloryba pozwalała się ssać swojemu maleństwu – wyglądało to jak tankowanie w powietrzu – kiedy okno znowu przesłoniła prowincjonalna dawka reklamy Tauntona:

Siostro, czy pachniesz tak dla swego pana?

Wokół rozpylono zapachy, których już nie zniosłem. Musiałem skorzystać z torebki, podczas gdy reklamówka szczebiotała:

Nic dziwnego, że trudno go zdobyć. Użyj Pottu.

A jedno z tych trio o anielskich głosach zaśpiewało kolędę w rytmie walca:

*Poć się. Poć się, poć się,
Ale nie zabij jego pragnienia.*

Potem basowym głosem rzucono medyczną wstawkę:

*Nie wstrzymuj się od pocenia. To
samobójstwo. Lekarz radzi: dezodorant a nie
środek wstrzymujący.*

Dalej następowała ponownie pierwsza zwrotka i atak zapachowy. Tym razem było mi wszystko jedno. Żołądek miałem opróżniony.

Tubalne medyczne wstawki Tauntona były wspaniałe, pomyślałby kto, że on je wynalazł.

Mój towarzysz podróży, człowiek nieokreślonego wyglądu w ubraniu z Uniwersalu przyglądał mi się z niejakim rozbawieniem, kiedy miałem nudności.

– Coś za dużo tego dla ciebie, przyjacielu? – zapytał, prezentując irytującą wyższość nad ludźmi cierpiącymi na chorobę lokomocyjną.

– Uhm – powiedziałem.

– Niektóre z tych reklam wystarczą by dostać nudności – powiedział niedbale, ośmielony moją błyskotliwą odpowiedzią.

Musiałem zdusić to w zarodku.

– Właściwie co pan chciał przez to powiedzieć – zapytałem spokojnie. To go przestraszyło.

– Chciałem tylko powiedzieć, że zapach był zbyt silny – powiedział szybko. – Akurat przy tej konkretnej reklamie. Nie miałem na myśli reklam jako takich. Nie można im nic zarzucić, mój przyjacielu.

– Tym lepiej dla ciebie – powiedziałem i odwróciłem się od niego.

Nadal był zdenerwowany i odezwał się:

– Jestem prawomyślnym człowiekiem, przyjacielu. Pochodzę z dobrej rodziny, chodziłem do dobrej szkoły. Pracuję w produkcji – jestem odlewnikiem u Philly’ego – ale wiem, że towar trzeba sprzedać. Kanały dystrybucji. Tworzenie rynków. Integracja pionowa. Czyż nie

tak? Znam się na tym.

– No dobra – mruknąłem. – To uważaj na to, co mówisz.

Skulił się na swojej połówce ławki. Nie bawiło mnie zabicie go z pantałyku, ale zrobiłem to dla zasady. Powinien był o tym wiedzieć.

Przytrzymano nas nad Małą Ameryką, podczas gdy kilka innych turystycznych statków podchodziło do lądowania. Jeden z nich był hinduski i humor mi się poprawił na jego widok. Cały, od dziobu aż po rufę, był zbudowany przez Indiastry. Załoga była przeszkolona i zatrudniona przez Indiastry. Pasażerowie, chodząc i śpiąc płacili w każdej minucie haracz dla Indiastry. A Indiastry płaci haracz dla Zrzeszenia Fowlera Schockena.

Ciągnik holowniczy wciągnął nas do wielkiego plastikowego pączka o podwójnych ścianach, jakim jest Mała Ameryka. Był tam tylko jeden punkt kontrolny. Mała Ameryka jest czymś w rodzaju niewidzialnego eksportu – dolarową pułapką dla turystów z całego świata, pozbawioną nadzoru wojskowego (polarne bazy wojskowe istnieją, ale są małe, rozproszone i znajdują się głęboko pod lodem). Jest ogrzewana przez mały reaktor torowy. Nawet gdyby jakiś kraj potrzebujący materiałów rozszczepialnych spróbował ją zdobyć, to nie znalazł by tam niczego, co przedstawia wartość militarną. Dodatkowym źródłem energii były wiatraki uzupełniane przez jakąś pompę cieplną, której zasady działania zupełnie nie rozumiałem.

W punkcie kontroli spytałem o Runsteda. Oficer odszukał go na liście i rzekł:

– Znajduje się na dwudniowej wycieczce z Nowego Jorku. Thomas Cook i Syn. Mieszka w III-C-2205.

Wyciągnął mapę i pokazał mi, że oznacza to trzeci pierścień od wewnątrz, trzecie piętro do góry, piąty sektor, dwudziesty drugi pokój.

– Nie może go pan nie znaleźć. Mogę ulokować pana w pobliskim pokoju, panie Courtenay...

– Dziękuję. Może później. – Oddaliłem się i przepychając się łokciami przez tłum trajkoczący w kilkunastu językach, skierowałem we wskazane miejsce. Po chwili naciskałem dzwonek do drzwi jego pokoju. Nikt nie odpowiadał.

Sympatyczny młody mężczyzna podszedł do mnie.

– Nazywam się Cameron i jestem kierownikiem wycieczek. Czym mogę służyć?

– Gdzie jest pan Runsted? Chcę się z nim pilnie zobaczyć w sprawach służbowych.

– Mój Boże. Próbujemy uciec od tego wszystkiego. Zajrzę do mojego rejestru, jeśli pan zaczeka przez chwilę.

Zaprowadził mnie do swego pomieszczenia, które spełniało funkcje biura, sypialni i łazienki, o jeden sektor wyżej i przejrzał rejestr.

– Wspinaczka na lodowiec Starrzeliusa – powiedział. – Mój Boże. Poszedł sam. Wyszedł o siódmej, podpisał pobranie skafandra elektrycznego z radionamierzaczem oraz racji żywnościowych. Powinien wrócić z powrotem za pięć godzin lub coś koło tego. Czy ma pan już kwatere, panie...?

– Jeszcze nie. Chcę pójść za Runstedem. To sprawa niecierpiąca zwłoki. – I rzeczywiście tak było. Gotów byłem wszystko zrobić, żeby dostać go w swoje ręce.

Nieco nerwowo kierownik wycieczek stracił około pięciu minut przekonując mnie, że najlepszą dla mnie rzeczą byłoby zapisanie się na jego wycieczkę, a on wszystko załatwi. W przeciwnym przypadku będę odsyłany od okienka do okienka kupując i wynajdując niezbędny ekwipunek od koncesjonariuszy, a następnie najprawdopodobniej odeślą mnie do sprawdzenia sprzętu, gdzie trudno zastać obsługę, a wszystko to w czasie upływającego czasu moich wakacji. Podpisałem, a on się rozpromienił. Dał mi pokój w tym sektorze – pełnia luksusu. Mógł mieć dwadzieścia stóp na osiemnaście, gdyby nie miał klinowego kształtu.

W przeciagu pięciu minut przewodnik dostarczył mi ekwipunek.

– Baterie proszę przymocować pasami, o tutaj. To jedyna rzecz, która może nawalić. Jeśli zepsują się panu baterie, proszę wziąć pigułki nasenne i nie martwić się. Zamarznie pan, ale zabierzemy pana zanim nastąpi zniszczenie tkanek. Buty. Proszę je zapiąć w ten sposób. Rękawice. Zapinają się tak. Elektryczny kombinezon. Kaptur. Okulary śnieżne. Radionamierzacz. Wystarczy powiedzieć strażnikowi „Lodowiec Starrzeliusa”, a on go nastawi. Dwa proste przełączniki oznaczone w zrozumiały sposób. Przy oddalaniu się usłyszy pan sygnał narastający. Przy przybliżaniu się natężenie dźwięków będzie spadać. Wystarczy zapamiętać. Idąc lodowcem do góry, ton wznosi się. Idąc w dół, ton opada. Sygnał alarmowy – to duży czerwony uchwyt. Wystarczy pociągnąć i natychmiast rozpocząć nadawanie. Samoloty zjawiają się po piętnastu minutach. Za poszukiwania i akcję ratowniczą płaci się znaczne sumy, tak więc nie ciągnąłbym za ten uchwyt dla zabawy czy chęci przejażdżki z powrotem. Zawsze można odpocząć, napić Coffiestu i maszerować dalej. Mapa z zaznaczoną trasą. Rakiety śnieżne. Żyrokompas. I racje żywnościowe. Panie Courtenay, jest pan wyposażony, zaprowadzę Pana do punktu kontroli.

Sprzęt nie był taki zły jakby się mogło wydawać. Byłem już bardziej obciążony w Chicago przeciwko zimowym wiatrom od strony jeziora. Ciężkie rzeczy, jak baterie, radionamierzacz czy racje żywnościowe zostały wygodnie rozmieszczone. Rakiety śnieżne zwijały się w parę czekanów ze stalowymi końcami, bardzo pomocnych przy wspinaniu się po lodzie.

Kontrola była bardzo drobiazgową. Zaczęli od mego serca, sprawdzili sprzęt, kładąc szczególny nacisk na stan baterii. Po kontroli nastawiono mi radionamierzacz na Lodowiec Starrzeliusa.

Nie było mi zimno, przynajmniej w skafandrze. Na chwilę tylko uchyliłem przyłbicę, ale zamknąłem ją czym prędzej. Czterdzieści stopni poniżej zera – jak mi powiedziano – nic nie mówiąca liczba, którą jednak dotkliwie poczuł mój nos w ułamku sekundy. Posuwając się po podstawie plastikowego kokona nie potrzebowałem butów śnieżnych, był bowiem pokryty pokruszonym lodem, w który wbijały się bez trudu moje zaopatrzone w kolce podeszwy. Zorientowałam mapę za pomocą żyrokompasu i ciężkim krokiem ruszyłem w rozległą biel we

właściwym kierunku. Od czasu do czasu naciskałem mój lewy rękaw, żeby uruchomić przełącznik radionamierzacza i usłyszeć w kapturze wesołe, uspokajające „biip-biip, biip-biip”.

Spotkałem po drodze grupę swobodnie zachowujących się ludzi, którym wesoło pomachałem. Wydawało mi się, że to byli Chińczycy lub Indianie. Jakąż frajdą musiał być dla nich lodowiec?! I tak jak kiepscy pływacy trzymający się tratwy, tak oni radośnie dokazywali w cieniu Małej Ameryki. Dalej spotkałem ludzi grających w jakąś grę, której nie znałem. Na prostokątnym polu ustawili słupy z koszami bez dna, do których wrzucali silikonową piłkę. Trochę dalej stała duża grupa narciarzy z instruktorami w czerwonych skafandrach.

Obejrzałem się po ledwie kilku minutach i już nie mogłem dojrzeć czerwonych skafandrów. Nie widziałem też szczegółów konstrukcji Małej Ameryki – jedynie szarobiały cień. „Bip-bip” odezwał się mój radionamierzacz i poszedłem dalej. Runsted z pewnością wkrótce coś ode mnie usłyszy.

Uczucie samotności było niesamowite, ale nie nieprzyjemne. Już nie było widać za mną Małej Ameryki, ani nawet jej szarobiałego mglistego cienia. Nie obchodziło mnie to. Czy właśnie to odczuwał Jack O’Shea? Czy to właśnie dlatego nigdy nie był zadowolony ze słów, którymi opisywał Wenus?

Moje stopy osunęły się w zasęp, więc wyjąłem i otworzyłem rakietę śnieżną. Napięły się i po kilku chwiejnych bokach wpadłem we właściwy posuwisty rytm, który okazał się wielce przyjemnym sposobem pokonywania przestrzeni. Nie był płynny. Nie miał też nic wspólnego z równomiernym uderzaniem podeszwami o twardą powierzchnię – jedynym sposobem chodzenia, którego doświadczałem przez trzydzieści kilka lat.

Trzymałem się kursu kompasu, wyławiając znaki i kierując się w ich stronę: dziwnie ukształtowany wzgórek lodowy, niebieski cień zagłębienia w śniegu. Radionamierzacz ciągle utwierdzał mnie o prawidłowym kierunku, jaki wybrałem. Rozpierała mnie duma z mojej znajomości dzikich ostępów, a po dwóch godzinach byłem głodny jak wilk.

Przykucnąłem i otworzyłem dopasowany do moich wymiarów dzwon z silikonowej tkaniny. Wysuwając od czasu do czasu uważnie nos badałem temperaturę powietrza. Zgłodniały połknąłem ciepły gulasz i herbatę oraz spróbowałem zapalić papierosa. Po drugim wypuszczeniu dymu mały namiot był całkowicie zadymiony i oczy zaszyły mi łzami. Z żalem zgasilem go o but, zatrzasnąłem na twarz przyłbicę, spakowałem namiot i przeciągnąłem się radośnie.

Po drugim skłonie ruszyłem. Do diabła, powiedziałem do siebie. Ten cholerny Runsted ma całkiem inny temperament. Nie może dostrzec otwartych przestrzeni, a ty możesz. Nie ma w tym ani odrobiny złośliwości. On po prostu myśli, że coś jest zwariowaną ideą, gdyż nie zdaje sobie sprawy, że są ludzie, którzy za nią stoją. I trzeba mu to tylko wytłumaczyć...

Ten argument, zrodzony z dobrego samopoczucia, legł w gruzach w zderzeniu ze zdrowym rozsądkiem. Runsted także był na lodowcu. On też z całkowitą pewnością potrafi

dostrzegać otwarte przestrzenie, skoro ze wszystkich miejsc na ziemi, w jakich mógł się znaleźć, wybrał Lodowiec Starrzeliusa. No tak, wkrótce wszystko się rozstrzygnie – biip-biip.

Spojrzałem na kompas i obrałem kurs na czarny przedmiot na wprost mnie. Nie mogłem go dokładnie rozpoznać, ale był dobrze widoczny i nie ruszał się. Ruszyłem biegiem, co jednak przyprawiło mnie o zadyszkę i wbrew swojej woli zwolniłem. Zobaczyłem człowieka...

Kiedy byłem od niego dwadzieścia jardów, mężczyzna spojrzał niecierpliwie na swój zegarek, a ja znów rzuciłem się niezdarnym biegiem.

– Matt – powiedziałem. – Matt Runsted.

– Zgadza się, Mitch – powiedział w sposób jak zawsze nieprzyjemny. – Śpieszysz się dzisiaj.

Spojrzałem na niego bardzo powoli i bardzo uważnie. Przy nim stały wetknięte w śnieg związane narty.

– Co... co chcesz... – wyjąkałem.

– Mam dużo czasu – powiedział. – A ty już straciłaś sporo swojego. Żegnaj, Mitch.

Podczas kiedy stałem tak oniemiały, złapał związane narty, zamachnął się i walnął mnie nimi. Rozciągnąłem się jak długi, a oszołomienie i bezsilna wściekłość rozsadały mi głowę. Czułem jak gmerał coś na mojej piersi, a potem na chwilę straciłem przytomność.

Ocknąłem się sądząc, że odkryłem się w czasie snu, i że jest zimno jak wczesną jesienią. I wtedy lodowato, niebieskie niebo Antarktydy wdarło się do moich oczu, a pod sobą poczułem skrzypiący śnieg. A więc stało się. Głowa okropnie mnie bolała, a zimno było bardzo dokuczliwe. Było mi zbyt zimno. Pomacałem skafander i zorientowałem się, że brakowało baterii. Brakowało ogrzewania skafandra, rękawic i butów. Nie miałem zasilania radionamierzacza, który wskazywałby czy zbliżam się czy oddalam od celu. Nie było też sensu ciągnąć za dźwignię alarmową.

Podniosłem się na chwiejnych nogach i poczułem jak przenika mnie zimno do szpiku kości. Na śniegu było widać odcisnięte ślady stop oddalające się w nieznanym kierunku. Był też ślad moich rakiet śnieżnych. Sztywny z zimna zrobiłem krok w kierunku przeciwnym do śladu, potem następny i jeszcze jeden.

Racje żywnościowe. Mogłem spróbować wepchnąć je do skafandra, przerwać uszczelnienie cieplne po to, by napełniły skafander chwilowym ciepłem. Ciężko stąpając krok po kroku rozważałem, zatrzymać się i odpocząć, by w międzyczasie wchłonąć ciepło porcji, czy iść dalej? Potrzebujesz odpoczynku, powiedziałem sobie. Stało się coś nieprawdopodobnego, boli cię głowa. Poczujesz się lepiej jeśli usiądziesz na chwilę, otworzysz porcję lub dwie, a następnie pójdziesz dalej.

Nie usiadłem. Wiedziałem co to mogło oznaczać. Krok za krokiem wyszperałem z kieszeni puszkę Coffiestu skostniałymi palcami, które prawie mnie nie słuchały i wsunąłem ją do skafandra. Mój kciuk nie był na tyle silny, by rozerwać uszczelnienie i powiedziałem

sobie: usiądź na chwilę i zbierz siły. Nie musisz się kłaść, równie przyjemne jak to byłoby... mój kciuk przedarł się przez uszczelnienie i piekące ciepło przypawiło mnie o ból.

Zaczęło mi przed oczami latać ciemne plamy. Wyjąłem więcej puszek, ale nie mogłem już ich otworzyć. Usiadłem chyba raz, a potem wstałem. I znów usiadłem, czując się winny i zawstydzony własną pobłażliwością, wmawiając sobie, że wstanę za następną sekundę dla Kathy, za jeszcze dwie sekundy dla Kathy, jeszcze trzy sekundy dla Kathy.

Ale nie wstałem.

Rozdział 7

Zasnąłem na górze lodu; obudziłem się w pulsującym, rozedrganym piekle, wypełnionym czerwonym ogniem i strzeżonym przez paskudnie wyglądające diabły. W takie miejsce chciałbym zesłać redaktora od Tauntona. Byłem zażenowany, że sam się tu znalazłem.

Zażenowanie nie trwało długo. Jeden z diabłów potrząsnął mną mocno i powiedział:

– Dawaj rękę, śpiochu. Muszę zabrać swój leżak.

W głowie mi pojaśniało i zrozumiałem, że mam do czynienia z konsumentem niższej klasy – być może był to szpitalny pielęgniarz.

– Co to jest? – zapytałem go. – Czy jesteśmy z powrotem w Małej Ameryce?

– Jezu, co ty pleciesz – akcentował. – Dawaj grabę, dobra?

– Z pewnością nie dam! – powiedziałem mu. – Jestem redaktorem najwyższej kategorii.

Spojrzał na mnie z politowaniem i powiedział:

– Koleś! – zniknął w rozedrganym czerwonym półmroku. Podniosłem się, stanąłem na chwiejnych nogach, uderzyłem w coś łokciem szybko przechodząc z jednej ciemności w drugą.

– Przepraszam – powiedziałam. – Gdzie jesteśmy? W szpitalu?

Mężczyzna był innym konsumentem, jeszcze w gorszym humorze niż pierwszy.

– Puszczaj – warknął. Puściłem. – Jeśli jesteś chory, to poczekaj aż wylądujemy – powiedział.

– Wylądujemy?

– Tak, wylądujemy. Słuchaj, koleś, to ty nie wiesz co podpisałeś?

– Podpisałem? Nie wiem. Ale zanadto się spoufalasz. Jestem redaktorem pierwszej kategorii...

Jego twarz zmieniła się.

– Aha – powiedział z mądrą miną. – Chyba wiem, czego ci potrzeba. Chwileczka, koleś.

Zaraz przyniosę ten towar.

Towar ten był małą, zieloną kapsułką.

– Tylko pięć stów – powiedział przymilnie. – Może ostatnia działka na pokładzie. Chcesz wylądować z dreszczami? No! To cię wzmocni przed lądowaniem...

– Jakim lądowaniem?! – ryknąłem. – Co to wszystko znaczy? Nic nie rozumiem i nie chcę twojego narkotyku. Powiedz mi tylko gdzie jestem i co niby miałem podpisać, a odcepnię się od ciebie!

Przyjrzał mi się uważnie i powiedział:

– Z tobą jest niedobrze. Uderzenie w głowę, co? Dobra, Punchy, siedzimy w pomieszczeniu Numer Sześć Frachtowca „Thomas R. Malthus”. Wiatr i pogoda nieistotne. Kurs 273 stopni. Szybkość 300, Przeznaczenie Kostaryka, ładunek durnie tacy jak ty i ja do pracy na plantacjach Chlorelli. – Brzmiało to jak bajdurzenie pijanego oficera nawigacji, albo doskonała tego parodia.

– Jesteś... – zawahałem się.

– Zdegradowany – dokończył, z goryczą wpatrując się w zieloną kapsułkę trzymaną w dłoni. Nagle połknął ją i ciągnął dalej. – Kiedyś się odegram. – W jego oczach pojawił się zły błysk. – Mam zamiar wprowadzić nowe i wydajne metody na plantacjach. W ciągu tygodnia zostanę mistrzem. Za miesiąc będę kierownikiem robót. A za rok – dyrektorem. A potem kupię Linie Cunarda i wyłożę wszystkie ich rakiety szczerym złotem. Nic, tylko miejsca pierwszej klasy, wszystko co najlepsze dla moich pasażerów. Zawsze prowadziłem ją równym lotem nad Atlantykiem. Kupię ci wyszywany złotem cesarski strój do noszenia na pokładzie mojego flagowego statku, Punchy. Nic nie jest za dobre dla mojego przyjaciela Punchy’ego. Jeśli nie podoba ci się złoto, to wybierzemy platynę. Jeśli nie podoba ci się...

Nawet nie zauważył jak odsunąłem się od niego, a on dalej klepał swoją beznadziejną litanie. Ucieszyłem się, że nigdy nie wziąłem podobnego świństwa. Podeszedłem do grodzi i usiadłem opierając się o nią. Ogarnęła mnie apatia. Ktoś usiadł obok mnie i powiedział mile brzmiącym głosem:

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziałem. – Powiedz, czy rzeczywiście lecimy na Kostarykę? Jak można zobaczyć się z oficerem pokładowym? To wszystko jest jedną wielką pomyłką.

– Och – powiedział mężczyzna – czemu się tym przejmujesz. Żyj i daj żyć innym. Jedz, pij i bądź wesoły, oto moje motto.

– Zabierz precz ode mnie te swoje cholerne ręce – odpowiedziałem. Odsunął się i zaklął. Podniosłem się i odszedłem, potykając się o czyjeś nogi i torsy.

Przyszło mi do głowy, że nigdy tak naprawdę nie znałem żadnych konsumentów poza tymi, którzy mi usługiwali. Przypomniałem sobie, że na co dzień akceptowałem ich skłonności homoseksualne, a nawet wykorzystywałem je nie zdając sobie sprawy, co w rzeczywistości oznaczały. Chciałem się koniecznie wydostać z ładowni Numer Sześć.

Chciałem wrócić do Nowego Jorku i dowiedzieć się, jaki numer wyciął Runsted, wrócić do Kathy oraz do przyjaźni z Jackiem O'Shea. I do mojej ważnej pracy u Fowlera Schockena. Miałem tyle do zrobienia.

Spostrzegłem czerwony napis Wyjście Awaryjne. Wyobraziłem sobie setki ludzi stłoczonych w tym pomieszczeniu, próbujących w razie alarmu przepchać się do drzwi i wzdrygnąłem się.

– Przepraszam, przyjacielu – powiedział ktoś do mnie ochrypłym głosem. – Lepiej się przesuń. – Zaczął coś podnosić, a ja pchnąłem drzwi awaryjne i wyslizgnąłem się na zewnątrz.

– Tak? – warknął olbrzymi strażnik z Agencji Ochroniarskiej.

– Chcę się widzieć z oficerem statku – powiedziałem. – Jestem tutaj przez pomyłkę. Nazywam się Mitchell Courtenay. Jestem redaktorem Zrzeszenia Fowlera Schockena.

– Numer – wysapał.

– 16-156-187 – podałem i przyznam się, że w moim głosie zabrzmiała duma. Można stracić pieniądze, zdrowie i przyjaźń, ale nie mogą ci odebrać niskiego numeru ubezpieczenia socjalnego...

Podwinął mi rękaw, nawet nie brutalnie. Chwilę później osuwałem się wzdłuż grodzi z twarzą piekącą po policzku wymierzonym potężną łapą.

– Spadaj pod pokład, Punchy – ryknął strażnik. – Nie jesteś na wycieczce i nie podoba mi się twoje gędzenie.

Z niedowierzaniem wpatrywałem się w swój łokieć. Wytatuowane było tam 1304-9974-1416-156-187723. Mój własny numer został ukryty w środku serii liczb, a tusz dobrano doskonale. Tatuaż był nieco wytarty – tak, że nikt oprócz mnie nie mógł go odróżnić.

– Na co czekasz? – powiedział strażnik. – Nie widziałeś nigdy swego numeru?

– Nie – odpowiedziałem szczerze, a nogi mi drżały. Teraz się bałem, strasznie się bałem. – Nigdy przedtem nie widziałem tego numeru. Został wytatuowany wokół mego prawdziwego. Nazywam się Courtenay, mówię ci. Mogę to udowodnić. Zapłacę... – poszperałem w kieszeniach, lecz nic nie znalazłem. Przy okazji zorientowałem się, że miałem na sobie dziwne i nędzne ubrania z Uniwersalu poplamione jedzeniem, a nawet czymś jeszcze gorszym.

– To zapłać – powiedział niecierpliwie strażnik.

– Zapłacę później – powiedziałem mu. – Tylko zaprowadź mnie do kogoś pełniącego odpowiedzialną funkcję...

Elegancki młody porucznik lotnictwa w mundurze Panagry wszedł do wąskiego korytarza.

– Co się tu dzieje? – zapytał strażnika. – W luku wciąż pali się światło. Czy nie potrafisz utrzymać porządku na międzypokładziu? Twoja agencja otrzyma od nas odpowiedni raport, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? – Ignorował mnie zupełnie.

– Przepraszam, panie Kobler – powiedział strażnik salutując i wyprężając się na baczność. – Ten człowiek chciał mnie nabrać, że jest redaktorem najwyższej kategorii, który znalazł się na pokładzie przez pomyłkę...

– Niech pan spojrzy na mój numer – krzyknąłem do porucznika.

Jego twarz wykrzywiła się, gdy podsunąłem mu pod nos łokieć. Strażnik schwytał mnie i warknął:

– Nie zwracaj głowy...

– Chwileczkę – powiedział oficer Panagry. – Przyjmuję, że tak jest. To jest wysoki numer. Co chcesz udowodnić pokazując mi to?

– Został uzupełniony, z przodu oraz z tyłu. Mój prawdziwy numer to 16-156-187. Widzi to pan? Z przodu i z tyłu jest inne liternictwo. Jest podrobione!

Wstrzymując oddech porucznik przyjrzał się z bliska. Powiedział:

– Uhm. Możliwe... chodź za mną.

Strażnik rzucił się, by otworzyć drzwi korytarza przed nim i przede mną. Wyglądał na przestraszonego.

Porucznik poprowadził mnie przez pełne maszynowego hałasu pomieszczenia siłowni do biura płatnika wielkości pudełka po kapeluszu. Płatnik miał wygląd gnoma o ostrych rysach twarzy, nosił mundur Panagry jak gdyby był to worek.

– Pokaż mu swój numer – rozkazał mi porucznik, co też uczyniłem. Do płatnika powiedział:

– Jaka jest historia tego człowieka?

Płatnik wsunął jakąś kartę do czytnika i włączył go.

– 1304-9974-1416-156-187723 – odczytał w końcu – Groby, William George 26 lat, kawaler, dziecko z rozbitej rodziny (porzuconej przez ojca), trzeci z pięciorga rodzeństwa, waga prawidłowa, męczyzna klasa 1, zdrowie 2,9, klasa zawodowa 2 przez siedem lat, 1,5 przez trzy miesiące, wykształcenie 9; podpisany kontrakt na pracę B. – Odwrócił wzrok i spojrzał na oficera lotnictwa. – Bardzo nieciekawa sylwetka, poruczniku. Czy jest jakiś specjalny powód, dla którego powinienem interesować się tym człowiekiem?

– Twierdzi, że jest redaktorem i znalazł się tu przez pomyłkę – powiedział porucznik. – Mówi, że ktoś zmienił mu numer. I wyraża się nieco lepiej niż na jego klasę.

– Tere-fere – powiedział płatnik. – Niech się pan na to nie nabierze. Dziecko z rozbitej rodziny, a szczególnie środkowe z rodzeństwa z dołów społecznych czyta i nieustannie robi wszystko próbując się wywyższyć. Ale zauważy pan...

– Dosyć tego – huknąłem na małego gnoma, mając już całej tej historii powyżej uszu. – Nazywam się Mitchell Courtenay. Mogę was kupić i sprzedać bez nadwerężania mojego osobistego rachunku gotówkowego. Kieruję Sekcją Wenus w Zrzeszeniu Fowlera Schockena. Połączcie się natychmiast z Nowym Jorkiem, a skończy się ta farsa. No, ruszcie się, do cholery!

Porucznik wyglądał na zatrwożonego i sięgnął po słuchawkę, ale płatnik uśmiechnął się i wyjął mu ją ręki.

– Mitchell Courtenay, czy tak? – zapytał uprzejmie. Sięgnął po inną kartę i włożył ją do wizjera. – No i proszę – powiedział po chwili manipulowania nim. Porucznik i ja spojrzeliśmy na ekran.

Była to pierwsza strona „New York Timesa”. Pierwsza szpalta zabierała nekrolog i wspomnienie o Mitchellu Courtenayu z Sekcji Wenus Zrzeszenia Fowlera Schockena. Znalaziono mnie zamrożonego na śmierć na Lodowcu Starrzeliusa w pobliżu Małej Ameryki. Manipulowałem swoimi bateriami, które się zepsuły. Czytałem jeszcze długo po tym, jak porucznik przestał się tym interesować. Matt Runsted przejmował Sekcję Wenus. Byłem stratą dla zawodu. Moja żona, dr Nevin, odmówiła wywiadu. Fowler Schocken rozplątywał się w pochwałach. Byłem osobistym przyjacielem pioniera wenusjańskiego Jacka O’Shea, który wstrząśnięty tą wiadomością wyraził swój smutek i żal.

– Zebrałem go w Capetown – powiedział płatnik. – Poruczniku, niech pan zaprowadzi tego pomyłonego sukinsyna z powrotem na międzypokładzie, dobrze?

– Przyszedł strażnik. Walił mnie i kopał przez całą powrotną drogę do Ładowni Numer Sześć.

Zderzyłem się z kimś, gdy strażnik wepchnął mnie przez drzwi w czerwony półmrok. W porównaniu ze stosunkowo czystym powietrzem na zewnątrz panował tu okropny smród.

– Co przeskrobałeś? – zapytało uprzejmie jakieś ciało podnosząc się z ziemi.

– Próbowałem im powiedzieć, kim jestem... – To jednak nic nie dało. – Co się teraz stanie? – zapytałem.

– Wylądujemy. Przydzielą nam lokum. Dadzą pracę. Na jakim kontrakcie jesteś?

– Kontrakt roboczy B, tak mówią.

Gwizdnął.

– Chyba cię dopadli, koleś,

– Co masz na myśli? Co to wszystko znaczy?

– Hej, czyżbyś był ślepy? Masz przegrane. Kontrakt B to pięć lat. Dla uciekinierów, kretynów i wszystkich innych, których uda się im oszukać. Wszystko jest ujęte w odpowiednie paragrafy. Mnie zaproponowano B, ale powiedziałem im, że jeżeli tylko zgodzą się, to wyniosę się i przejdę de Brink’s Express. Wmówiłem im kontrakt F, widocznie byli w dużej potrzebie. To jest jeden rok i mogę kupować poza sklepami firmy, i takie tam rzeczy.

Chwyciłem się za głowę, miałem wrażenie, że zaraz mi ją rozsadzi.

– To nie jest chyba takie złe miejsce do pracy – powiedziałem. – Życie na wsi, gospodarstwo, świeże powietrze i słońce.

– Hm – powiedział mój człowiek z lekkim zakłopotaniem. – Z pewnością to lepsze niż chemikalia, tak sędę. Może nie tak dobre jak górnictwo. Wkrótce sam się przekonasz.

Odsunąłem się i zapadłem w letarg, półsen, podczas gdy powinienem był obmyślać jakiś

plan.

Nie było żadnego sygnału oznajmiającego podchodzenie do lądowania. Po prostu uderzyliśmy w ziemię bez ostrzeżenia. Otwór ładunkowy otworzył się, wpuszczając do środka oślepiające światło tropiku. Były to katusze w porównaniu z mrokiem ładowni. Nie było to jednak wiejskie powietrze, a fala dezynfekującego aerozolu. Wydostałem się z tłumu przeklinających robotników i popłynąłem wraz z potokiem ludzi w kierunku włazu.

– Stój głupcze! – powiedział groźnie wyglądający mężczyzna noszący odznakę strażnika plantacji. Na szyję zarzucił mi sznur z przymocowanym numerem. Dostali to wszyscy i musieliśmy ustawić się w kolejkę do stołu, ustawionego na zewnątrz statku. Staliśmy w cieniu biurowca Plantacji Chlorelli, wznoszącej się na osiemdziesiąt pięter struktury, podobnej do kosza. Na każdej kondygnacji znajdowały się lustrzane żaluzje. Budowla otoczona była akrami klującego oczy blasku. Zdałem sobie sprawę, że były to baterie słoneczne i gigantyczne lustra odbijające promienie słoneczne do zbiorników fotosyntezy. Z powietrza był to widok efektowny, chociaż nie taki niezwykły. Na ziemi – istne piekło. Powinienem był myśleć, wciąż myśleć. Ale komórki mego mózgu były zablokowane: „Z przesiąkniętych słońcem plantacji Kostaryki, pielęgnowane zręcznymi rękami niezależnych farmerów, dumnych ze swej pracy, pochodzi soczysta wspaniałość Protein Chlorella...” Tak, sam napisałem kiedyś te słowa.

– Ruszać się! – wrzasnął strażnik plantacji. – No, szybciej, wy cholerne szumowiny. No, ruszać się.

Przesuwałem się powoli do przodu zasłaniając oczy, podczas gdy kolejka mijała stolik. Siedzący przy nim mężczyzna w ciemnych okularach spytał, nawet na mnie nie patrząc:

– Nazwisko?

– Mitchell Court...

– To ten, o którym ci mówiłem – usłyszałem głos płatnika.

– Aha, dzięki – i do mnie – Groby, mieliśmy przedtem ludzi, którzy próbowali zwać z kontraktu B, wiesz? Zawsze żałują, że próbowali. Czy wiesz przypadkiem, jaki jest budżet Kostaryki?

– Nie mam pojęcia – wymamrotałem.

– Wynosi około stu osiemdziesięciu trzech miliardów dolarów. A czy wiesz, jakie są roczne podatki Korporacji Chlorella?

– Nie, do diabła, człowieku...

Przerwał mi.

– Około stu osiemdziesięciu miliardów dolarów. Z tego, równie zdolny facet jak ty wywnioskuje, że rząd – a także sądy – Kostaryki robią dokładnie to, co Chlorella chce, żeby było zrobione. Jeżeli zechcemy przykładowie ukarać kogoś łamiącego kontrakt, to zrobią to dla nas. Zakładam się o twoje życie. A teraz, jak się nazywasz. Groty?

– Groby – powiedziałem nagle ochrypniętym głosem.

– Imię, poziom wykształcenia? Stopień umiejętności?

– Nie pamiętam. Ale jeśli podacie mi to na kawałku papieru, to szybko zapamiętam.

Słyszałem jak płatnik zaśmiał się i powiedział.

– Z pewnością to zrobi.

– W porządku, Groby – powiedział wesoło mężczyzna w ciemnych okularach. – Nic złego się nie stało. Tu jest twój przydział i przerobimy cię tak, że szybko przestaniesz być żółtodziobem. Ruszaj się.

Przesunąłem się. Strażnik plantacji wyrwał mi mój przydział i wrzasnął na mnie:

– Żółtodzioby tędy!

„Tędy” okazało się chodnikiem prowadzącym pod bardziej odległe kondygnacje budowli, w kierunku światła jeszcze bardziej oślepiającego oraz w dół korytarzem między okropnie śmierdzącymi płytkimi zbiornikami; w końcu przez drzwi do centralnej części budowli. Znajdowało się tam dobrze oświetlone pomieszczenie, które wydawało się być przepełnione szarą poświatą od potrójnie odbitego przez zwierciadła tropikalnego słońca z zewnątrz.

– Żółtodziób! – krzyknął jakiś mężczyzna. Zamrugąłem oczami i skinąłem głową.

– Jestem Mullane, kierownik zmiany. Mam do ciebie pytanie, Groby – wpatrywał się w moją kartę osobową. – Potrzebujemy żółtodzioba na sześćdziesiątej siódmej kondygnacji i potrzebujemy żółtodzioba na czterdziestej trzeciej kondygnacji budynku. Powiedz szczerze, gdzie wolałbyś pracować? Muszę ci powiedzieć, że nie mamy wind dla żółtodziobów i ludzi z klasy 2.

– Pracę na czterdziestej trzeciej kondygnacji – odpowiedziałem, próbując rozszyfrować jego wyraz twarzy.

– To bardzo rozsądne – powiedział. – Bardzo, bardzo rozsądne. – Po czym dalej po prostu stał, a sekundy upływały. W końcu dodał:

– Lubię jak rozsądni ludzie postępują rozsądnie. Znów nastąpiła długa, znacząca przerwa.

– Nie mam przy sobie żadnych pieniędzy – powiedziałem.

– Nie szkodzi – odrzekł. – Pożyczę ci trochę. Po prostu podpisz ten weksel, a resztę uregulujemy w dniu wypłaty. Umówimy się na pięć dolarów.

Przeczytałem weksel i podpisałem go. Znów musiałem spojrzeć na moją kartę osobową. Zapomniałem imienia. Mullane szybko nabazgrał „czterdzieści trzy” i swoje inicjały na moim przydziale, a następnie szybko odszedł nie pożyczając mi pięciu dolarów. Nie pobiegłem za nim.

– Jestem Horrocks, kwatermistrzyni – odezwała się do mnie słodko jakaś kobieta. – Witamy w rodzinie Plantacji Chlorelli, panie Groby. Mam nadzieję, że spędzi pan z nami wiele szczęśliwych lat. A teraz do pracy. Sądzę, że pan Mullane powiedział panu, że ta banda mięczaków, to znaczy dzisiejsza grupa kontraktowiczów, będzie ulokowana na czterdziestej trzeciej kondygnacji. Do moich obowiązków należy dopilnowanie, by został pan zakwaterowany razem z odpowiednią grupą. – Jej twarz przypominała mi trochę tarantulę,

gdy ciągnęła dalej.

– Mamy jedno wolne łóżko w Sypialni Siódmej, gdzie przebywa mnóstwo miłych, młodych ludzi. Z pewnością spodoba się tam panu. To przecież tak wiele znaczy znaleźć się wśród ludzi swojego pokroju.

Wyczulem do czego zmierza i powiedziałem jej, że nie chcę być zakwaterowany w Sypialni Siódmej.

– Jest jeszcze Sypialnia Dwunasta – ciągnęła żywo. – Jest tam raczej dziki tłum, niestety, ale przecież żebracy nie mogą wybierać prawda? Chcieliby dostać miłego młodego mężczyznę, takiego jak pan. Ależ tak! Ale musiałby pan mieć nóż, lub coś podobnego. Czy mam pana wstawić do Sypialni Dwunastej, panie Groby?

– Nie – powiedziałem. – Co jeszcze pani ma? I przy okazji, jestem ciekaw, czy mogłaby mi pani pożyczyć pięć dolarów do dnia wypłaty?

– Ulokuję pana w Sypialni Dziesiątej – powiedziała, bazgrząc coś w kajecie. I oczywiście pożyczę panu trochę pieniędzy. Dziesięć dolarów? wystarczy podpisać i złożyć odcisk palca na tym przydziale, panie Groby. Dziękuję – odeszła pośpiesznie w poszukiwaniu następnego naiwniaka.

Jakiś mężczyzna z tikiem nerwowym na twarzy chwycił mnie za rękę i wyszeptał ochrypłym głosem:

– Bracie, pragnę cię powitać w szeregach Związku Pracowników Protein ze Szlamu – czarnoziemiu Panameryki, czyli niezrzeszonych miejscowych pracowników Chlorelli. Ta broszura wyjaśni ci, w jaki sposób Z.P.P.S. chroni swych członków przed licznymi drobnymi kantami i nadużyciami, które zazwyczaj gnębią przemysł. Twoje wpisowe i należności związkowe są ściągane automatycznie, ale za tę wartościową broszurę musisz odpalić coś ekstra.

– Bracie – spytałem go – a co gorszego może mi się przytrafić, jeśli jej nie kupię?

– Nie byłoby to dobrze widziane – powiedział po prostu. Pożyczył mi pięć dolarów na zakup broszury.

Nie musiałem drapać się na czterdziestą trzecią kondygnację do Sypialni Dziesiątej. Dla ludzi klasy 2 nie było wind, ale te były obudowane siatką, której można było się uchwycić. Wymagało to nieco odwagi by wskoczyć i wyskoczyć, a ponieważ prześwity były bardzo małe to jeśli wystawał ci tyłek, miałeś szansę go stracić.

W sypialni było upchanych jakieś sześćdziesiąt łóżek, po trzy w pionie. Ponieważ produkcja odbywała się tylko w ciągu dnia, nie stosowano systemu łóżek rotacyjnych. Moje łóżko należało wyłącznie do mnie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To był duży sukces.

Gdy wszedłem, zauważyłam starszego mężczyznę o zgorzkniałej twarzy, który zamiatał w zamyśleniu główne przejście.

– Jesteś nowy? – spytał i popatrzył na moją przepustkę. – Tam jest twoje łóżko. Jestem

Pine, dyżurny sali. Czy wiesz może, jak się szumuje?

– Nie – powiedziałem. – Panie Pine, skąd można tu zadzwonić?

– Pokój dzienny – powiedział wskazawszy palcem, Poszedłem do przyległego pomieszczenia. Był tam telefon oraz wielgachny telehipnotyzer, a także czytniki, szpule, czasopisma. Zgrzytnąłem zębami kiedy ze stojaka rzuciła mi się w oczy okładka „Taunton’s Weekly”, Telefon był oczywiście płatny. Rzuciłem się z powrotem do sypialni.

– Panie Pine – powiedziałem – czy może mi pan pożyczyć około dwudziestu dolarów monetami? Muszę daleko zadzwonić.

– Dwadzieścia pięć za dwadzieścia? – zapytał przebiegle.

– Jasne. Ile pan tylko powie.

Powoli wypełnił koślawymi bukwami formularz przydziału, a ja podpisałem i złożyłem odcisk. Następnie uważnie odliczył pieniądze ze swych żebraczych kieszeni.

Chciałem zadzwonić do Kathy, ale nie śmiałem. Mogła być w domu, mogła być w szpitalu, więc wykręciłem czternaście cyfr Zrzeszenia Fowlera Schockena. Wrzuciłem brzęczący strumień monet. Czekałem na odezwanie się centrali, tak znanymi mi słowami: Zrzeszenie Fowlera Schockena dzień dobry; dla Zrzeszenia Fowlera Schockena i jego klientów zawsze jest dobry dzień. Czym mogę służyć?”

Ale nie to usłyszałem. W słuchawce jakiś głos powiedział: *Su numero de prioridad, por favor?*

Numer priorytetu przy rozmowach długodystansowych. Nie miałem takiego. Aby dostać czterocyfrowy numer priorytetu firma musiała mieć miliardowy budżet, i szybko płacić. Światowe linie były tak zapchane, że indywidualnego priorytetu nie można było sobie nawet wyobrazić. Oczywiście nigdy się tym nie przejmowałem, gdy wykonywałem długodystansowe rozmowy telefoniczne z Zrzeszenia, na priorytecie Fowlera Schockena. Numer priorytetu był jednym z tych małych luksusów bez których musiałem się nauczyć żyć.

Powoli odwiesiłem słuchawkę, a automat oczywiście nie zwrócił mi monet. Pomyślałem, że mógłbym napisać do kogokolwiek. Napisać do Kathy i Jacka O’Shea, do Fowlera i Colliera, do Hester i Tildy. Poruszyć cały świat. Droga Żono (lub Szeffie): Niniejszym zawiadamiam, że Twój mąż (lub pracownik), którego uważa się za zmarłego, w rzeczywistości nie zmarł, lecz w niewytłumaczalny sposób został pracownikiem na kontrakcie na Plantacjach Chlorella w Kostaryce i proszę zrobić wszystko, żeby wydostać mnie stąd. Podpisano, Twój kochający mąż (lub pracownik) Mitchell Courtenay.

Sprawa byłaby rzeczywiście prosta, gdyby nie to, że istnieje ktoś taki, jak cenzor Plantacji. Powlokłem się do wyznaczonej mi sypialni. Powoli zaczęła się zapełniać moimi współlokatorami

– Hej, nowy! – zawołał jeden z nich, wskazując na mnie.

– Court jest wzywany na odprawę! – wrzeszczał inny.

Nie zwracałem na to uwagi, bo tego rodzaju przyjęcie przechodził każdy z nich. Należało

do tradycji, było przerwą w monotonii codziennych zajęć, szansą dworowania sobie z kogoś biedniejszego od nich samych, czymś, co oni już kiedyś przeszli. Przypuszczam, że w Sypialni Siódmej z pewnością byłyby to bardziej przykre doświadczenie, a w Sypialni Dwunastej mógłbym tego nie przeżyć. W Dziesiątej robiono to na wesoło. Zapłaciłem „wpisowe” – podpisałem kilka następnych płatnych voucherów Plantacji, zabrałem swoje manatki, zakląłem ohydnie i zostałem pełnoprawnym członkiem sypialni.

Nie poszedłem z grupą do mesy na obiad. Wyciągnąłem się na łóżku i zapragnąłem być martwy jak reszta świata, chociaż i tak nie różniłem się zbyt od nieboszczyka.

Rozdział 8

Zbieranie szumowin z zbiorniku nie było czynnością wymagającą długiej nauki. Wstawalo się o świcie i połykało śniadanie popijając je Coffiestem. Zakładało się kombinezon, wskakiwało do sieci transportowej i jazda na górę. W zbiornikach pełnych glonów spędzało się cały dzień, od wschodu do zachodu słońca, cały czas w oślepiającym świetle. Jeżeli chodziło się powoli, to mniej więcej co trzydzieści sekund można było dostrzec na powierzchni strzępek dojrzałych węglowodanów. Należało go zebrać, a potem wrzucić do studni, gdzie był przetwarzany na glukozę będącą pożywką dla Chicken Little, potem krojoną i pakowaną jako żywność dla ludzi od Ziemi Baffina do Małej Ameryki. Mieliśmy też drobne przywileje. Co godzinę można było napić się w kantine i łyknąć słoną pastylkę. Co dwie godziny można było odpocząć przez pięć minut. O zachodzie słońca porzucaliśmy kombinezony i szliśmy na obiad – kilka plasterków od Chicken Little – a potem już mieliśmy czas dla siebie. Można było rozmawiać, czytać, można było wpaść w trans przed telehipnotyzerem, można było robić zakupy, bić się. Można także było doprowadzić się do obłędu rozmyślaniami, co mogłoby się zdarzyć, wreszcie można było pójść spać.

Najczęściej robiłem to ostatnie.

Pisałem mnóstwo listów i, o ile było to możliwe, próbowałam spać. Dzień wypłaty nadszedł niespodziewanie. Nawet nie spostrzegłem, kiedy minęły dwa tygodnie. Dzięki Chlorella Proteins, z pensji zostało mi tylko osiemdziesiąt kilka dolarów i parę centów. Oprócz różnych podjętych przeze mnie pierwszego dnia zobowiązań, okazało się, że płacę jeszcze składkę na Fundusz Opieki nad Pracownikami (z dokładnych wyliczeń wynikało, że w ten sposób płaciłem podatki Chlorelli), składki związkowe, ratę za wpisowe, własny podatek, ubezpieczenie na wypadek koniecznego leczenia szpitalnego (spróbuj się tam tylko dostać, powiedział mi pewien facet) i składki na fundusz emerytalny.

Jedyną pocieszającą rzeczą była myśl, że kiedy – zawsze mocno podkreślałem to „kiedy” – wydam się stąd, to będę bliższy konsumentowi niż jakikolwiek inny facet z branży. Oczywiście w Zrzeszeniu Fowlera Schockena zatrudnialiśmy bystrych, wykształconych chłopców. Widziałem teraz, że byli zbyt snobistyczni, by podawać mi proste fakty z życia oraz doznań konsumentów. Nawet nie dopuszczali do siebie myśli, że mogą być podobni do szarych przeciętniaków.

Pamiętam, że uczyłem się, iż reklama działa na podświadomość silniej nawet, niż my profesjonaliści możemy to sobie wyobrazić. Zaskakiwało mnie porównywanie i co gorsza traktowanie reklamy jak prostej gry w kości. Byłem zaintrygowany, a następnie zadowolony obserwując jak reklama wsiąka w ludzki piasek, by w końcu zaowocować. Oczywiście interesowało mnie najbardziej to, co mówiło się o rakiecie na Wenus. Przez cały tydzień, gdzie tylko mogłem, przysłuchiwałem się entuzjazmowi rosnącemu wśród tych, którzy nigdy nie polecą na Wenus i nawet nie znają nikogo, kto tam poleciałby. Słyszałem, jak wciąż powtarzano wierszyki wypuszczane przez Zrzeszenie Fowlera Schockena:

*Kosmiczny dżokej imieniem O'Shea
Kochał dziewczynę, co wygląda jak beczkowóz.*

lub

*Mechanik społeczna niedojda
Spytał raz dziewczynę:
Cóż to weszło między nas?*

I wiele podobnych. Treść każdego była aluzją do niebywałego wzrostu męskiej potencji na Wenus. Podsekcja Bena Winstona w Wydziale Siły Roboczej była, i zawsze to powtarzałem, jedną z najbardziej utalentowanych grup w całej firmie. Byli szczególnie dobrzy w zgadywankach, takich jak „Dlaczego Wenus nazywa się Gwiazdą Żalobną?”¹ Oczywiście, gdyby zgadywanke napisać, to nie miałyby sensu, ale podstawą zabawy jest kalambur, a podstawowym motorem poczynań ludzkiej rasy jest seks. A cóż jest, w zasadzie, ważniejsze w życiu od uformowania i skierowania nurtu ludzkich emocji w odpowiednim kierunku? Nie usprawiedliwiam tych renegatów, którzy bajdurzą o jakiejś wymyślonej „żądzy śmierci”, na której chcą zrobić interes. Pozostawiam te rzeczy Tauntonom naszego zawodu, są to sprawy brudne oraz niemoralne i nie chcę mieć z nimi nic wspólnego... poza tym, analizując je bliżej, okazuje się, że w dłuższym okresie powodują to zmniejszenie liczby konsumentów.

Przecież nikt nie może mieć wątpliwości, że powiązanie sprzedaży z jedną z wielkich

¹ angielskie „mourning” - żalobny, brzmi podobnie do „morning” - poranny (przyp.tłum.)

motywacji ludzkiego ducha, nie tylko powoduje sprzedaż towaru, lecz także wzmacnia tę motywację, pomaga wydobyć ją na powierzchnię i nadaje jej sens. Dlatego jesteśmy pewni stałego rocznego przyrostu konsumentów, tak niezbędnego do dalszej ekspansji.

Chlorella, czego dowiedziałem się z przyjemnością, bardzo dobrze dba pod tym względem o pracowników. W diecie był odpowiedni składnik hormonalny, a na 50-tej kondygnacji była wspaniała tysiąclózkowa Sala Rekreacyjna. Jedynym zastrzeżeniem poczynionym przez kompanię w kontrakcie było, żeby dzieci urodzone na plantacji były automatycznie przez nią przejmowane, jeżeli w dziesiąte urodziny jedno z rodziców było wciąż pracownikiem Chlorelli.

Nie miałem czasu na Salę Rekreacyjną. Uczyłem się, studiowałem środowisko, czekałem na okazję, która musiała kiedyś nadejść. Gdyby szybko nie nadeszła, to stworzyłbym ją, ale najpierw musiałem nauczyć się żyć w nowej sytuacji. Oczy i uszy miałem wciąż szeroko otwarte na rezultaty kampanii Wenus. Szła wspaniale – jak dotąd. Wierszyki, historyjki umieszczane w czasopiśmie, wesołe krótkie piosenki – wszystko to przynosiło efekty.

Ale potem coś zaczęło się psuć.

Znikąd pojawił się trend spadkowy. Zajął mi cały dzień, zanim to zauważyłem oraz cały tydzień, zanim uwierzyłem, że jest to prawdą. Słowo „Wenus” znikło ze zwykłych rozmów. Jeżeli mówiło się o rakiecie kosmicznej, to zwykle w połączeniu z takimi hasłami jak „skażenie radiacyjne”, „podatki”, „podniecenie”. Pojawiły się nowe, niebezpieczne dowcipy, typu: „Znasz ten o grubasie, który uwiązał w skafandrze?”

Można było nie zorientować się o co chodzi, a Fowler Schocken przeglądając dzienne streszczenia zbiorczych opracowań, wyciągów z postępów prac nad Projektem Wenus, nigdy nie będzie miał szansy ich zakwestionować lub zwątpić w to, co się mu podaje. Ale ja znałem Projekt Wenus. I wiedziałem co się stało.

Matt Runsted przejął przedsięwzięcie w swoje ręce.

Arystokratą Sypialni Dziesiątej był Herrera. Po dziesięciu latach pracy w Plantacjach Chlorella doszedł do pozycji – generalnie była niska – Mistrza Krajalniczego. Pracował w dużej, chłodnej piwnicy, gdzie rósł wyrób Chicken Little, przygotowywany przez niego i innych mistrzów ręki. Wymachiwał czymś w rodzaju dwuręcznego miecza, którym odcinał grube kawałki tkanki, tymi zajmowali się pomniejsi pakowacze i ładowacze, oraz ich bezimienni pomocnicy. Gotową masę ważyli, formowali, zamrażali, gotowali, przyprawiali, pakowali a następnie wysyłali do punktów przeznaczenia, zgodnie z dziennymi normami.

Jego praca była czymś więcej niż czystą produkcją. Była zaworem bezpieczeństwa. Chicken Little rósł, rósł i rósł przez dziesiątki dni. Od chwili, gdy rozpoczął swą karierę jako garść węglowodanów, nie pozostało mu nic innego do roboty poza wzrostem, wypełnieniem betonowej piwnicy, sortowaniem i zacieśnianiem swych komórek i przerywaniem ich. Dopóki był odżywiany, dopóty rósł. Herrera pilnował, by rósł okrągły i pulchny, by żadna

tkanka nie stała za stara i za twarda, zanim nie zostanie odkrojona, by żadna z jego stron nie została zaniedbana kosztem innej.

Z tą odpowiedzialnością wiązała się odpowiednia płaca, pomimo tego Herrera nie ożenił się jeszcze, ani nie przeprowadził do mieszkania na jednej z wyższych kondygnacji pawilonu. Robił wycieczki, które były okazją do sprośnych uwag, gdy go nie było, ale których nigdy nie czyniono bez uprzejmej grzeczności, kiedy był obecny. Zawszą nosił przy sobie swój oburęczny nóż krajalniczy, często w wolnych chwilach go ostrząc. Był człowiekiem, którego musiałem znać. Był człowiekiem z pieniędzmi – musiał mieć pieniądze po dziesięciu latach – a ja ich potrzebowałem.

System pracy na kontrakcie B był całkiem prosty. Nigdy nie wychodziło się z długów. Łatwy kredyt był częścią systemu. Należały do niego również irytujące czynniki zmuszające do ich zaciągania. Jeżeli miałem co tydzień dziesięć dolarów do tyłu, to pod koniec mojego kontraktu będę winny Chlorelli tysiąc sto dolarów i będę musiał pracować, dopóki nie zniweluję długu. Ale wiedziałem, że gdy będę pracować, to mój dług będzie narastał.

Potrzebowałem pieniędzy Herrery, by wykupić się z Chlorelli oraz wrócić do Nowego Jorku, Kathy, Projektu Wenus. Runsted robił w moim Wydziale to, czego nie chciałem. A tylko jeden Bóg wiedział, co robiła Kathy jako wdowa. Próbowałem nie myśleć o jednej, wciąż stojącej mi przed oczami możliwości: Jacku O'Shea i Kathy. Kurdupłowaty bohater odplacał teraz rodzajowi żeńskiemu za lata wzgardy. Aż do dwudziestu pięciu lat był wyśmiewanym sześćdziesięciofuntowym karłem, jeszcze bardziej groteskowym przez to, że dzięki swemu uporowi został oblatywaczem. Ale w wieku dwudziestu sześciu lat stał się światową sławą, pierwszym człowiekiem, który wylądował na Wenus, zyskał nieśmiertelność. Miał mnóstwo miłostek do odrobienia. Opowiadano, że bił rekordy podczas swych wyjazdów z prelekcjami. Nie podobało mi się to. Nie podobał mi się sposób, w jaki darzył sympatią Kathy, ani sposób, w jaki ona darzyła sympatią jego.

I tak mijał dzień za dniem; wstawanie o brzasku, śniadanie, drelichy i gogle, sieć ładunkowa, zbieranie piany i wyrzucanie jej przez całe godziny w olśniewającym blasku, obiad, a potem pokój dzienny. Czasem udało mi się pogawędzić z Herrera.

– Niezłe masz ostrze, Gus. Są tylko dwa rodzaje ludzi na świecie: ci, którzy nie dbają o swe narzędzia i mądrale.

Podejrzliwe spojrzenie spod azteckich brwi.

– Płacą, to trzeba dobrze robić. Jesteś zbieraczem, co?

– Tak. Pierwszy raz tutaj. Sądzisz, że powinienem zostać? – Nie zrozumiał.

– Musisz zostać. Kontrakt – podszedł do stojaka z czasopismami.

Następnego dnia:

– Cześć, Gus. Zmęczony?

– Cześć, George. Tak, trochę. Dziesięć godzin wymachiwania tym tasakiem. Czuje się go w rękach.

– Wyobrażam sobie. Zbieranie jest łatwe, ale nie potrzeba do tego umysłu.

– No. Może któregoś dnia awansujesz. Chyba wpadnę dziś w trans.

Kiedy indziej.

– Cześć, George. Jak leci?

– Nie narzekam, Gus. Przynajmniej się opalę.

– No pewno. Niedługo będziesz tak czarny jak ja. Ha, ha! Jakby ci się to podobało?

– *Porque no, amigo?*

– Hej, *tu hablas, espanol! Cuando aprendiste la lengua?*

– Nie tak szybko, Gus. Znam zaledwie parę słów. Chciałbym znać więcej. Któregoś dnia, gdy dostanę trochę forsy pójdę do miasta na dziewczynki.

– One wszystkie mówią po angielsku, tak jak ty. Gdybyś miał na stałe jakąś dziewczynkę, dobrze byłoby mówić trochę po hiszpańsku. Doceniłaby to. Ale większość z nich zna „Gimmy-gimmy” i angielską piosenkę o tym, co możesz dostać za jednego dolca, ha, ha!

I tak się toczyło przez kolejne dni.

Znowu przyszła wypłata, a mój dług wzrósł o osiem dolarów. Zameczyłem się zastanawiając, na co tym razem poszły moje pieniądze, ale w końcu dowiedziałem się. Skończyłem zmianę odwodniony, jak tego ode mnie oczekiwano. Łyknąłem strużkę Popsie z fontanny – dwadzieścia pięć centów odliczonych z mojej wypłaty. Łyk nie był wystarczający, tak więc jeszcze jeden – pięćdziesiąt centów. Obiad jak zwykle był ohydny, nie zdobyłem się na więcej niż na jeden czy dwa kęsy Chicken Little. Potem byłem głodny i poszedłem do kantyny, gdzie zjadłam Crunchies na łatwy kredyt. Crunchies przyprawiło mnie o mdłości, które można było zażegnać kolejnymi dwoma łykami Popsie z fontanny. A Popsie spowodowała sensacje, które można było zagłuszyć tylko zaciągając się papierosami Starr, które pobudziły apetyt na Crunchies... Czy Fowler Schocken myślał o tym w tych kategoriach, kiedy organizował Starrzelius Verily, pierwszy trust sferyczny? Od Popsie do Crunchies i przez Starr z powrotem do Popsie?

A od pożyczonych pieniędzy płaciło się sześć procent.

Musiałem szybko wiać, bo w przeciwnym wypadku nigdy nie opuściłbym Plantacji. Czulem, jak moja przedsiębiorczość, rzecz która mnie wyniosła, umiera, komórka po komórce. Małe dawki alkaloidu podkopywały moją wolę, ale przede wszystkim było to beznadziejne, podstępne uczucie, że tak już ma być, że tak zawsze będzie, że nie jest tak źle, i że zawsze można wpaść w trans lub pobudzić się łykiem Popsie, lub nawet spróbować jedną z zielonych kapsulek, które kursowały za różną cenę, z ręki do ręki. Wkrótce mogło przyjść załamanie, czulem to.

– *Como sta, Gustavo?*

Usiadł i wyszczerzył zęby w swym azteckim uśmiechu.

– *Como 'sta amigo Jorge? Se fuma?*

Wyciągnął paczkę papierosów. Były to Greentipsy. Odpowiedziałam automatycznie:

– Nie, dziękuję. Pałę Starry, są mocniejsze – i oczywiście automatycznie zapaliłem jednego. Stawałem się konsumentem, którego przywykliśmy kochać. Pomyśli o paleniu, pomyśli o Starrze, zapali Starra. Zapali Starra, pomyśli o Popsie, napije się łyk. Napije się łyk, pomyśli o Crunchies, kupi pudełko. Kupi pudełko, pomyśli o paleniu, zapali Starra. I na każdym kroku będzie wygłaszał podniosłe słowa. Które wtłoczono w niego przez oczy, uszy i wszystkie możliwe otwory ciała.

– Pałę Starry, są mocniejsze. Piję Popsie; jest ożywcza. Jadam Crunchies, czuję je na języku. Pałę...

– Nie wyglądasz na tak szczęśliwego, Jorge – odezwał się Gus.

– Bo nie czuję się szczęśliwy, amigo. – To było ta okazja. – Jestem w bardzo dziwnej sytuacji. – Czekałem w podnieceniu na jego reakcję.

– Przypuszczałem, że coś się stało. Taki inteligentny facet jak ty, facet, który bywał tu i tam. Może potrzebujesz pomocy?

Cudownie, cudownie.

– Nie stracisz na tym, Gus. Podejmiesz ryzyko, ale nie stracisz. Oto moja historia...

– Ciii, nie tutaj – uciszył mnie. Zniżywszy głos ciągnął dalej. – To zawsze jest ryzykowne. To zawsze warte jest zachodu, gdy widzę jak młody rozsądny facet mądrzeje i zaczyna działać. Któregoś dnia popełnię błąd, *seguro*. Wówczas mnie dostaną, może poddadzą mnie torturom umysłowym. Tam do diabła, mogę się z nich śmiać. Wykonałem moje zadanie. Patrz tutaj. Nie muszę ci mówić, żebyś uważał, kiedy to otworzysz.

Uścisnął mi rękę i poczułem, że jakiś rulonik przykleił się do mojej dłoni. Powolnym krokiem oddalił się przez pokój dzienny, w kierunku telehipnotyzera, nastawił swój zegar na pół godziny transu i zagłębił się w marzeniach wraz z resztą widzów.

Poszedłem do umywalni i wystukałem moją kombinację na dziesięciominutowe zajęcie kabiny – bang!, potracono następne pięć centów z mojej wypłaty – wszedłem do środka. Rulonik przylepiony do dłoni rozwinął się do jednej strony papieru serwetkowego informującego mnie, że:

Życie jest w Twoich rekach

Trzymasz w ręku Arkusz Kontaktowy Numer Jeden Światowego Stowarzyszenia Konserwatystów (SSK), popularnie zwanego „Consies”. Został ci przekazany przez członka SSK, który ocenił Cię jako a) osobę inteligentną, b) osobę zaniepokojoną obecnym stanem świata, c) osobę potencjalnie przydatną w naszych szeregach. Jego życie jest teraz w Twoich rekach. Prosimy, byś najpierw przeczytał tekst, zanim zaczniesz jakiegokolwiek działanie.

Czym jest SSK?

Fakty: SSK jest tajną organizacją prześladowaną przez wszystkie rządy świata, która uważa, że rabunkowa eksploatacja zasobów naturalnych stała się przyczyną powstania

niepotrzebnego ubóstwa oraz niepotrzebnej ludzkiej nędzy. Uważa, że kontynuowanie takiej eksploatacji będzie oznaczać koniec życia na Ziemi. Uważa, że proces ten można odwrócić, jeżeli ludność Ziemi będzie wychowywana tak, iż zapragnie planowania populacji, ponownego zalesienia, odbudowywania struktury gleby, deurbanizacji i zaprzestania marnotrawnej produkcji urządzeń i żywności, na które nie ma naturalnego zapotrzebowania. Program szkoleniowy jest przeprowadzany w oparciu o propagandę (na przykład taką jaką trzymasz w ręku), demonstracje siły i sabotaż fabryk produkujących towary nikomu niepotrzebne.

Kłamstwa o SSK

Prawdopodobnie słyszałeś, że „Consies” to mordercy, psychopaci, niekompetentni ludzie zabijający i niszczący z irracjonalnych pobudek lub z zawiści. Nic bardziej kłamliwego. Członkami SSK są osoby mądre i zrównoważone, przy czym wielu z nich odniosło sukces w oczach świata. Opowieści przeciwne są gorliwie popierane przez ludzi ciągnących zyski z eksploatacji, którą mamy nadzieję zmienić. Istnieją oczywiście osoby niezrównoważone, myślące irracjonalnie oraz kryminaliści. Popołniają oni gwałty w imieniu konserwatystów z powodów idealistycznych lub jako przykrywka do rabunku, ale SSK odcina się od takich ludzi i odnosi się do ich działania z niechęcią.

Co chcesz zrobić dalej?

To zależy od ciebie. Możesz a) zadenuncjować osobę, która przekazała ci ten arkusz kontaktowy b) zniszczyć ten arkusz i zapomnieć o nim; c) pójść do osoby, która przekazała Ci ten arkusz i poprosić o dalsze informacje. Prosimy byś zastanowił się, zanim zaczniesz działać.

Ja myślałem i to dużo. Pomyślałem, że ten pamflet jest a) najgłupszym, najnędzniejszym kawałkiem tekstu, jaki kiedykolwiek widziałem w moim życiu, b) najbardziej wypaczoną wersją rzeczywistości, c) jedyną możliwą drogą ucieczki z Chlorelli z powrotem do Kathy.

Nie tacy straszni są ci Consies. Ich deklaracja była wewnętrznym sprzecznym bełkotem – ale miała w sobie coś, co się podobało. Reklama była zręczna – podświadomie czułem, że w podobny sposób opracowalibyśmy broszurę apteczną „Tylko dla lekarzy”. Spokojnie, w sposób uczony, wszyscy jesteśmy tu wnikliwymi sędziami i ludźmi o głębokiej wiedzy, możemy szczerze porozmawiać o sednie sprawy. Doktorze, czy pański pacjent cierpi na spazmy? Było to odwoływanie się do rozumu, a to jest zawsze niebezpieczne. Nie można ufać rozumowi. Wyrzuciliśmy go z reklamy już dawno i nigdy nie był mam potrzebny.

Narzuciły się dwa rozwiązania. Mogłem pójść do naczelnego biura i wskazać palcem Herrere. Może zyskałbym trochę popularności, może wysłuchaliby mnie. Mogliby uwierzyć w to, co bym im powiedział. Lecz przypomniałem sobie, że denuncjatorzy Consies dostawali

czasami bżika, że zostawali wystawieni na pośmiewisko. To nie było dobre. Bardziej ryzykownie, ale i bardziej heroicznej mógłbym działać od wewnątrz, udając że jestem Consie. Jeżeli mieli rozwiniętą sieć na całym świecie, tak jak twierdzili, to nie wiedziałem, dlaczego nie miałbym skończyć w Nowym Jorku gotowy i zdolny do ich ujawnienia.

Ani przez chwilę nie wątpiłem w to, że będę zdolny do wybicia się na czoło. Ręka mnie swędziała, by poprawić ten arkusz kontaktowy, wyostrzyć zdania, wyciąć dłużyzny, wstawić w odpowiednie miejsca słowa oznaczające zmysły. Mógłbym z tego zrobić użytek.

Drzwi do kabiny otworzyły się, właśnie minęło moje dziesięć minut. Szybko splukałem arkusz do ścieku i wyszedłem do pokoju dziennego. Herrera nadal był w transie przed odbiornikiem.

Czekałem jakieś dwadzieścia minut. W końcu otrząsnął się, zamrugał oczyma i rozejrzał się. Zobaczył mnie, a jego twarz była nieruchoma, jak granit. Uśmiechnąłem się i skinąłem, a on podszedł.

– W porządku, *companero*? – spytał spokojnie.

– W porządku – powiedziałem. – Kiedy tylko zechcesz, Gus.

– Już niedługo – powiedział. – Zawsze po takim czymś zapadam w trans. Nie mogę wytrzymać napięcia, oczekiwania. Któregoś dnia obudzę się z transu i zobaczę gliny, które wściekle rzucą się na mnie – zaczął gładzić swój nóż kieszonkową osełką.

Spojrzałem na niego zaczynając rozumieć.

– I co? – zapytałam. Jego twarz drgnęła.

– Nie – powiedział. – Masz nieco złe wyobrażenie, Jorge. To nie na nich. Zabiję siebie. Bym nie miał szans na wyśpiewanie.

Jego słowa brzmiały szlachetnie, nawet w takiej sytuacji. Nienawidziłem pokrętnego rozumowania, które sprowadziło do takiej roli świetnego konsumenta, jakim był Gus. To było coś w rodzaju morderstwa. Mógłby przecież grać swoją rolę w świecie, kupując i używając. Tworzyć możliwość pracy i zysku dla swych braci na całym globie i ciągle zwiększać swoje pragnienie i potrzeby, zwiększając pracę i zyski wszystkich w kręgu konsumpcji. Wychowywać dzieci, by stały się kolejnymi konsumentami. Przykro było widzieć go na straconej pozycji.

Zdecydowałem się zrobić dla niego wszystko co tylko będę mógł, zanim go zadenuncjuję. To nie była jego wina. Winą obarczyłem tych, którzy napelnili go goryczą. Z pewnością muszą być jakieś środki zaradcze dla Consies takich jak Gus, pełnych szlachetnej naiwności. Zapytałbym – nie, lepiej byłoby nie zadawać pytań. Ludzie zaraz wyciągną wnioski. Mógłbym bowiem usłyszeć:

– Nie mówię, że Mitch nie jest zdrowy, ale ta jego całkiem wydumana idea.

– Tak. Kto raz zostaje Consie, to zawsze nim pozostanie.

– Wszyscy to znamy. Nie mówię, że Mitch nie jest zdrowy, uważasz, ale...

Do diabła z Herrera. Mógłbym podjąć swoją szansę jak każdy inny. Każdy, kto

przygotowuje się do wywrócenia świata do góry nogami, nie ma prawa uskarżać się, kiedy zostanie złapany na swoich manipulacjach.

Rozdział 9

Dni mijały jak tygodnie. Herrera niewiele ze mną rozmawiał, aż pewnego wieczora w sali dziennej zapytał znienacka.

– Widziałeś kiedyś *Gallina*? – była to hiszpańska nazwa. Chicken Little. Powiedziałem, że nie.

– To chodź na dół. Oprowadzę cię. To jest widok.

Poszliśmy do szybu i wskoczyliśmy do zjeżdżającej na dół sieci ładunkowej. Na wszelki wypadek zamknąłem oczy. Patrząc prosto w dół nieodmiennie dostajesz lęku wysokości. Czterdziesty, Trzydziesty, Dwudziesty, Dziesiąty, Zerowy, Minus Dziesiąty poziom...

– Zeskakuj, Jorge – powiedział Herrera. – Pod Minus Dziesiątą jest maszynieria. – Wskoczyłem.

Na Minus Dziesiątej kondygnacji było mroczno. Po betonowych ścianach spływała woda. Sklepienie opierało się na ogromnych słupach. W miejscu, w którym wysiedliśmy płatanina rur zamykała korytarz.

– Płyn odżywczy – powiedział Herrera.

Zwróciłem uwagę na olbrzymi ciężar sufitu.

– Beton i ołów. Chroni przed promieniowaniem kosmicznym. Czasami *Gallina* dostaje raka. – Splunął. – Nie nadaje się do jedzenia dla ludzi. Trzeba ją całą spalić, jeśli nie zauważysz się tego odpowiednio wcześniej – machnął błyszczącym ostrzem zataczając niesamowity łuk, by pokazać mi co oznaczało owo „zauważenie”. Pchnął drzwi.

– Tu jest jej gniazdo – powiedział z dumą. Spojrzałem i przełknąłem głośno ślinę.

Chicken Little wypełniał prawie bez reszty wielką betonową kopułę. Wyglądał jak szarobrazowa, gumowatą bryła o średnicy jakiś piętnastu metrów. W to pulsujące, żywe ciało wnikały tuziny rur.

– Cały dzień chodzę wokół niego – powiedział Herrera. – Widzę jakąś część rosnącą szybko i jeśli wygląda ładnie i delikatnie, to tnę. – Jego dwuręczny miecz świsnął znowu i odciął gruby na cal stek Chicken Little. – Zbieracze za mną łapią to, tną na mniejsze porcje i kładą do transportera.

Ściana za nami była podziurawiona wylotami tuneli z widocznymi w nich taśmociągami.

– Czy on nie rośnie w nocy?

– Nie. Przykręcają płyn odżywczy. Chcą, by odpadki właściwie się w nim skumulowały. Co noc prawie umiera. Rankiem, jak Łazarz, powraca do życia. Ale nikt nigdy nie modli się przed *probrecita Gallina*, co? – klepnął gumowatą galaretę płazem klingi.

– Lubisz go – powiedziałem bezmyślnie.

– Jasne, Jorge. Płatamy figle. – Rozejrzał się wkoło, a następnie okrążył gniazdo, zaglądając w otwór każdego tunelu. Potem z jednego z nich wyjął krótką belkę i nasunął ją na drzwi prowadzące do gniazda. Leżała jak ulał, pomiędzy wzmacniającą je poprzeczką i przypadkowym wyżłobieniem w betonowej podłodze. Bardzo dobrze spełniała rolę zamka.

– Pokażę ci jeden numer – powiedział z azteckim uśmiechem. Wypracowanym ruchem magika, wyjął ze swej kieszeni coś w rodzaju gwizdka. Nie miało ustnika, lecz zbiornik powietrza zasilany ręczną pompką. – Nie zrobiłem tego sam – zapewnił mnie pospiesznie. – Nazywają to gwizdkiem Galtona, ale nie wiem, kim jest ten cały Galton. Patrz, i słuchaj.

Zaczął pompować kierując gwizdek w stronę Chicken Little. Nie usłyszałem żadnego dźwięku, ale wzdrygnąłem się, gdy w gumowatej protoplazmie utworzyło się półkolistе wklęsnięcie.

– Nie bój się, *companero* – powiedział do mnie – Stój za mną. – Zaczął pompować mocniej i podał mi latarkę, którą bezwiednie zapaliłem. Herrero gwizdkiem bezdźwięcznie odpychał Chicken Little. Tworzyło się w nim coraz większe zagłębienie, przekształcające się powoli w sklepione przejście z betonową podłogą. Herrera wszedł w nie, mówiąc:

– Pośpiesz się. – Zrobiłem kilka kroków do przodu, lecz moje serce bojaźliwie waliło. Posuwał się powoli, wciąż pompując gwizdek. Wejście stawało się coraz mniejsze... i mniejsze...

Byliśmy w środku, w półkolistym pęcherzu przesuwającym się powoli przez stutonowy poleć szaro-brązowego gumowego mięsa.

– Światło skieruj na podłogę, *companero* – powiedział, a ja zrobiłem o co prosił. Beton był porysowany wyglądającymi na przypadkowe liniami, lecz to właśnie one prowadziły stopy Horroru. Posuwaliśmy się powoli do przodu – a ja wyobrażałem sobie co by się stało, gdyby gwizdek Galtona nagle przestał działać...

Po około dwu tysiącach lat posuwania się cal po calu, światło mojej latarki oświetliło metalowy półksiężyc. Herrera wygwizdał nad nim bańkę i półksiężyc przemienił się w krąg, który po trzykrotnym tupnięciu weń, otworzył się jak właz.

– Ty pierwszy – powiedział, ja zaś zanurzyłem się w nim, nie wiedząc ani nie dbając o to, czy lądowanie będzie twarde czy miękkie. Było miękkie, a ja leżałem cały dygocząc. Chwilę później Herrera wylądował obok mnie i właz zatrzasnął się za nim. Meksykanin wstał masując sobie rękę.

– Ciężka robota – powiedział. – Pompuję i pompuję nie słysząc żadnego dźwięku. Któregoś dnia przestanie działać, a ja nawet tego nie zauważę, chyba że... – uśmiechnął się znów.

– George Groby – Herrera przedstawił mnie. – A to jest Ronnie Bowen. – Był niskim, flegmatycznym konsumentem w urzędniczym ubraniu. – A to Arturo Denzer. – Denzer był bardzo młody i nerwowy.

Byliśmy w dobrze oświetlonym, małym pomieszczeniu z regeneratorami powietrza. Stały tu biurka i urządzenia telekomunikacyjne. Trudno było uwierzyć, że jedyna droga tu prowadząca była zaryglowana górą protoplazmy. Jeszcze trudniej było uwierzyć w to, że pisk niesłyszalnych fal wysokiej częstotliwości mógł odsunąć tę nieruchomą masę na bok.

Rozpoczął Bowen.

– Cieszymy się, że jesteś wśród nas, Groby – powiedział – Herrera mówił, że masz głowę na karku. Nie chcemy bawić się w zbytnią biurokrację, ale chcemy poznać twoją kartę osobową.

Podąłem mu kartę Groby'ego, a on przepisał jej treść. Po jego twarzy przebiegł grymas podejrzenia, gdy podałem mu niski stopień wykształcenia.

– Będę szczery – powiedział. – Nie mówisz, jak ktoś niewykształcony.

– Wiesz, jakie są niektóre dzieci – powiedziałem. – Swego czasu dużo czytałem i widziałem. Ciężko być środkowym z pięciorga rodzeństwa. Nie jest się na tyle dorosłym, by mieć jakiś autorytet, ani na tyle młodym, by być pieszczochem. Był to dla mnie dopust boży i wciąż próbowałem być coraz lepszy.

Kupił to.

– Całkiem słuszne, a co potrafisz?

– No więc... Myślę, że potrafię napisać lepszy arkusz kontaktowy niż ten, którego używacie.

– Naprawdę? Co jeszcze?

– No, ogólnie propaganda. Można byłoby wypuszczać historyjki, tak aby nie wiedzieli, że pochodzą one od Co... od nas. Takie, które spowodują, że ludzie staną się niezadowoleni z istniejącego stanu rzeczy i obudzą się z drętwoty.

– To bardzo interesujący pomysł. Podaj mi jakiś przykład.

Moja mózgowica pracowała na wysokich obrotach.

– Można na przykład rozpowszechnić pogłoski w stołówce, że została opracowana metoda wytwarzania nowych protein smakujących dokładnie jak rostbef i kosztujących dolara za funt, a oficjalnie będzie to ogłoszone za trzy dni. Jak miną trzy dni i nie będzie żadnego obwieszczenia, wtedy puścić na przykład taki dowcip: „Jaka jest różnica między rostbefem a Chicken Little?”. Odpowiedź: „Sto pięćdziesiąt lat postępu”. Coś w tym rodzaju chwyci i spowoduje, że zaczną myśleć o starych czasach z łezką w oku.

To było łatwe. Nie pierwszy raz skierowałem swój talent na upieczenie produktu, który nic mnie osobiście nie obchodził.

Bowen spisywał to na cichej maszynie do pisania.

– Dobrze – powiedział – bardzo pomysłowe, Groby. Spróbujemy tego. Dlaczego powiedziałaś „trzy dni”?

Nie mogłem mu przecież powiedzieć, że trzy dni były w zamkniętym kręgu socjalnym optymalnym okresem dla promocji wyzwolonej katalitycznym zdaniem – wytrychem. Było to odpowiedzią podręcznikową. Zamiast tego powiedziałem z zażenowaniem:

– Tak mi się tylko powiedziało.

– No dobra, wypróbujemy to. A teraz Groby, będziesz musiał trochę postudiować. Mamy tu klasyczne teksty ideologii konserwatyzmu. Powinieneś ja przeczytać, zwłaszcza szczególnie interesujące nas publikacje: „Wyciągi statystyczne”, „Dziennik Lotów Kosmicznych”, „Biuletyn biometrii rolniczej” i mnóstwo innych. Powinieneś je przejrzeć. Jeśli przyłożysz się do tego serio, a sądzę że to zrobisz, będziesz mógł prosić nas o pomoc. Ostatecznie możesz wybrać przedmiot, który ci się spodoba i wyspecjalizować się w nim, kładąc nacisk na bieżące badania. Poinformowany konserwatysta jest konserwatystą efektywnym.

– A po co mi „Dziennik lotów kosmicznych”? – zapytałem z rosnącym podnieceniem. Nagle wydało mi się, że znam odpowiedź: sabotaż Runsteda, moje porwanie, niekończące się opóźnienia i awarie w projekcie. Czy były dziełem Consies? Czyżby Consie w swoich zdeprawowanych, chorych umysłach zdecydowali, że podróże kosmiczne były przeciwko przetrwaniu, lub tym podobnym?

– To bardzo ważne – powiedział Bowen. – Należy o tym wiedzieć wszystko.

– Chcesz powiedzieć, że możemy tam zapaskudzić?

– Oczywiście, że nie – wybuchnął Bowen. – Wielki Boże, Groby, pomyśl, czym jest dla nas Wenus – wielka planeta, pola, żywność i surowce. To skarb tak potrzebny naszej rasie. Pomyśl trochę człowieku!

– Och – powiedziałem. Węzeł gordyjski nie został rozwiązany.

Zagłębiłem się w swoje „Biometryki” i co chwila prosiłem o wyjaśnienie jakiejś kwestii, którego wcale nie potrzebowałem. Biometryka była jednym z rutynowych działań redaktora. Informowała o zmianach populacji oraz ilorazu inteligencji, podawała wskaźniki umiarkowości i urodzeń oraz przyczyny zgonów, a całą masę innych danych. Prawie w każdym wydaniu były dla nas dobre wiadomości – te same, które były przyjmowane z irytacją przez Consies. Wzrost populacji zawsze był dla nas korzystny, im więcej ludzi, tym większa sprzedaż. Mniej rozumu, większa sprzedaż. Ale ci ekscentryczni fanatycy widzieli to na opak, a ja musiałem udawać, że jestem jednym z nich.

Po chwili przerzuciłem się na „Dziennik lotów kosmicznych”. Niestety, to co w nim znalazłem, było bardzo niepokojące. Wszystkie wiadomości były złe. Pisano o powszechnej apatii, o biernym oporze wobec ograniczeń spowodowanych budową rakiety na Wenus. Powątpiewano w możliwość założenia na tej planecie kolonii oraz w możliwość jej utrzymania, gdyby mimo trudności udało się jednak ją założyć.

Ten przeklęty Runsted!

Najgorsza wiadomość znajdowała się na okładce ostatniego wydania. Nagłówek wprost krzyczał: „Całując Jacka O’Shea piękna przyjaciółka gratuluje mu odznaczenia przyznanego przez Prezydenta”. Piękną przyjaciółką była moja żona Kathy. Nigdy nie wyglądała ładniej.

Wydostałem się z pomieszczenia Consies i rozpocząłem karierę w ich szeregach. Po trzech dniach coś zadziało – było wyraźnie widać niezadowolenie ze stołówkowego żarcia. Po tygodniu konsumenci mówili takie rzeczy:

– Cholernie chciałbym urodzić się sto lat temu... Cholernie chciałbym, żeby ta przeklęta sypialnia nie była tak zapchana... Chciałbym, jak nie wiem co, mieć własny skrawek ziemi, gdzie tam i pracować dla siebie.

W małej sali zapanowało podniecenie. Jasnym było, że w ciągu tygodnia zrobiłem więcej, niż oni przez cały rok. Bowen – pracował w kadrach – powiedział mi:

– Potrzebujemy takiej głowy jak twoja, Groby. Już nie będziesz pocił się przy zbieraniu piany z glonów... W ciągu kilku najbliższych dni kierownik robót zapyta cię, czy znasz się na chemii odżywczej. Powiesz mu „Tak”. Udzielę ci szybkiego wykładu ze wszystkiego, co powinieneś wiedzieć. Wydostaniemy cię z tego piekącego słońca.

Stało się tak jak powiedział. Tydzień później, gdy wszyscy powtarzali mniej więcej coś takiego: „Dobrze byłoby któregoś dnia przejść się po lesie. Czy wyobrażasz sobie drzewa, jak wysoko rosły kiedyś?” lub „Cholerne słonowodne mydło!” – a nigdy przedtem nawet nie myśleli, że mydło jest „słonowodne” – kierownik robót podszedł do mnie i tępo powiedział:

– Groby, czy znasz się trochę na chemii odżywczej?

– Dziwne, że pytasz – odpowiedziałem mu. – Trochę uczyłem się tego. Znam się na związkach siarkowych, fosforowych, węglowych, wodorowych i azotowych, niezbędnych dla Chlorelli, pamiętam optymalne temperatury i takie tam, podobne rzeczy.

Oczywiście ta odrobina wiedzy była i tak za duża jak na niego. Chrząknął: – Tak? – i odszedł zdziwiony.

Tydzień później wszyscy powtarzali świńskie kawały o truście Starrzeliusa Verily, a mnie przeniesiono do pracy wewnątrz pawilonu. Musiałem odczytywać wskazania mierników i odpowiednio nastawiać zawory kontrolujące przepływ odżywki do zbiorników Chlorelli. Praca była lżejsza i miałem więcej czasu wolnego, który spędzałem pod Chicken Little – przechodziłem pod nim z gwizdkiem Galtona już prawie nie czując strachu – przerabiając nedorzeczny Arkusz Kontaktowy Numer Jeden.

CZY JESTEŚ ZDOLNY DO AWANSU?

Ty i tylko ty możesz odpowiedzieć na to ważne pytanie:

Czy jesteś inteligentnym, patrzącym w przyszłość mężczyzną lub kobietą w wieku od 14 do 50 lat?

Czy masz ambicję i chęć podjęcia rzeczywiście wielkich zadań, które przyniesie nam

jutro?

Czy można ci zaufać – zaufać bezgranicznie – dzieląc się z tobą największymi, najbardziej obiecującymi wiadomościami naszych czasów?

Jeśli nie możesz powstać i krzyknąć TAK w odpowiedzi na każde z tych pytań, prosimy nie czytaj dalej. Ale jeśli potrafisz, to wówczas ty oraz twoi przyjaciele lub rodzina, możecie zostać wtajemniczeni w podstawy...

I tak dalej. Bowen był oszołomiony.

– Czy nie uważasz, że to odwołanie się do górnych wartości ilorazu inteligencji nie ogranicza ulotki za bardzo? – zapytał z niepokojem.

Nie powiedziałem mu, że jedyna różnica pomiędzy tym arkuszem, a standardowym wezwaniem dla robotników klasy 12 polegała na tym, że wezwanie było przygotowane ustnie – gdyż robotnicy klasy 12 nie umieli czytać. Powiedziałem, że tak nie uważam. Skinął głową.

– Jesteś urodzonym redaktorem i propagandzistą, Groby – powiedział z powagą. – w Ameryce konserwatystów należałbyś do pierwszej kategorii. – Udałem właściwą skromność, a on kontynuował: – Nie mogę podłożyć ci świni i podpiąć pod twoje dzieło. Muszę przekazać cię na wyższy szczebel. Już posłałem raport w twojej sprawie... – wskazał na komunikator – i sądzę, że będą cię potrzebowali. Tylko taka droga jest właściwa. Nie chciałbym, żebyś stąd odszedł. Tym niemniej pociągnąłem już za sznurki. Oto „Podręcznik nabywcy Chlorelli”...

Serce mi załomotało. Wiedziałem, że Chlorella kontraktowała surowce na kilku giełdach w Nowym Jorku.

– Dzięki – mruknąłem. – Chcę służyć tam, gdzie przydam się najbardziej.

– Wiem o tym, Groby – schlebił mi. – Och... powiedz jeszcze jedno zanim odejdziesz. To nie urzędowe pisma, George, ale... no wiesz, trochę piszę w wolnych chwilach. Mam tu z sobą trochę moich kawałków – skecze. Może rzucisz na nie okiem i byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś je z sobą wziął i... – końcu wyszedłem z podręcznikiem i czternastoma „skeczami” Bowena. Były to prostackie kawały bez żadnego przesłania. Bowen zapewnił mnie, że ma ich znacznie więcej, i że on i ja moglibyśmy nad tym popracować.

Przestudiowałem dokładnie ten podręcznik.

Pracując przy zaworach byłem pod koniec dnia znacznie mniej zmęczony niż przy zbieraniu piany, a Bowen dbał, by moja praca na rzecz Consies była możliwie jak najlżejsza – abym mógł spokojnie zająć się jego skeczami. Wynik tej manipulacji był taki, że po raz pierwszy miałem wolny czas i mogłem rozpoznać moje środowisko. Pewnego razu Herrera zabrał mnie ze sobą do miasta i dowiedziałem się, co robił podczas swych tajemniczych wypadów w weekendy. Zaszokowało mnie to, ale nie zdegustowało. Bynajmniej, przypomniało mi, że dystansu między kierownikiem a konsumentem nie da się zapełnić

czymś tak abstrakcyjnym i nierealnym jak „przyjaźń”.

Wyszliśmy ze staromodnego pneumatycznego metra na mglistą kostarykańską mżawkę i skierowaliśmy swe pierwsze kroki do trzeciorzędnej restauracji na posiłek. Herrera nalegał na to, by każdemu z nas dano ziemniaka i żebym pozwolił mu za to zapłacić.

– Nie, Jorge, wy nazywacie to uroczystością. Ty pozwoliłeś mi żyć dalej po tym, jak dałem ci arkusz kontaktowy, no nie? Tak więc świętujemy dzisiaj.

Herrera był nie do poznania podczas posiłku, tryskał dowcipem w dwujęzycznych przekomarzaniach ze mną i kelnerami. Iskry w jego oczach, gwałtowny strumień słów, wesoły śmiech kojarzyły się z radością młodego człowieka na pierwszej randce.

Młody człowiek na randce. Pamiętam moje pierwsze spotkanie z Kathy, długie popołudnie w Central Parku, wędrowkę ręka w rękę wzdłuż słabo oświetlonych korytarzy, salę tańców, cudowną godzinę, kiedy staliśmy przed jej drzwiami...

Herrera podniósł rękę i poklepał mnie po ramieniu, a ja spostrzegłem, że on i kelner śmieją się. Zaśmiałem się także, defensywnie, a oni zaczęli się śmiać jeszcze bardziej; najwidoczniej żart dotyczył mojej osoby.

– Nie przejmuj się, Jorge – powiedział Herrera opanowując się – idziemy już. Spodoba ci się to, co przygotowałem dla nas.

Zapłacił rachunek, a kelner podniósł brew.

– Zaplecze?

– Zaplecze – powiedział Herrera. – Chodź, Jorge.

Kelner poprowadził nas między kontuarami. Otworzył drzwi i coś szybko powiedział po hiszpańsku do Herrery.

– Och, nie martw się – odpowiedział mu ten. – Nie będziemy tu długo.

Zaplecze okazało się być... biblioteką.

Byłem świadom oczu Herrery spoczywających na mnie, ale nie sądzę, bym pokazał co czuję. Zostałem z nim tam mniej więcej przez godzinę. Podczas, gdy on pożerał wytarty egzemplarz czegoś zwanego „Moby Dick”, ja przejrzałem z pół tuzina starych czasopism. Niektóre z nich, przypominające klasykę, ulżyły memu sumieniu. Było tam wczesne wydanie „Czy robimy pospolite błędy w angielskim?” i doskonałe „Nikt nie kaszle w ciężarówce”. Wyglądałyby dobrze nawet na ścianie mojego biura w wieżowcu Schockena. Ale nie mogłem zrelaksować się w obecności tylu książek, z których żadna nie zawierała nawet jednego słowa reklamy. Nie jestem pruderyjny, jeśli chodzi o nietypowe przyjemności służące użytecznemu celowi, ale moja tolerancja ma granice.

Przypuszczam, że Herrera domyślał się, że skłamałem mówiąc, że boli mnie głowa. Znacznie później, gdy przypadkowo zaszedł do sypialni, odwróciłem głowę. Chyba już potem nie mieliśmy okazji rozmawiać ze sobą.

Tydzień później, po tym jak w stołówce o mały włos nie wybuchła rozróżba wywołana pogłoskami, że naleśniki drożdżowe sfalszowano trocinami – zostałem wezwany do

głównego biura.

Szef kadr przyjął mnie po godzinnym oczekiwaniu.

– Groby?

– Tak, panie Milo.

– Dokonał pan ostatnio znacznego postępu. Całkiem znacznego. Widzę, że pańskie notowania idą w górę.

To była robota Bowena, który sporządzał notatki. Jemu samemu dochrapanie się do obecnego stanowiska zajęło pięć lat.

– Dziękuję panu, panie Milo.

– Proszę bardzo. My, tego, akurat niedługo będziemy mieli wakat. Jeden z naszych ludzi na Północy nie nadąża, jak widzę robota mu zupełnie nie idzie.

To nie praca tamtego była zła – to był cień na dokumentach jej dotyczących, cień ostrożnie kreślony i prefabrykowany przez Bowena. Zacząłem doceniać niepomiarne siłę, jaką Consies mogli dysponować.

– Czy przypadkiem nie jest pan zainteresowany zagadnieniami kupowania, panie Groby!

– To dziwne, że pan pyta, panie Milo – powiedziałem gładko. – Zawsze miałem skłonności do tego. Myślę, że będę w tym dobry.

Spojrzał na mnie sceptycznie; była to bowiem całkiem standardowa odpowiedź. Zaczął zadawać pytania, a ja z całą powagą odwzajemniałem się odpowiedziami z podręcznika Chlorelli. On pamiętał go sprzed jakichś dwudziestu lat, a ja zaledwie sprzed miesiąca. Nie był dla mnie żadnym partnerem. Po godzinie był przekonany, że George Groby był jedyną nadzieją Chlorella Proteins, i że powinien być natychmiast rzucony w powstały wylom.

Tego wieczoru powiedziałem o tym mojej komórce Consies.

– To oznacza Nowy Jork – powiedział autorytatywnie Bowen. – Z pewnością Nowy Jork.

Nie mogłem się powstrzymać od głębokiego westchnienia. Kathy, pomyślałem. On zaś ciągnął nie zważając na mnie.

– Muszę ci teraz przekazać coś specjalnego. Na początek – sygnały rozpoznawcze.

Nauczyłem się tych sygnałów. Na małą odległość były to sygnały ręką. Na średnią – specjalne zawołanie. Na dużą – kod gazetowy; całkiem niezły. Ćwiczyliśmy to wszystko do wczesnych godzin porannych. Kiedy wychodziliśmy przez Chicken Little, zdałem sobie sprawę, że przez cały dzień nie widziałem Herrery. Po wyjściu zapytałem się, co się z nim stało.

– Załamał się – powiedział Bowen lakonicznie.

Nic nie odpowiedziałem. Było to coś w rodzaju stenograficznej mowy Consies. „Takitoataki załamał się”, co oznaczało: „takitoataki pracował całymi latami w pocie czoła dla sprawy SSK. Oddawał im wszystkie uciulane z trudem grosze, rezygnował z tych kilku przyjemności, które mógł sobie za nie kupić. Nie ożenił się i nie spał z kobietami, ponieważ wystawiało go to na niebezpieczeństwo. Opanowywały go wątpliwości, ale skrywał je tak

silnie, że nie dopuszczał ich do siebie ani do nas. Wątpliwości powoli brały jednak górę. Był rozdarty na zbyt wiele sposobów, rozklejał się i umierał”.

– Herrera załamał się – powtórzyłem głupio.

– Nie myśl o tym – powiedział Bowen oschle. – Jedziesz na Północ, masz tam zadanie do wykonania.

Rzeczywiście miałem.

Rozdział 10

Przejazd do Nowego Jorku był niemal moim triumfem. Leciałem ubrany w tani biurowy garnitur, czwartą klasą turystycznej rakiety, nade mną szacowni konsumenci z Kostaryki co rusz wydawali okrzyki zachwytu podziwiając przez pryzmatyczne okna widoki lub też z niepokojem liczyli swoje grosze, zastanawiając się, na jakie przyjemności będą mogli sobie za nie pozwolić.

Pod ich pokładem znajdowaliśmy się my, nędzna, wytrzymała zgraja, ale nie był to statek towarowy do przewozu robotników. Nie mieliśmy okien, za to posiadaliśmy oświetlenie, wiadra i automaty sprzedające. Przed wejściem na pokład jakiś człowiek z ochrony Chlorelli wygłosił do nas krótką mowę pożegnalną.

– Wy, mięczaki, jedziecie na Północ, poza kostarykańską jurysdykcję. Jedziecie do lepszej pracy. Ale nie zapominajcie, że to jest praca. Chcę, żeby każdy z was zapamiętał, że należycie do Chlorelli, i że kompania ma prawo żądać was jako zastawu. Jeżeli ktokolwiek z was sądzi, że może zerwać swój kontrakt, to zaraz się o tym dowiemy i doprowadzimy do ekstradycji za przestępstwa gospodarcze. A jeżeli ktokolwiek sądzi, że może po prostu zniknąć, to niech spróbuje. Chlorella płaci Agencji Detektywistycznej Burnsa siedem miliardów rocznie. Burns wywiązuje się z umów. Jeżeli chcecie nam dostarczyć łatwych ćwiczeń, spróbujcie; będziemy na was czekać. Czy wszystko jest jasne? – Wszystko było jasne. – No dobrze, wchodźcie na pokład i powodzenia, oto wasze przydziałowe bilety. Pozdrówcie ode mnie Broadway.

Wylądowaliśmy w Montauk bez przygód. Siedzieliśmy na dole, czekając aż konsumenci z pokładu turystycznego wytoczą się taszcząc swoje bagaże. Czekaliśmy, podczas gdy inspektorzy Nadzoru Żywności klócili się zawzięcie z naszymi stewardami o nadliczbowe racje. Czterech z nas zmarło w czasie podróży, a należne im kotlety z Chicken Little zostały skrzętnie schowane. A my cierpliwie czekaliśmy na swoją kolej.

Wreszcie przyszło polecenie, aby wychodzić pięćdziesiątkami. Ustawiliśmy się w szeregu

i na naszych nadgarstkach odbito stempel wizy wjazdowej, poszliśmy oddziałami do metra, gdzie wsiedliśmy do pociągu jadącego w kierunku miasta. Miałem nieco szczęścia, bo mojej grupie przypadł przedział ładunkowy.

Na Giełdzie Pracy przegrupowano nas i przydzielano do odpowiednich robót. Najedliśmy się trochę strachu, gdy wyszło na jaw, że Chlorella sprzedała kontrakty dwudziestu z nas dla I.G. Farben – nikt nie chce pracować w kopalniach uranu – ale ja się nie martwiłem. Mężczyzna stojący obok mnie spoglądał ponuro, gdy strażnicy oddzielali nieszczęsną dwudziestkę i pognali ich przed sobą.

– Traktują nas jak niewolników – powiedział gorzko szarpiąc mnie za rękaw. – To zbrodnia. Czy nie uważasz, Mac? Naruszają godność pracownika.

Rzuciłem mu złe spojrzenie. Mężczyzna był Consie, czystym i prostym. Przypomniałem sobie wówczas, że też byłem Consie, przynajmniej chwilowo. Rozważyłem możliwość schwycenia go za rękę, ale zdecydowałem się tego nie robić. Mógłby się jeszcze przydać, gdybym potrzebował pomocy, a gdybym ujawnił się przedwcześnie mógłby mnie sypnąć.

Poszliśmy do obozu Chlorelli na przedmieściu Nyack.

Pod Nowym Jorkiem, jak pod każdym miastem na świecie, system kanałów prowadził do szeregu basenów osadowych i syfonów. Wiedziałem, tak jak każdy mieszkaniec miasta, że organiczne odpadki dwudziestotrymilionowego miasta odprowadzano ukrytymi przewodami miejskich kanałów ściekowych. Sole były usuwane przez wymianę jonów, a pozostała ciecz pompowana do farm wodorostów w Cieśninie Long Island, zaś szlam do barek wysyłanych do Chlorelli. – Wszystko to wiedziałem, ale nigdy nie widziałem tego na własne oczy.

Otrzymałem posadzę specjalisty d/s zaopatrzenia, z klasą 9. Moja praca polegała na przełączaniu giętkich węży podających szlam. Po pierwszym dniu wydałem tygodniowy zarobek na zatyczkowy ekstraktor sadzowy do moich nozdrzy, który nie filtrował co prawda całego odoru, ale można było z nim jakoś żyć.

Trzeciego dnia zszedłem ze zmiany i rzuciłem się do pryszniców. Wykombinowałem to sobie zawczasu: po sześciu godzinach pracy przy zbiornikach, gdzie ze względu na gryzący smród nie miało sensu instalowanie automatów sprzedających cokolwiek do picia, jedzenia i palenia, powstrzymywane pragnienie załogi trzymało ją przez pół godziny po pracy w cyklu Popsie-CrunchiesStarry, nim ktokolwiek pomyślał pierwszy o prysznicu. Tłumiąc pragnienie, słabsze u mnie niż u większości innych (moje uzależnienie było świeżej daty), zdołałem wziąć prysznic prawie sam. Kiedy zjawił się tłum, ja waliłem do automatów sprzedających. To było prosty przykład posłużenia się inteligencją i jeżeli nie potwierdza to zasadniczej różnicy między mentalnością konsumenta, a redaktora, to cóż może ją potwierdzić? Oczywiście, jak już powiedziałem, moje nawyki nie były tak silne.

Pod prysznicami był jeszcze jeden człowiek, lecz było na tyle wolnego miejsca, że prawie w ogóle się nie dotykaliśmy się. Kiedy wszedłem podał mi mydło; namydliłem się i

spłukałem wodą pod pełnym ciśnieniem recykulatorów. Ledwie zdawałem sobie sprawę, że był tam jeszcze, a kiedy oddawałem mu mydło, poczułem jak jego trzeci palec dotknął mojego nadgarstka, a palec wskazujący zatoczył kółko wokół nasady mojego kciuka.

– Och – posiedziałem głupio i odwzajemniłem się uściskiem dłoni. – Czy jesteś moim łącz...

– Ciii – syknął. Gniewnym ruchem wskazał mikrofon podsłuchu zwisający z sufitu, a należący do ochrony. Odwrócił się do mnie plecami i skrupulatnie namydlił się jeszcze raz.

Do mydła, które mi podał był przyklejony kawałek folii. W szatni wysuszyłem ją i rozprostowałem. Było tam napisane polecenie: „Dziś jest wieczór przepustek. Idź do Metropolitan Museum of Arts, Sala Klasyki. Czeka przed rzeźbą Dziewicy, dokładnie pięć minut przed zamknięciem.

Wkrótce potem stałem w kolejce do biurka nadzorcy. Po mniej niż pół godzinie miałem podstemplowaną przepustkę zwalniającą mnie od przebywania w łóżku podczas wieczornej kontroli. Wróciłem do koi, zebrałem swoje manatki ostrzegając nowego lokatora przed nocnymi rozmowami z facetem z góry, zostawiłem swój worek w przechowalni i wskoczyłem do pociągu do Bronxville. Przesiadłem się do lokalnej linii północnej, przejechałem jeden przystanek, przesiadłem się ponownie na linię południową i wysiadłem przy wieżowcu Zrzeszenia Schockena. Nie miałem wrażenia, by mnie ktoś śledził. Co prawda nie spodziewałem się tego, ale nigdy nie można ryzykować.

Do randki z Consie w Metropolitan miałem jeszcze cztery godziny. Stałem rozglądając się po westybulu, aż jakiś gliniarz pogardliwie przyglądając się mojemu taniemu ubraniu ruszył w moją stronę. Miałem nadzieję, że Hester, albo nawet sam Fowler Schocken przejdą tamtędy, lecz niestety. Widziałem wiele twarzy, które rozpoznałem, ale byłem pewien, że nikomu nie mógłbym zaufać. Poza tym, dopóki się nie dowiem co kryło się za tą aferą na Lodowcu Starrzeliusa, nie miałem zamiaru ujawniać, że nadal żyję.

Gliniarz zagrzmiął.

– Chcesz przekazać coś ludziom Schockena, co mały? Pewnie masz do nich wiele spraw, co?

– Przepraszam – powiedziałem i skierowałem się do drzwi wyjściowych. Nie sądziłem, by się fatygował i szedł za mną przez tłum w westybulu i nie pomyliłem się. Zatoczyłem łuk w sali rekreacyjnej, gdzie grupa konsumentów oglądała na ekranie lekką historyjkę miłosną PregNot i zapijała się darmowymi próbkami Coffiest, i dałem nura do windy służbowej.

– Osiemdziesiąte – powiedziałem do operatora i natychmiast zdałem sobie sprawę, że popełniłem błąd. Operator odezwał się ostrym głosem zza kratki głośnika.

– Windy służbowe jeżdżą tylko do siedemdziesiątego piętra, a ty znajdujesz się w wagonie piątym. Czego chcesz?

– Posłaniec – skłamałem. – Muszę coś odebrać z biura pana Schockena. Bezpośrednio – takiego faceta jak ja tam nie wpuszczają. Zaległa cisza, którą przerwałem proszącym głosem:

– Słuchajcie, on prawdopodobnie ma dwadzieścia pięć sekretarek, przez które muszę się przedrzeć, zanim pozwolą mi go zobaczyć. Zróbcie dla mnie wyjątek...

– Pokój pocztowy jest na czterdziestym piątym – powiedział operator, o ton łagodniej. – Stań naprzeciwko drzwi, tak bym miał na ciebie oko.

Przesunąłem się w pole widzenia kamery. Nie chciałem tego, lecz nie widziałem innej możliwości, aby wydostać się stąd. Pomyślałem, że kiedyś słyszałem głos zza kratki, lecz nie mogłem tego sprawdzić. Nigdy nie byłem w pokoju operatorów wind, tysiąc stóp pode mną, a oddałbym roczne pobory za możliwość zajrzenia tam wówczas...

Stałem bez ruchu przez pół minuty. Głos operatora zabrzmiał wreszcie z rezerwą:

– W porządku koleś. Wróć do kabiny. Czterdzieste piąte piętro, pierwszy korytarz w lewo.

Podczas jazdy moi współpasażerowie przyglądali mi się nieciekawymi, zamroczonymi przez alkaloidy Coffiestu spojrzeniami. Wszedłem do skracającego w lewo korytarza, minąłem drzwi oznaczone tabliczką „Sala Pocztowa” idąc dalej do połączenia korytarzy. Dobrze się złożyło, bo szukając klatki schodowej, miałem trochę czasu na rozluźnienie się. Nie śmiałem już korzystać z windy. Czy kiedykolwiek wchodziliście trzydzieści pięć pięter po schodach?

Pod sam koniec wchodzenia całkiem opadłem z sił. To nie chodziło o to, że wszystko mnie bolało od czubków palców u nóg do pępka, ani o to, że traciłem czas, którego nie miałem zbyt dużo. Zbliżała się godzina dziesiąta, a konsumenci, których kwatery mieszkaniowe znajdowały się na schodach, zaczęli ściągać tam na noc.

Uważałem jak mogłem, ale omal nie doszło do bójki na siedemdziesiątym czwartym, gdzie mężczyzna na trzecim stopniu miał nogi dłuższe niż myślałem.

Na szczycie, powyżej siedemdziesiątego ósmego nie było już noclegowni, to była kraina kierownictwa. Przemykałem cicho korytarzami, świadom faktu, że pierwsza osoba, która zwróci na mnie uwagę, albo mnie rozpozna albo wyrzuci na zewnątrz. Na korytarzach kręcili się tylko urzędnicy, lecz żadnego z nich nie znałem na tyle dobrze, by mnie rozpoznali, więc szczęście wciąż mi dopisywało. Niestety, nie do końca. Biuro Fowlera Schockena zastałem zamknięte.

Dałem nura do biura jego sekretarki, które też było już wyludnione i zacząłem myśleć. Fowler po pracy zazwyczaj grywał w golfa w wiejskim klubie. Było już zbyt późno na to, żeby go tam jeszcze zastać, ale pomyślałem, że mógłbym spróbować – od klubu dzieliły mnie tylko cztery piętra.

W końcu dotarłem na miejsce. Klub był pięknym terenem, bo wszystkie znajdujące się w nim urządzenia były wręcz wspaniałe. Oprócz pola golfowego znajdował się tam kort tenisowy. Całą północną część sali zajmował hologram – więcej niż tuzin pięknych drzew – poza tym co najmniej dwadzieścia kabin rekreacyjnych do czytania, oglądania filmów lub innych widowisk.

W golfa grała mieszana czwórka; zbliżyłem się do ich foteli tak dyskretnie, jak tylko było to możliwe. Byli bardzo pochłonięci grą, prowadząc swych graczy do dwunastego dołka. Z liczników odczytałem ich wyniki. Wszystkie były grubo powyżej dziewięćdziesięciu. Szachraje. Średnia Fowlera Schockena była poniżej osiemdziesięciu. Nie mogłem grać w tej grupie, a gdy podszedłem bliżej upewniłem się, że dwaj mężczyźni byli mi obcy.

Zawahałem się, zanim zacząłem się wycofywać. Schockena nigdzie nie było widać. Być może siedział w jednej z kabin rekreacyjnych, ale przecież nie mogłem wszystkich otworzyć, bo zostałbym natychmiast wyrzucony, gdybym wtargnął do zajętej. Chyba, że Bóg by się do mnie uśmiechnął i była zajęta właśnie przez Fowlera.

Dobiegł mnie szmer rozmowy prowadzonej przez graczy w golfa. Jedna z dziewcząt właśnie wprowadziła czterocalowym strzałem piłkę do dołka. Pozostali prawili jej komplementy, a ona śmiejąc się radośnie wychyliła się do przodu, by pociągnąć za dźwignię prowadzącą hologram terenu do podwyższenia na piasku, z którego uderzało się do trzynastego dołka. Mignęła mi jej twarz. To była Hester, moja sekretarka.

To ułatwiło sprawę. Nie mogłem zrozumieć co spowodowało, że Hester wyłądownała w klubie, ale wiedziałem wszystko co jej dotyczyło. Wycofałem się do altanki w pobliżu wejścia do pokoju dla pań. Czekałem na nią tylko dziesięć minut.

Zemdlała, oczywiście. Zakląłem i zaniósłem ją do altanki. Była tam kanapa, na którą ją położyłem. Były też drzwi, więc je zamknąłem. Spojrzała na mnie, gdy się ocknęła.

– Mitch – wykrztusiła, ni to szeptem, ni piskiem.

– Nie umarłem, żyję – uspokoilem ją. – Ktoś inny zginął, a oni podmienili ciała. Nie wiem, kim są „oni”, ale nie zginąłem. Tak, to naprawdę ja. Mitch Courtenay, twój szef. Mogę to udowodnić. Na przykład, pamiętasz zeszłoroczne przyjęcie bożonarodzeniowe, kiedy tak się martwiłaś...

– Nieważne – powiedziała szybko. – Mój Boże, Mitch, to znaczy panie Courtenay...

– Mitch brzmi dobrze – powiedziałem. Puściłem rękę, którą masowałem, a ona podniosła się, by przyjrzeć mi się lepiej.

– Słuchaj – powiedziałem. – Żyję, nic mi nie jest, ale zostałem wciągnięty w bardzo dziwną historię. Muszę się skontaktować z Fowlerem Schockenem. Czy możesz to zorganizować – zaraz?

– Och – przełknęła i sięgnęła po papierosa, powoli wracając do siebie. Automatycznie wyjąłem Starra.

– Nie, Mitch. Pan Schocken jest na Księżycu. To wielka tajemnica, ale sądzę, że tobie mogę ją zdradzić. Ma to jakiś związek z projektem Wenus. Po tym jak zostałeś zabity – to znaczy, wiesz co mam na myśli – a więc po tym, gdy postawił on pana Runsteda na czele projektu, a ten zaczął się obsuwać, zdecydował się przejąć sprawy w swoje ręce. Dałam mu wszystkie twoje notatki. Jedna z nich mówiła coś o Księżycu, jak sądzę, tak czy siak poleciał tam kilka dni temu.

– Do diabła – powiedziałem. – No dobrze, kogo zrobił swoim zastępcą tutaj? Harveya Brunera? Czy możesz go złapać...

Hester potrząsnęła głową przecząco.

– Nie, nie pana Brunera, Mitch. Zastępcą jest pan Runsted. Pan Schocken zwinął się w takim pośpiechu, że nie znaleziono nikogo wolnego do przejęcia po nim kierownictwa, za wyjątkiem pana Runsteda. Ale mogę zaraz do niego zadzwonić.

– Nie – powiedziałem. Spojrzałem na mój zegarek i jęknąłem. Akurat nadchodziła pora, gdy powinienem związać się do Met.

– Słuchaj Hester – powiedziałem. – Muszę już iść. Nikomu nic nie mów, dobrze? Wyjaśnię coś i skontaktuję się z tobą. Gdy zadzwonię do ciebie, powiem, że jestem – jak się nazywa lekarz twojej matki? – dr Gallant. Ustalę termin spotkania z tobą i powiem ci co zrobimy. Mogę na ciebie liczyć, Hester, prawda?

– Oczywiście, Mitch – powiedziała wstrzymując oddech.

– Świetnie – powiedziałem. – A teraz musisz odwieźć mnie na dół windą. Nie mam czasu na schodzenie, a mogłyby być kłopoty, jeżeli takiego faceta jak ja złapią na piętrze klubowym. – Przerwałam i przyjrzałem się jej uważnie. – A tak między nami – powiedziałem – co na Boga, robisz tutaj?

Hester splonęła się.

– Och, wiesz jak to jest – powiedziała zmartwiona. – Po tym jak odszedłeś nie było już więcej pracy w sekretariacie. Pozostali z kierownictwa mieli już swoje dziewczyny, a ja nie mogłam znowu stać się konsumentem, Mitch, nie przy tych rachunkach i w ogóle. No więc, gdy była ta inauguracja na górze, wiesz...

– Och – powiedziałem. Miałem nadzieję, że moja twarz nic nie wyrażała, Bóg świadkiem, że próbowałem. Niech diabli wezmą Runsteda, powiedziałem do siebie, myśląc o matce Hester i o mężczyźnie, którego być może poślubi, i o śmierdzącej niesprawiedliwości faceta takiego jak Runsted, mającego prawo za nic, przekreślającego karierę pracowników i kierownictwa, takim ludziom jak ja, czy Hester, i ściągającego ich do poziomu konsumentów.

– Nie martw się Hester – powiedziałem delikatnie. – Będę ci coś za to winien. I uwierz mi, że nie będziesz musiała mi nic przypominać. Wszystko ci załatwię. – I wiedziałem już jak to zrobić. Sporej grupie dziewcząt na kontraktach udaje się uniknąć degradacji i automatycznej wymiany personelu. Wykupienie jej kontraktu przed upływem roku będzie mnie wiele kosztowało, nie miałem żadnych wątpliwości. Niektóre z dziewcząt radzą sobie zupełnie nieźle z pojedynczymi szefami po upływie roku. A ja byłem na tyle ważny, że jeżeli zasugerowałbym Hester kierownikowi jakiegoś wydziału lub szefowi biura, to na pewno nie zignorowałyby tego, ani tym bardziej nie traktował jej źle.

Nie aprobuję sentymentów w sprawach biurowych, ale jak widać jestem absolutnym mięczakiem, gdy w grę wchodzi związek osobiste.

Hester nalegała, by mi pożyczyć trochę pieniędzy, tak więc oszczędzając czas pojechałem

do muzeum taksówką. Chociaż zapłaciłem kierowcy z góry, nie mógł się powstrzymać od robienia przykrych uwag o rozrzutnych konsumentach mojego pokroju. Gdybym nie miał głowy zaprzątniętej ważniejszymi sprawami, dałbym mu nauczkę.

Zawsze miałem słabość do Metropolitan. Nie kieruję się uczuciami religijnymi – przypuszczam, że po części dzieje się to za sprawą Tauntona – ale wokół wielkich, starych dzieł sztuki, panuje specyficzna atmosfera, przesycona poczuciem spokoju i dostojności. Przyjechałem na miejsce trochę za wcześnie, więcostałem w skupieniu przed popiersiem George’a Washingtona Hilla. Poczulem się odprężony. Tak jak nigdy od pamiętnego popołudnia na Biegu Południowym.

Dokładnie pięć minut przed północą stałem przed dużym posągim Dziewicy – numer trzydziesty piąty z katalogu: „Śniło mi się, że zimą łowiłem ryby w ramionach mojej dziewczyny”, gdy do mojej świadomości dotarło, że ktoś gwizdże w korytarzu za mną. Tony nie przypominały żadnej znanej mi melodii, lecz rytm układał się w jeden z sygnałów rozpoznawczych, których uczyłem się w skrytce pod Chicken Little.

Jedna ze strażniczek powoli oddalała się. Obejrzała się na mnie przez ramię i uśmiechnęła się.

Z boku mogło to wyglądać na przypadkowy podryw. Zetknęliśmy się ramionami, poczułem ucisk jej palców na mój nadgarstek; nadała znanym mi kodem:

- N - i - c n - i - e m - ó - w , k - i - e - d - y o - d - e - j - d - ę i - d - ż n - a k - o - n - i - e - c s - a - l - i i c - z - e - k - a - j .

Skinałem głowę, że zrozumiałem. Zaprowadziła mnie do drzwi pokrytych plastykiem, otworzyła je i gestem zaprosiła do środka. Wszedłem sam.

Siedziało tam na krzesłach o prostych oparciach dziesięciu lub piętnastu konsumentów, zwróconych twarzami w kierunku ozdobionego nauczycielską kozią bródką konsumenta w podeszłym wieku. Znalazłem wolne krzesło w tylnej części pokoju i usiadłem na nim. Nikt nie zwrócił na mnie szczególnej uwagi.

Wykładowca mówił o bolączkach jakiegoś szczególnie nudnego okresu przedkomercyjnego. Słuchałem jednym uchem, próbując wyłapać jakąś wspólną cechę wśród otaczających mnie typów, wszyscy byli Consies, byłem tego w zasadzie pewien – w przeciwnym przypadku dla czegoż by siedzieli tutaj. Ale podstawowe piętno, zewnętrzny rys fanatycznego skrytego wnętrza, który powinien być widoczny gołym okiem, umykał mi. Wszyscy byli konsumentami o wynędzniałym wyglądzie, jaki nieuchronnie dają im sojaburgery oraz Yeasties. Mijałbym ich codziennie na ulicy nie oglądając się za nimi. A przecież to był Nowy Jork, o którym Bowen mówił tak, jakby Consies, których miałem tu spotkać byli Trockimi i Painami tego ruchu.

Ale były też pewne korzyści płynące z zaistniałej sytuacji. Kiedy już wydostanę się z tego bagna – kiedy dotrę do Fowlera Schockena i wyjaśnię mu swoje położenie – będę w stanie, bez specjalnego wysiłku, rozbić tę zafajdaną konspirację. Rozejrzałem się dyskretnie po

ludziach w sali, starając się zapamiętać ich cechy charakterystyczne. Nie chciałym, gdy ponowię się spotkamy, nie moc ich rozpoznać.

Nagle zadziałał jakiś sygnał, na który nie zwróciłem uwagi. Wykładowca przerwał w pół zdania, a z pierwszego rzędu podniósł się pulchny człowieczek z kozią bródką.

– W porządku – powiedział zwykłym głosem – jesteście tu już wszyscy i nie ma sensu tracić więcej czasu. Jesteście przeciwni marnotrawstwu – oto dlaczego tu jesteście. – Przerwał usłyszawszy chichot. – Żadnego hałasu – ostrzegł – i żadnych nazwisk. Dla potrzeb tego zebrania będziemy używać numerów; możecie nazywać mnie „Jedynką”, ty będziesz „Dwójką” – wskazał mężczyznę na sąsiednim krześle – i tak dalej rzędami do końca sali. Wszystko jasne? To dobrze, a teraz słuchajcie uważnie. Zebraliśmy was razem, bo wszyscy jesteście tu nowi. Należycie teraz do wielkiej ligi. Tu znajduje się centrum światowego systemu dowodzenia, właśnie tu, w Nowym Jorku nie można zejść wyżej. Każdy z was został wybrany ze względu na specjalne przymioty – sami wiecie jakie. Dostaniecie przydziały, tu i teraz. Ale przedtem chciałym podkreślić jedną rzecz. Nie znacie mnie i ja was nie znam, każdy z was ma za sobą długotrwałe szkolenie w podstawowej komórce, ale czasami ludzie działający w SSK są nieco zbyt entuzjastyczni. Jeśli ci, co was wybrali pomylili się... Chyba domyślacie się, o czym myślę?

Wszyscy skinęli głowami. Ja również skinęłym, ale skierowałym całą uwagę na zapamiętanie tej pulchnej małej koziej bródkki. Wywoływano numer po numerze i nowicjusze wstawali jeden po drugim, krótko rozmawiali z kozią bródką i wychodzili parami lub trójkami, kierując się w stronę nieznanych innym punktów przeznaczenia. Byłym prawie ostatni w kolejce, obok mnie w sali znajdowała się jeszcze bardzo młoda dziewczyna z pomarańczowymi włosami i lekkim zezem.

– Okay, wasza dwójka – powiedział człowiek z kozią bródką. – Ponieważ będziecie drużyną, tak więc możecie poznać swoje nazwiska. Groby, to jest Corvin. Groby jest czymś w rodzaju redaktora, Celia jest artystką.

– Okay – powiedziała, przypalając Starra od niedopałka poprzedniego. Doskonały typ konsumenta, gdyby tylko nie była zepsuta przez tych hipokrytów. Zauważyłym, że jej szczęki żuły gumę nawet podczas palenia.

– Damy sobie świetnie radę – powiedziałem aprobująco.

– Z pewnością – odrzekł człowiek z kozią bródką. – Musicie. Rozumiesz to, Groby. Po to, aby dać ci szansę, musimy pozwolić ci zapoznać się z mnóstwem materiałów, których nie chcemy potem przeczytać w porannej gazecie. Jeśli nie będziesz z nami współpracował, Groby – powiedział uprzejmie – a wiesz w jakich jesteście tarapatach, będziemy musieli zorganizować dla ciebie coś innego. Zastukał o blat biurka małą buteleczką z bezbarwnym płynem. Słaby stukot aluminiowej zakrętki był głośniejszy od mojego głosu, kiedy odpowiedziałem słabym głosem:

– Tak, proszę pana. – gdyż domyślałym się, co mogło znajdować się w małych

buteleczkach z bezbarwnym płynem.

Jednakowoż, okazało się, że nie było to wielkim problemem. Spędziłem trzy ciężkie godziny w małej salce, zanim zwróciłem im uwagę, że jeżeli nie wrócę do baraków, to spóźnię się na poranny sygnał do pracy, za co będę musiał odpowiedzieć. Dopiero wtedy mnie zwolnili.

Jednakże nie stawiłem się na zbiórkę przed pracą. Wyszedłem z muzeum prosto na wspaniały wiosenny poranek, pomimo wszystko zadowolony z życia. Jakaś postać wynurzyła się ze smogu i zajrzała mi prosto w twarz. Rozpoznałem wykrzywioną szyderczo facjatę kierowcy taksówki, którą przyjechałem do muzeum. Powiedział wesoło:

– Hello, panie Courtenay. – Po czym obelisk sprzed muzeum, lub coś równie wielkiego, trzasnęło mnie w kark.

Rozdział 11

– ...obudzi się za kilka minut – usłyszałem czyjś głos.

– Czy już dojrzał do Hedy?

– Na miłość boską, nie.

– Tak tylko spytałem.

– Powinieneś lepiej wiedzieć. Najpierw dajesz im amfetaminę, plazmę, a może nawet kwas nikotynowy. Dopiero wtedy są gotowi dla Hedy. Ona nie lubi, kiedy się coś przekręca.

– Rozległ się nerwowy, przesywający dreszczem śmiech.

Otworzyłem oczy i powiedziałem słabym głosem:

– Dzięki Bogu – bo to, co zobaczyłem, było pomarszczonym szarym sufitem w takim odcieniu, jaki można znaleźć jedynie w sali firmy parającej się reklamą. Byłem bezpieczny w Zrzeszeniu Fowlera Schockena, ale czy aby na pewno? Nie rozpoznałem twarzy, która pochyliła się nade mną.

– Z czego jesteś taki zadowolony, Courtenay? – zapytała twarz. – Czy nie wiesz gdzie jesteś?

Po tym nietrudno już było zgadnąć.

– U Tauntona – wykrztusiłem.

– No, właśnie.

Chciałem poruszyć rękami i nogami, lecz zdałem sobie sprawę, że nie reagują. Nie wiedziałem czy to za sprawą narkotyków, czy plastikowego kokonu.

– Posłuchajcie – powiedziałem z naciskiem. – Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę z

tego, co robicie. Radzę wam przestać. Przecież to jest porwanie w celach gospodarczych. Albo mnie wypuścicie, albo zabijecie. Jeżeli zabijecie bez uprzedzenia, to zostaniecie umyślowo okaleczeni, tak więc oczywiście mnie nie zabijecie. W końcu będziecie musieli puścić mnie wolno, tak więc radzę wam zrobić to teraz.

– Zabić ciebie, Courtenay? – powiedziała twarz udając zdziwienie. – Jak byśmy mieli to zrobić? Przecież ty już nie żyjesz. Wszyscy o tym wiedzą. Zginąłeś na Lodowcu Starrzeliusa, nie pamiętasz?

Znowu zacząłem się szarpać, bez rezultatu.

– Dobiorą się do waszych mózgow – powiedziałem. – Ludzie, czyście powariowali? Chcecie, by dobrali się do waszych mózgow?

Twarcz odezwała się z nonszalancją.

– Pewnie zdziwisz się, jak bardzo się tego obawiamy – i dodała do kogoś stojącego na boku. – Powiedz Hedy, że on już wkrótce dojrzeje. – Ręce zaczęły gmerać przy mnie, dał się słyszeć jakiś trzask i pomogli mi usiąść. Napięcie skóry i ucisk, jaki czułem na moich stawach, świadczyło o tym, że byłem owinięty w plastikowy kokon. Nie było sensu walczyć, musiałem oszczędzać siły.

Odezwał się brzęczyk i ktoś odezwał się ostrym tonem:

– Wyrażaj się z szacunkiem, Courtenay. Pan Taunton nadchodzi.

B.J. Taunton wtoczył się chwiejnym krokiem, jakby był pijany. Wyglądał tak, jak na mównicy na setkach przyjęć: rumiany, gruby, przesadnie wystrojony... i pijany.

Przyglądał mi się badawczym wzrokiem, stopy rozstawił szeroko, ręce wsparł na biodrach i lekko się chwiał.

– Courtenay – powiedział. – Niedobrze. Mogliby z ciebie być ludzie, gdybyś nie związał swego losu z tym złodziejem, sukinsynem Schockenem. Bardzo niedobrze.

Był pijany. Był hańbą swego zawodu i był odpowiedzialny za setki zbrodni, lecz nie mogłem powstrzymać w moim głosie respektu, jaki zawsze miałem wobec szefa wielkiego przedsiębiorstwa.

– Proszę pana – powiedziałem spokojnie – to musi być jakieś nieporozumienie. Nikt nie sprowokował Towarzystwa Tauntona do popełnienia komercyjnego morderstwa – czy się mylę?

– Nie – odpowiedział stanowczo, z zaciśniętymi ustami, chwiejąc się nieco. – Nie w prawniczym rozumieniu prowokacji. Wystarczy, że ta świnka Schocken wykradała podstawę moich interesów, przejęła moich senatorów, przekupiła świadków z mojego komitetu. I skradła mi Wenus! – jego głos przerodził się w głośny pisk. Odetchnął i ciągnął dalej już normalnym głosem.

– Nie, to nie była prowokacja. Przezornie strzegł się przed zabiciem któregokolwiek z moich ludzi. Przebiegły Schocken, etyczny Schocken, cholernie głupi Schocken – zawodził.

Jego szklane oczy były wpatrzone we mnie.

– Ty świnió! – powiedział. – Ze wszystkich najpodlejszych, wszawych, fałszywych, domokrażnych pajaców, jakich kiedykolwiek postawiono przede mną, ty jesteś najbardziej zepsuty. Ja – walnął się w piersi, tracąc na krótko równowagę – ja wskazałem sposób popełnienia bezpiecznego morderstwa komercyjnego, a ty udawałeś przestraszonego, nędznego szczura. Biegasz jak królik, ty psie.

– Proszę pana – powiedziałem głosem pełnym rozpacz. – Jestem pewien, że nie wiem do czego pan zmierza. – To jego lata picia, pomyślałem szybko, w końcu widać to po nim. Słowa, które wypowiadał mogły wychodzić tylko z chorego umysłu.

Usiadł niefrasobliwie, a jeden z jego ludzi rzucił się i w ostatniej chwili podsunął krzesło pod jego gruby zad. Z szerokim gestem B.J. Taunton powiedział do mnie:

– Courtenay, z natury jestem artystą...

Słowa wytoczyły ze mnie automatycznie, bez udziału mojej woli.

– Oczywiście, panie... – omal nie powiedziałem „Schocken”, refleks miałem jednak niezły. – Oczywiście, panie Taunton – dokończyłem.

– Z natury – ciągnął dalej – jestem artystą. Prorokiem snów, kowalem wizji. – Odniosłem niesamowite wrażenie deja vu. Wydawało mi się, że to Fowler Schocken siedzi tu na miejscu swego rywala, człowieka, który był przeciwieństwem wszystkiego, co reprezentował Fowler Schocken.

– Chciałem Wenus, Courtenay, i będę ją miał. Schocken ukraść mi ją, ale mam zamiar ją odzyskać. Zarząd projektu Wenus Fowlera Schockena poleci wysoko do nieba. Żadna rakietka spod znaku Schockena nigdy nie wystartuje z Ziemi, nawet gdybym musiał przekupić każdego z jego podwładnych i zabić każdego z szefów jego wydziałów. Bo ja jestem z natury artystą.

– Panie Taunton – powiedziałem spokojnie – nie może pan zabić szefów wydziałów ot tak sobie. Wypalą panu mózg. Zostanie pan umysłowo okaleczony. Nie znajdzie pan nikogo, kto podjąłby ryzyko dla pana. Nikt nie zechce spędzić dwudziestu lat w piekle.

Powiedział rozmarzonym głosem:

– Wynająłem mechanika, który zrzucił na ciebie tę podwieszoną gondolę na lotnisku. Czy nie tak? Wynająłem też bezrobotnego włóczęgę, który strzelał do ciebie przez okno mieszkania, czyż nie tak? Niestety obaj spudłowali. A potem pokrzyżowałeś nam plany swoją tchórzliwą wycieczką na lodowiec.

Nic nie odpowiedziałem. Wycieczka na lodowiec nie była moim pomysłem. Bóg raczy wiedzieć czyim pomysłem było zwabienie mnie tam przez Runsteda, uśpienie i podłożenie innego ciała na miejsce mojego.

– Omal nie uciekłeś – zamyślił się Taunton. – Gdyby nie kilku skromnych, oddanych mi ludzi, jak kierowca taksówki i kilku innych – nigdy byśmy cię powtórnie nie dostali. Ale to są moje narzędzia, Courtenay.

– Mogliśmy być lepsi, ale mogliśmy być też gorsi. Moim zadaniem jest śnić marzenia i

wykuwać wizje. Wielkość artysty tkwi w jego prostocie, Courtenay. Mówisz mi: „Nikt nie chce męczarni umysłowych”. Mówisz tak, bo się ich boisz. Ja zaś mówię: „Znajdź kogoś, kto pragnie prania mózgu użyj go”. Tak jest, bo jestem wielki. Wyłumacz mu – powiedział Taunton do jednego ze swych pomagierów. – Chcę, by był głęboko przekonany, że mówimy serio.

Jeden z nich odezwał się do mnie oschle:

– Czy słyszałeś kiedyś o Albercie Fishu?

– Nie.

– Był fenomenem żyjącym we wczesnych latach okresu Rozumu -1920 lub coś koło tego. Albert Fish wbijał w siebie igły, parzył się podpalając nasączone w alkoholu tampony z waty, smagał pejczem – bo to lubił. Z pewnością lubiłby też wypalanie mózgu. Założę się. Przeżyłby dwadzieścia wspaniałych, fascynujących lat obdzierania za skóry, duszenia, krajania na kawałki i przyprawiania o mdłości. Marzenie Alberta Fisha spełniłoby się.

W swoim czasie żył tylko jeden Albert Fish. Do wyprodukowania Alberta Fisha potrzebne są silne stresy i napięcia. Nierozsądnym byłoby oczekiwać, że w takiej małej i rozrzuconej populacji, jak w tamtym okresie – mniej niż trzy miliardy ludzi – istniałoby ich więcej. Przy naszej aktualnej, znacznie większej populacji, mamy wielu Albertów Fishów żyjących wkoło. Trzeba ich tylko odnaleźć. Nasze niezrównane umiejętności poszukiwawcze pozwoliły odkryć kilku. Znajdujemy ich w szpitalach, czasami pod bardzo groteskowymi postaciami. Są chętnymi zabójcami, uwielbiają poznawać rozkosze kary. Taki facet jak ty mówi, że nie będziemy mogli wynająć zabójców, gdyż boją się oni kary. Ale pan Taunton twierdzi, że możemy wynająć zabójcę, jeśli znajdziemy kogoś kto lubi być karany. A najlepsze z tego wszystkiego jest to, że ci, którzy uwielbiają, jak im zadaje się ból, są jednocześnie tymi, którzy uwielbiają zadawać ból innym. Zadawać ból, na przykład – tobie.

Była to mrożąca krew w żyłach prawda. Społeczeństwo ludzkie powoli się degenerowało. Nasze kroniki wypełniają przypadki fantastycznego heroizmu lub bezdennej niczemności – wiedziałem, dzięki naszym pracom badawczym, że w dawnych czasach nie było takiej odwagi ani takiej deprawacji. Fakt ten zawsze mnie intrygował. Mamy takich ludzi jak Malone, który spokojnie kopał tunele przez sześć lat, a potem pewnego niedzielnego poranka wysadził w powietrze Red Bank w New Jersey. Rozdrażnił go glińiarz z Brink. Z drugiej strony mamy Jamesa Revere, bohatera z katastrofy Białej Chmury. Nieśmiały, wąty steward z klasy turystycznej, który uratował siedemdziesięciu sześciu pasażerów, wracając wciąż w płomienie z ciałem odpadającym od kości, ślepy, idąc po omacku ze swymi kikutami rąk wzdłuż rozgrzanych do czerwoności korytarzy. To działo się naprawdę. Kiedy jest dostatecznie dużo ludzi, zawsze się znajdzie ktoś, kto będzie chciał i zrobi dowolnie absurdalną rzecz. Taunton był artystą. Uczepił się tej niezbitej oraz prostej prawdy i wykorzystywał ją. Oznaczało to tyle, że mogłem się uważać za martwego. Kathy – pomyślałem. Moja Kathy.

Gruby głos Tauntona przerwał moje rozmyślenia.

– Pojąłeś o co chodzi? – zapytał. – Tę wielką ideę? Ten temat? To przesłanie? Sądzę, że najistotniejsze z tego wszystkiego jest to, że mam zamiar odzyskać Wenus. A teraz, zaczynając od samego początku, opowiedz nam o Agencji Schockena. O wszystkich jej małych tajemnicach, słabostkach, wszystkich plotkach, o przekupnych pracownikach, o kredytach, kontaktach w Waszyngtonie – no przecież wiesz o co mi chodzi.

Byłem już nieboszczykiem, który nie ma nic do stracenia – pomyślałem.

– Nie – powiedziałem.

Nagle jeden z ludzi Tauntona powiedział.

– Dojrzał do Hedy – po czym wstał i wyszedł. – Studiowałeś prehistorię, Courtenay – powiedział Taunton. – Może więc pamiętasz nazwisko Gilles de Bais. – Pamiętałem i poczułem jak cierpnie mi skóra na głowie, tak jakby zaciskał się na niej stalowy hełm. – Populacja wszystkich prehistorycznych generacji nie przekraczała liczby pięciu miliardów – ciągnął dalej Taunton. – Wszystkie generacje prehistorii wyprodukowały zaledwie jednego Gillesa de Bais, o którym prawdopodobnie myślisz jako o Sinobrodym. Obecnie zebraliśmy ich kilku. Spośród wszystkich ludzi, których mogłem wybrać, aby wykonywali dla mnie specjalne zadania, takie jak to – wybrałem Hedy. Sam przekonasz się dlaczego.

Drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich blada, anemiczna dziewczyna z prostymi blond włosami. Twarz miała wykrzywioną w głupawym uśmiešku, a jej usta wyglądały jak cienka i blada kreska. W jednym ręku trzymała sześciocalową igłę osadzoną w plastikowej ręczce.

Spojrzałem w jej oczy i zacząłem krzyczeć. Nie mogłem powstrzymać się od krzyku dopóki jej nie wyprowadzili i nie zamknęli za nią drzwi. Byłem całkowicie rozbity.

– Taunton – wyszeptalem w końcu – proszę...

Oparł się wygodnie i powiedział:

– No to nadawaj.

Spróbowałem, ale nie mogłem. Głos odmawiał mi posłuszeństwa, to samo było z moją pamięcią. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy moją firmą było Fowler Schocken, czy Schocken Fowler, na przykład.

Taunton w końcu wstał i powiedział:

– Damy ci na razie spokój, Courtenay, byś mógł dojść do siebie. Ja muszę się napić. – Wzdrygnął się mimo woli i przechylił. – Prześpij się z tym – powiedział i wyszedł chwiejnym krokiem. Dwóch z jego ludzi wyniosło mnie z sali obrad korytarzem do zaciszego pokoiku z solidnymi drzwiami. Wydawało mi się, że była noc. W żadnym z biur, które mijaliśmy, nic się nie działo, światła były przygaszone, a jedyny strażnik na korytarzu ziewał przy swoim biurku.

Zapytałem niepewnie:

– Czy zdejmiecie ze mnie ten kokon? Narobię śmierdzącego kłopotu, jeśli nie wydostanę

się z niego.

– Nie było rozkazu – powiedział krótko jeden z nich i zatrzasnęli za sobą solidne drzwi.

Wiłem się po małej podłodze próbując znaleźć coś dostatecznie ostrego, by przerwać taśmę i zdobyć chociaż możliwość zerwania tego plastiku, ale nic takiego tam nie było. Po niewiarygodnych wygibasach i po tuzinie bolesnych upadków uznałem, że nigdy nie zdołam stanąć na nogach. Klamka przy drzwiach była słabym, bardzo słabym cieniem nadziei, ale równie dobrze mogła znajdować się milion mil dalej. Mitchell Courtenay, redaktor. Mitchell Courtenay, kluczowy człowiek Projektu Wenus. Mitchell Courtenay, wijący się na podłodze komórki w biurze najczarniejszej, najbardziej nieuczciwej agencji jaka kiedykolwiek splamiła naszą profesję, nie mający żadnej perspektywy z wyjątkiem zdrady i – przy odrobinie szczęścia – możliwości bezbolesnej śmierci. Kathy przynajmniej nigdy się nie dowie. Będzie myślała, że zginąłem jak głupiec na lodowcu, grzebiąc bezmyślnie w baterii akumulatorów, podczas gdy nie miałem w tym żadnego interesu...

Zamek w drzwiach szczeknął raz i drugi. Szli po mnie.

Ale kiedy drzwi się otworzyły, to z poziomu podłogi zobaczyłem nie las ubranych w spodnie nóg, lecz jedynie parę cienkich jak zapałki nóg, odzianych w nylony. – Kocham cię – powiedział dziwny, suchy kobiecy głos. – Powiedzieli, że będę musiała czekać, ale nie mogłam znieść tego dłużej. – To była Hedy. Trzymała w ręku swoją igłę.

Próbowałem wołać o pomoc, ale moje piersi wydawały się sparaliżowane, gdy uklękła obok mnie z błyszczącymi oczami. Zdało mi się, że temperatura pokoju spadła o dziesięć stopni. Wpiła się swoimi bladymi wargami w moje usta, były jak rozgrzane żelazo. A potem poczułem, jakby lewa strona mojej twarzy i głowy zostały oderwane od reszty ciała. Trwało to przez kilka sekund i zmieniło się w czerwoną mgiełkę nieświadomości.

– Obudź się – słyszałem drętwy głos. – Pragnę cię. Obudź się. – Błyskawica przebiegła przez mój lewy łokieć, oprzytomniałem i szarpnąłem ramieniem. Ramię poruszyło się.

Poruszyło się.

Bładosine wargi pochylały się nade mną znowu i znowu. Jej igła wbijała się w moją szczękę szukając jakiegoś nerwu twarzy i znalazła go. Walczyłem z czerwoną igłą, która próbowała mnie pochłonąć. Moja ręka poruszyła się. Przedziurawiła membranę kokonu i mogłem go rozerwać. Igła szukała dalej i w jakiś sposób ból ulokował się w mojej prawej ręce. Jednym konwulsyjnym szarpnięciem wyzwoliłem ją.

Wydaje mi się, że chwyciłem ją z tyłu za szyję i ścisnąłem. Nie jestem pewien, nie chcę być pewny. Ale po pięciu minutach ona i jej miłość nie były już groźne. Rozpruwałem i zrywałem z siebie plastik, pomału stając na nogi jęczałem z bólu i zawziętości.

Strażnik na korytarzu nie stanowił dla mnie zagrożenia. Skoro nie zareagował na moje krzyki, z pewnością nigdy nie przyjdzie. Wyszedłem z pokoju i ujrzałem go śpiącego z głową opartą o biurko. Kiedy stanąłem nad nim, zobaczyłem niewielką kroplę krwi i osocza, zakrzepłych w małym zagłębieniu między dwoma ścięgnami pomarszczonej starczej szyi.

Jedno pchnięcie, przekłuwające rdzeń, wystarczyło dla Hedy. Mogłem naocznie się przekonać, że jej znajomość topografii systemu nerwowego była pełna.

Strażnik miał broń, nad którą się wahałem przez moment, lecz w końcu z niej zrezygnowałem. W kieszeniach miał kilka dolarów, które mogły się przydać bardziej. Pognałam do schodów. Na jego biurowym zegarze był pięć po szóstej.

Na wchodzeniu po schodach już się znałem. Schodzenia nauczyłam się teraz. Jeżeli ma się serce w dobrym stanie, to w zasadzie między tymi dwiema czynnościami nie ma żadnej różnicy. Zejście w moim stanie po schodach ze strefy kierowniczej do zaludnionych obszarów poniżej zajęło mi około trzydziestu minut. Pierwsze ponure reakcje spieszących się do pracy konsumentów przekroczyły moje najśmielsze oczekiwanie. Odbyłem z pół tuzina zawziętych walk na pięści i jedną na noże. Nocnymi mieszkańcami budynku Tauntona był prymitywny dziki tłum, którego nigdy by nie wpuszczono na klatkę schodową w wieżowcu Schockena, ale dobrze się składało. Pomimo mojego brudnego ubrania, świeżej ciętej rany na twarzy, nie zwracałem na siebie niczyjej uwagi. Po drodze kilka panienek nawet mnie zagadywało, ale na szczęście skończyło się na gadaninie. Ludzie, którzy gnieźdzą się w starożytnych, walących się budynkach, takich jak choćby Empire State Building z pewnością ukatrupiliby mnie na miejscu.

Czas mi sprzyjał. Opuściłem westybul budynku w momencie, kiedy ściśnięty głowa przy głowie tłum wylewał się z drzwi do pociągu miejskiego zabierającego go do obskurnych prac. Zdawało mi się, że widziałem tajniaków w jasnych ubraniach przeszukujących tłum z okien pierwszego piętra, ale nie spoglądałem do góry i przedostałem się do stacji kolejki.

W kabinie rozmieniłem wszystkie pieniądze na drobne i wszedłem do łazienki.

– Wspólny prysznic, chłopie? – ktoś mnie zapytał.

Bardzo potrzebowałem umyć się i to sam, ale nie śmiałem zdradzić się z urzędniczymi przyzwyczajeniami. Ona i ja zapłaciliśmy za pięć minut słonej i trzydzieści sekund słodkiej wody z mydłem. Zorientowałem się, że ciągle przemycam moją prawą rękę. Gdy zimna woda trysnęła na lewą stronę mojej twarzy, ból stał się nie do zniesienia.

Po prysznicu wepchnąłem się do pociągu podmiejskiego i spędziłem w nim dwie godziny, jeżdżąc zygzakiem po mieście. Moim ostatnim przystankiem był Times Square, w sercu dzielnicy handlowej. Była to głównie stacja dla towarów. Podczas gdy przeklinający konsumenci ciągnęli kontenery towarów proteinowych z nalepionymi na bokach adresami różnych części miasta, ja próbowałem ponownie połączyć się z Kathy. I znów nikogo nie było w domu.

Zastąpiłem Hester w wieżowcu Schockena.

– Chcę, żebyś podjęła wszystkie pieniądze co do centa, pożyczyla, wyjęła swoje oszczędności, kupiła dla mnie elegancki garnitur Starrzeliusa i przyszła z nim jak najszybciej w miejsce, gdzie twoja matka złamała nogę dwa lata temu. Dokładnie w to miejsce, pamiętasz?

– Mitch – powiedziała. – Tak, pamiętam. Ale mój kontrakt...

– Nie zmuszaj mnie do tego, bym cię błagał, Hester – poprosiłem. – Zaufaj mi. Pomogę ci potem. Na miłość Boską, pośpiesz się. A... jeśli przyjdiesz tu, a ja będę w rękach strażników, udaj, że mnie nie znasz. A teraz do dzieła.

Odwiesiłem słuchawkę i pozostałem w kabinie telefonicznej do chwili, aż jakieś podejrzanе towarzystwo zaczęło walić niecierpliwie do drzwi. Powoli obszedłem całą stację, wypilem Coffiest i zjadłem kanapkę z serem, pożyczyłem też poranną gazetę z kiosku. Moja historia została wyróżniona nieciekawą wzmianką na trzeciej stronie, zatytułowaną „Poszukiwany za kradzież i zabójstwo”. Było tam napisane, że George Groby nie powrócił z przepustki do swej pracy w Chlorelli, a wolny czas wykorzystał na plądrowanie kierowniczych piętér w budynku Tauntona. Zabił sekretarkę, która natknęła się na niego, po czym zbiegł.

Pół godziny później Hester przysłała na spotkanie przy pochylnej ładunkowej, z której pewnego razu zsunęła się skrzynia łamiąc nogę jej matce. Była wyraźnie zmartwiona; formalnie była tak samo winna naruszenia warunków kontraktu jak George Groby.

Wziąłem od niej pudełko z garderobą i zapytałem:

– Czy zostało ci tysiąc pięćset dolarów?

– Coś koło tego. Moja matka wściekła się...

– Zarezerwuj dla nas bilety na najbliższy statek na Księżyc; na dzisiaj, jeśli będzie to możliwe. Przyjdź z powrotem po mnie. Będę w nowym ubraniu.

– Dla nas? Na Księżyc? – pisnęła.

– Tak, dla nas. Muszę wydostać się z Ziemi, zanim mnie zabiją. Ale tym razem naprawdę.

Rozdział 12

Moja mała Hester wzięła się do roboty i zaczęła czynić cuda.

Dziesięć godzin później, siedząc obok siebie, przeżykaliśmy ślinę pod wpływem przeciążenia startowego w rakiecie „Dawid Ricardo” lecącej na Księżyc. Hester z zimną krwią podała się za pracownicę Schockena lecącą w jakiejś konkretnej sprawie na Księżyc, a mnie jako Groby’ego, analityka do spraw sprzedaży, klasa 6. Oczywiście sidła zestawione na Groby’ego, specjalistę kategorii 9, nie obejmowały portu kosmicznego Astoria. Pracownicy Kanalizacji oskarżeni o rozbój i zabójstwo kobiety nie mają dość pieniędzy, by dać dyla rakietą, to chyba jasne.

Mieliśmy opłacony przedział i maksymalne racje. „Dawid Ricardo” był statkiem, na którym większość pasażerów opłacała przedziały i maksymalne racje. Nie była to wycieczka dla żadnych wrażeń wczasowiczów ani też dla piętnastu szesnastych populacji. Księżyc oznaczał interesy – górnictwo, a dopiero później trochę zwiedzania. Naszymi współpasażerami, których widzieliśmy na rampie, byli pochłonięci swoimi problemami inżynierowie, kilku robotników w licej 4 klasie i niesamowicie bogaci mężczyźni oraz kobiety, którzy chcieli móc powiedzieć, że byli na Srebrnym Globie.

Po starcie Hester była przez chwilę histerycznie wesoła, po czym przygasła. Szlochała na moim ramieniu, przestraszona ogromem tego, co uczyniła. Była wychowana w bardzo moralnej i bogobojnej rodzinie, więc nie można było oczekiwać od niej, by popełniła dużą komercyjną zbrodnię, jaką było zerwanie kontraktu pracowniczego, bez głębokiego stresu emocjonalnego.

– Panie Courtenay... Mitch – jęczała – gdybym tylko mogła być pewna, że zrobiłam dobrze! Wiem, że zawsze byłeś dla mnie dobry i wiem, że nigdy nie zrobisz niczego złego, ale jestem tak przestraszona i taka nieszczęśliwa.

Wytarłem jej oczy i podjąłem decyzję.

– Opowiem ci wszystko, Hester – powiedziałem. – Sama osądź. Taunton odkrył coś strasznego. Odkrył, że istnieją ludzie, których nie odstraszy groźba tortur umysłowych jako kara za niesprowokowane morderstwo komercyjne. On uważa, że pan Schocken w sposób nieetyczny wykrał mu Projekt Wenus, i nic go nie powstrzyma od odzyskania go. Co najmniej dwa razy próbował mnie zabić. Myślałem, że pan Runsted był jednym z jego agentów, którzy mieli sabotować prowadzenie projektu przez pana Schockena. Teraz sam już nie wiem. Runsted ogłuszył mnie, gdy pojechałem za nim na Biegun Południowy, jakimś cudem dostarczył mnie pod przybranym nazwiskiem na pokład statku towarowego wraz z robotnikami udającego się na Kostarykę, a na moje miejsce podłożył jakieś inne ciało. I – dodałem z namysłem – siedzą w tym wszystkim Consies. Wydała z siebie cichy jęk.

– Nie wiem jak się podłączyli – powiedziałem – ale znalazłem się w komórce Consies...

– Pa...anie Courtenay!

– Ni mniej ni więcej – pospieszyłem wyjaśnić. – Utknąłem w Chlorelli w Kostaryce, a jedyną drogą ucieczki na północ wydawało się wstąpienie do organizacji Consies. Mieli swoją komórkę w fabryce. Przyłączyłem się, wykazałem talentem i zostałem przeniesiony do Nowego Jorku. Resztę już znasz.

Przez dłuższą chwilę milczała, po czym zapytała:

– Czy jesteś pewien, że tak jest właściwie? Życząc sobie rozpaczliwie, żeby tak było, powiedziałem stanowczo:

– Oczywiście, Hester.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Przyniosę nasze racje żywnościowe – powiedziała z ulgą w głosie. – Lepiej zostań tutaj.

Czterdzieści godzin później mówiłem do Hester.

– Ten przeklęty chciwy steward posunął się za daleko. Spójrz na to. – Wskazałem moją bańkę z wodą i pudełko z racją. Było oczywiste, że uszczelnienie zostało naruszone na obu pojemnikach i gołym okiem było widać, że brakuje wody.

– Maksymalne racje – zacząłem krasomówczo – mówi się o nich, że są niefałszowane, ale to jest zwykle złodziejstwo. Jak wygląda twoja?

– Tak samo – powiedziała apatycznie. – Nic na to nie można poradzić. Nie jedzmy jeszcze teraz, panie Courtenay – zrobiła wyraźny wysiłek, by nieco się ożywić. – Może tak pogramy w tenisa?

– Dobrze – mruknąłem i ustawiłem kort wynajęty z wypożyczalni rekreacyjnej. Grała dobrze, lecz pokonałem ją w kilku setach. Brak jej było koordynacji. Odbijałaby piłkę poprawnie, gdyby nie to, że nie nadążała z podkręcaniem regulatora napięcia. Półgodzinne ćwiczenia obojgu nam dobrze zrobiły. Rozweseliła się i zjadła swoją porcję. Nie pozostałam w tyle, też zjadłem.

Mecz tenisowy przed posiłkami wszedł nam w nawyk. Niestety, niezbyt wiele rzeczy można było robić w naszych ciasnych przedziałach. Co osiem godzin Hester chodziła po nasze przydzielone racje. Ja narzekałem na ich niedostateczną wielkość i graliśmy w tenisa, a potem jedliśmy. Reszta czasu mijała na oglądaniu reklam – wszystkie były Schockena – na kolanach. Nie jest źle, pomyślałem. Schocken siedzi na Księżycu, a mnie nikt nie powstrzyma od zobaczenia się z nim. Tam nie było tak tłoczno, jak na Ziemi. Myślałem o Kathy. Mógłbym od niechcienia zapytać Hester, co słyszała o Jacku O’Shea, lecz nie uczyniłem tego. Bałem się, że nie spodoba mi się to, co usłyszę o bohaterskim karle i jego triumfalnej procesji od miasta do miasta i od kobiety do kobiety.

Paradę reklam przerwał monotony komunikat służbowy:

„Kucharze proszeni są do kambuza celem przyrządzenia ostatniego płynnego posiłku. Do chwili wylądowania nie będzie można spożywać żadnych innych posiłków płynnych i stałych”.

Hester uśmiechnęła się i wyszła z naszą tacą.

Jak zwykle wróciła po dziesięciu minutach. Odczuwaliśmy już niewielkie przyciąganie Księżyca, wystarczyło, by mój żołądek dostał rozstroju. Czekałem na nią z nieszczęśliwą miną. Wróciła z dwiema bańkami Coffiestu i z wesołą miną zaczęła mi robić wymówki.

– Dlaczego, Mitch, nie ustawiłeś kortu do tenisa!

– Nie czuję się na siłach. Lepiej zjedzmy – wyciągnąłem rękę po moją bańkę. Nie podała mi jej.

– No więc?

– Chociaż jeden set – przymilała się dalej.

– Do diabła, dziewczyno, czy mnie nie słyszałaś? – warknąłem. – Nie zapominajmy, kto

jest kim. – Przypuszczam, że nie powiedziałbym tego, gdyby nie chodziło o Coffiest. Widok czerwonej bańki Starrzeliusa zupełnie mnie rozstroił – czułem nieznośne uczucie mdłości. Od dawna już nie piłem Coffiestu, a przecież nigdy od niego nie stroniłem.

Zesztywniała.

– Przepraszam, panie Courtenay. – A potem chwyciła się za brzuch, twarz miała wykrzywioną. Zdumiony, przytrzymałem ją. Była śmiertelnie blada i słaba.

– Hester – powiedziałem. – Co ci jest? Co...?

– Nie pij tego – zachrypiła przyciskając rękę do brzucha. – Ten Coffiest to trucizna. Twoje racje. Próbowалаm je. – Jej palce najpierw przerwały nylon na przeponie, a potem skórę, gdy wiła się w bólach.

– Przyślijcie natychmiast doktora! – wyłem do mikrofonu. – Tutaj umiera kobieta.

Głos szefa stewardów odpowiedział:

– Lekarz pokładowy będzie u państwa za chwilę.

Wykrzywiona twarz Hester zaczęła się rozluźniać.

Okropnie się tego przestraszyłem. Powiedziała cicho.

– Ta suka Kathy porzuciła ciebie. Śmieszne. Byłeś dla niej za dobry. Ona nie byłaby. Moje życie. Twoje. – Jej twarz przebiegł grymas. – Żona kontra sekretarka, śmieszne. Tak było zawsze. Nigdy nawet mnie nie pocałowałaś...

Nie miała szans. Odeszła w chwili, gdy lekarz pokładowy energicznie wchodził do przedziału, przytrzymując się ręką liny. Twarz mu opadła, gdy ją zobaczył. Zawłókł ją natychmiast do lazaretu i włożył do stymulatora pracy serca, rozpoczynając reanimację. Klatka piersiowa Hester zaczęła się unosić i opadać, otworzyła oczy.

– Gdzie jesteś? – spytał lekarz głośno i wyraźnie. Poruszyła lekko głowę, a we mnie wstąpił promyk nadziei.

– Reaguje? – szepnąłem do lekarza.

– Wrywkowo – odpowiedział chłodnym zawodowym tonem. Miał rację. Jeszcze kilka razy poruszyła nieznacznie głowę i widać było nerwowe drganie powiek. Nie przestawał jej zadawać pytań.

– Kim jesteś? – jedynym skutkiem było zmarszczenie się skóry oczami i drganie warg, nic więcej. Pominąwszy te nikłe i niewyraźne reakcje, już nie żyła.

W delikatny sposób lekarz zaczął mi wyjaśniać sprawę.

– Muszę to wyłączyć. Nie sądzi pan chyba, że jest jeszcze jakaś nadzieja. Nastąpiła nieodwracalna śmierć kliniczna. Często ciężko jest osobie związanej emocjonalnie zrozumieć...

Patrzyłem jak drgają jej powieki, jedna w takcie na dwie czwarte, druga na trzy czwarte.

– Niech pan to wyłączy – powiedziałem ochryplym głosem. Ale „to” oznaczało Hester, a nie urządzenie. Wyłączył prąd i wyciągnął igłę.

– Wystąpiły nudności? – spytał. Przytaknąłem.

– To był jej pierwszy lot kosmiczny? – Przytaknąłem.

– Bóle brzucha? – Przytaknąłem. – Żadnych wcześniejszych dolegliwości? – Potrząsnąłem głową. – Historie z zawrotami głowy? – Przytaknąłem głową chociaż tego nie wiedziałem. Wyraźnie zmierzał do czegoś. Pytał wciąż dalej, a odpowiedzi, których oczekiwał były tak oczywiste jak karty wyczarowane przez magika. Alergie, łatwe krwawienie, bolesne miesiączki, popołudniowe zmrożenie – w końcu powiedział stanowczo.

– Sądzę, że to choroba Fleischmana. Niewiele o niej wiemy. Objawia się w wyniku pewnych dysfunkcji w organizmach cierpiących na kartinotropię nadnerczy w warunkach stanu nieważkości, jak sądzimy. Wyzwała reakcję łańcuchową niezgodności tkanek, co wpływa na płyn rdzeniowy...

Spojrzał na mnie i zmienił temat.

– Mam trochę alkoholu w szafce – powiedział. – Proszę...

Sięgnąłem po bańkę i nagle oprzytomniałem.

– Niech się pan napije ze mną – powiedziałem.

Skinął głową i bez zastanowienia pociągnął z jednego otworu dwuzaworowej towarzyskiej butelki. Widziałem jak poruszało mu się jabłko Adama.

– Nie za dużo – ostrzegł mnie. – Wkrótce lądowanie.

Przez kilka minut rozmawiałem z nim, obserwując, a potem połknąłem pół kwarty czystego alkoholu. Z trudem dowlokłem się do mego przedziału.

Kac, żal, strach i doprowadzająca do szału biurokracja przy wychodzeniu na powierzchnię Księżyca spowodowały, że postanowiłem udawać głupka. Kilka razy słyszałem, jak członkowie załogi statku mówili do urzędników coś w rodzaju: „Nie męczcie tego chłopaka, stracił swoją dziewczynę podczas lotu”. Wypełniając w zatłoczonej hali niekończące się formularze twierdziłem z uporem, że nic nie wiedziałem o celu naszej misji. Byłem Groby, klasa 6, a najlepiej byłoby gdyby mnie odesłano do Fowlera Schockena. Rozumiałem, że oczekiwano od nas anonsowania się jemu. Uśmieiali się z tej ewentualności i kazali mi poczekać na ławce na odpowiedzi ze strony oddziału Schockena w Luna City.

Czekałem, rozglądałem i próbowałem myśleć. Nie było to łatwe. Ruchliwy tłum w hali przyjęć składał się z ludzi przemieszczających się z jednego miejsca do drugiego w ściśle określonych celach. Zaraz mnie dopadną...

W rurze poczty pneumatycznej, której wylot znajdował się obok mnie, coś brzęknęło i wypadło na biurko kilka jardów ode mnie. Przeczytałem przymrużonymi oczami: „*Schocken do recepcji. Odpowiedź. Żadnej misji nie oczekujemy z tego lotu. Żaden Groby u nas nie pracuje. Fowler Schocken nie został powiadomiony. Jego zastępca zawiadomi go. Działać dyskretnie. To nie nasze dziecko. Koniec.*”

To był rzeczywiście koniec. Patrzyli na mnie zza biurka rozmawiali przyciszonymi głosami. A po chwili jeden z urzędników skinął ręką na detektywów firmy Burns, stojących nieopodal.

Wstałem i wmieszałem się w tłum, mając do wyboru jedyną, przerażającą mnie szansę. Zaczęłem wykonywać przypadkowe gesty, które przez swoją kolejność i następstwo w czasie tworzyły Wielki Sygnał Pozdrowienia i Zagrożenia organizacji Consies.

Jeden ze strażników Burnsa przepchnął się przez tłum położył na mnie swoją rękę.

– Będziesz sprawiał kłopoty? – zagroził.

– Nie – powiedziałem ochryłym głosem. – Prowadź.

Pomachał znacząco w kierunku biurka, a oni mu odmachali z uśmiechami. Poprowadził mnie przez przestraszony tłum, utkwivszy lufę pistoletu w moim krzyżu. Zdrętwiały pozwoliłem się wyprowadzić z hali recepcyjnej na podobną do tunelu ulicę handlową.

NAJTAŃSZE W MIEŚCIE PAMIĄTKI Z LUNY!

ELEGANCKI DOM TOWAROWY NA KSIĘŻYCU

WYPOŻYCZALNIA SKAFANDRÓW KOSMICZNYCH

50 lat bez awarii

WYPOŻYCZALNIA SOLIDNYCH

SKAFANDRÓW KOSMICZNYCH

73 lata bez awarii

KSIĘŻYCOWY DOM MODY DLA PAŃ

Niespotykane scenki rodzajowe

Udowodnij znajomym, że tu byłeś

WARREN ASTRON

Przepowiednie na zamówienie

Reklamy migotały i mrugały do mnie z witryn, a ludzie przechadzali mijali nas z obu stron.

– Zatrzymaj się – mruknął strażnik. Stanęliśmy przed reklamą Warrena Astrona. Strażnik mruknął – Wyrwij mi pistolet z ręki. Uderz mocno w głowę. Wystrzel jeden nabój w neony. Daj nura do Astrona i uściśnij mu rękę. Powodzenia, ale spróbuj nie rozwalić mi czaszki.

– Jesteś... jesteś... – zająknąłem się.

– Tak – powiedział z kwaśną miną. – Szkoda, że zauważyłem ten znak rozpoznawczy. Będzie mnie to kosztowało dwie belki oraz awans. No, ruszaj się, nie mamy czasu.

Zrobiłem to. Oddał mi swoją spluwę, a ja spróbowałem nie walnąć go ani za lekko ani za mocno. Ładunek wystrzelił z lufy pistoletu, zgruchotał lampy nade mną i wywołał okrzyk

przerażenia z ust przechodniów. Rzuciłem się w nagłą ciemność przez białe drzwi lokalu pana Astrona i stanąłem mrugając oczyma przed wysokim, chudym mężczyzną z kocią bródką.

– Co to wszystko znaczy – zapytał. – Przepowiadam na zamówienie. – Chwyciłem jego rękę w charakterystycznym uścisku. – Ucieczka? – zapytał zrzucając nagle wyszukaną zawodową pozę.

– Tak. Szybko.

Poprowadził mnie przez swój salonik do małego, wysokiego obserwatorium z przezroczystą kopułą, refraktorem, hinduskimi mapami gwiazd, zegarami i biurkami. Silnym ruchem podniósł jedno z tych biurka, a one obróciło się na zawiasach. Był tam szyb i uchwyty na ręce.

– Zejdź na dół – powiedział.

Zszedłem na dół, w ciemności. Było to pomieszczenie o powierzchni sześć stóp na cztery. Sprawiało wrażenie nie wykończonego, zrobionego na łapu capu. Pod ścianą stały oparte kilof i łopata oraz kilka kubłów wypełnionych księżycową skałą. Najwidoczniej kryjówka dopiero była przygotowywana.

Odwróciłem jeden kubek do góry dnem i usiadłem na nim w ciemności. Po doliczeniu się pięciuset siedemdziesięciu sześciu uderzeń pulsu usiadłem na podłodze i przestałem liczyć. Po chwili zaczęły boleć mnie plecy, więc sprzątnąwszy spod siebie gruz położyłem się na podłodze. Po pięciokrotnym przejściu tego cyklu usłyszałem głosy tuż nad moją głową. Jednym z nich był sztuczny „zawodowy” głos Astrona. Drugi był piskliwym, rozdrażnionym kobiecym głosem. Najwidoczniej siedzieli przy biurku, które zakrywało moją kryjówkę.

– ...Rzeczywiście wydaje mi się wygórowane, mój drogi doktorze.

– Jak sobie pani życzy. Jeśli mi pani wybaczy, wrócę do moich efemeryd...

– Ależ, doktorze Astron, nie miałem na myśli...

– Proszę mi wybaczyć, że wyciągnąłem pochopny wniosek, iż nie chce pani uiścić zwyczajowego honorarium... tak, zgadza się. A teraz, proszę podać datę oraz godzinę urodzenia?

Wymamrotała je, a ja pomyślałem szybko, jakie problemy musi mieć Astron z kobietami ukrywającymi swój wiek.

– Tak... Wenus znajduje się w domu Marsa... Merkury potrójnym ascendentem.

– Co to takiego? – zapytała z piskliwym podejrzeniem. – Znam się dość dobrze na Wielkiej Sztuce, ale tego jeszcze nigdy nie słyszałem.

Dobrotliwie:

– Musi pani wziąć pod uwagę, że obserwatorium księżycowe czyni możliwymi wiele rzeczy, o których pani przedtem nigdy nie słyszała. Obserwacje dokonywane z Księżyca umożliwiają doskonalenie Wielkiej Sztuki do stopnia niemożliwego do osiągnięcia w czasach, kiedy obserwacje były dokonywane przez grubą i zanieczyszczoną atmosferę Ziemi.

– Och... Och, oczywiście. Słyszałam o tym, oczywiście. Proszę, niech pan kontynuuje,

doktorze. Czy będę mogła popatrzeć przez pański teleskop i obejrzyć moje planety?

– Później, proszę pani. Tak... Merkury potrójnym ascendentem, planeta zmagania i zawiłości, jednak znajduje się w koniunkcji z Jowiszem – szafarzem fortuny, tak więc...

Przepowiadanie trwało chyba pół godziny, po nim odbyły się podobne dwa, po czym nastąpiła cisza. Rzecz nie do wiary, ale zasnąłem. Obudził mnie jakiś głos. Biurko znowu było odsunięte, a głowa Astrona majaczyła w tle prostokątnego otworu.

– Wychodź – powiedział. – Mamy spokój przez najbliższe dwanaście godzin.

Gramoliłem się do góry z trudem i zauważyłem, że kopuła obserwatorium została zasłonięta.

– Jesteś Groby – zaczął.

– Tak – powiedziałem śmiertelnie przerażony.

– Dostaliśmy raport o tobie przez kelnera z „Ricarda”. Bóg jeden wie, po co tu przyjechałeś; to zbyt wiele jak dla mnie. Zauważyłem, że trzymał rękę w kieszeni spodni. – Zgłosiłeś się w Chlorelli, jesteś urodzonym redaktorem, zostałeś przesunięty do Nowego Jorku, porywają cię przed Metropolitan – naprawdę lub dla pozoru – zabijasz dziewczynę i znikasz, a teraz jesteś na Księżycu. Bóg wie, po co tu przyjechałeś. Jak na mnie to za dużo, powtarzam. Za chwilę przybędzie tu członek Komitetu Centralnego i spróbuje cię rozszyfrować. Czy chciałbyś coś powiedzieć? Coś w rodzaju wyznania, że jesteś agentem i prowokatorem? A może jesteś maniakiem i psychopatą?

Nic nie odpowiedziałem.

– Bardzo dobrze – powiedział. Gdzieś otworzyły się i zamknęły drzwi.

– To ona – powiedział do mnie.

Do obserwatorium weszła moja żona Kathy.

Rozdział 13

– Mitch – powiedziała oszołomiona. – Mój Boże, Mitch – zaśmiałem się histerycznie. – Nie czekałeś, prawda? Nie zostałeś na lodzie?

Astrolog wyjął broń z kieszeni i zapytał ją.

– Czy...?

– Nie, Warren. W porządku. Znam go. Możesz zostawić nas samych. Proszę.

Wyszedł zostawiając nas samych. Kathy opadła na krzesło. Drżała. Nie mogła się ruszyć. Myślałem, że ją znam, ale myliłem się. Moja żona była szychą wśród Consies. Okłamywała mnie stale, a ja dałem się na to nabierać.

– Czy nie masz zamiaru mi nic powiedzieć – zapytałem stanowczym głosem.

Najwidoczniej wzięła się w garść.

– Jesteś zaskoczony? – zapytała. – Ty, redaktor należący do najwyższej klasy, mający za żonę Consie? Boisz się, że wyjdę i zaszкодzę ci w twojej cholernej pracy? – Wykrzywiła swą piękną twarz w szyderczym uśmiechu, który zniknął, kiedy spojrzałem na nią. – Do diabła – wybuchnęła – to, czego zawsze od ciebie oczekiwałam, od kiedy cię poznałam, to było to, żebyś usunął się z mego życia i trzymał z daleka. Największym błędem jaki kiedykolwiek zrobiłam, było powstrzymanie Tauntona od zabicia ciebie.

– To ty spowodowałaś, że Runsted mnie ogłuszył?

– Jak głupca. Co na litość boską zrobisz teraz? Co oznaczają te twoje dzikie wybryki? Dlaczego nie możesz mnie pozostawić samej sobie! – teraz już krzyczała.

Kathy Consie. Runsted Consie. Zdecydowali wspólnie, co byłoby najlepsze dla biednego Mitcha i zrobili to. Taunton zdecydował, co było najlepsze dla biednego Mitcha i zrobił to. Przeważali mnie tam i z powrotem, jak pionka po szachownicy.

– Smarkacze – powiedziałem, schwyciłem ją i uderzyłem w twarz. Jej oczy straciły gapowaty wyraz i zaczęło z nich wyglądać tylko zdziwienie.

– Podaj mi nazwisko tego tu, gospodarza – powiedziałem.

– Mitch, co chcesz zrobić? – zapytała już opanowanym głosem.

– Sprowadź go tutaj.

– Nie możesz mi rozkazywać...

– Ty – ryknąłem. – Szarlatan!

Nadbiegł, prosto pod moją pięść. Kathy biła mnie po plecach z dzikością pумы, kiedy przeszukiwałem mu kieszenie. Znalazłem broń – paskudny pistolet maszynowy 0,25 – po czym rzuciłem ją na podłogę. Spojrzała na mnie zdziwiona, pocierając mechanicznie stłuczone biodro.

– Jesteś nędznym sukinsynem – powiedziała z nutą zdziwienia w głosie.

– Tak nagle – przyznałem. – Czy Fowler Schocken wie, że jesteś na Księżycu?

– Nie – powiedziała pocierając kciuk o palec wskazujący.

– Kłamiesz.

– Mój mały detektor kłamstw – jęknęła drwiąco. – Mój mały zawadiacki redaktorek...

– Wstań – powiedziałem – albo dostaniesz tym w twarz.

– Wielki Boże – powiedziała. – Ty naprawdę to zrobisz. – Powoli zakrywała twarz rękoma, patrząc na pistolet.

– Cieszę się, że to rozumiesz. Czy Fowler wie, że jesteś na Księżycu? – powtórzyłem.

– Niezupełnie – powiedziała ciągle wpatrując się w pistolet. – Sam przecież radził mi przyjechać tu, abym zapomniała o mej stracie.

– Zadzwoń do niego. Sprowadź go tutaj.

Nie powiedziała nie, ale też nie ruszyła się w kierunku telefonu.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Mówi teraz do ciebie Groby. Groby był niszczone, bity, rabowany i porywany. Widział jak kilka godzin temu jego jedyny przyjaciel został otruty. Igrała z nim, z wprawą anatoma, stuknięta sadystka. Zabił ją za to i sprawiło mu to przyjemność. Jest do tego stopnia własnością Chlorelli, że nigdy nie wydostanie się stamtąd. Jest poszukiwany za zabójstwo kobiety i włamanie gospodarcze. Kobieta, którą kochał okazała się kłamliwą fanatyczką i dziwką. Groby nie ma nic do stracenia. Może podziurawić tę kopułę i wysie nas wszystkich w przestrzeń kosmiczną. Mogę wyjść na ulicę, poddać się i opowiedzieć dokładnie wszystko co wiem. Nie uwierzą mi, ale sprawdzą, by się upewnić i prędzej czy później przyznają mi rację – po operacji na otwartym mózgu, ale to i tak już nie ma żadnego znaczenia. Powtarzam: nie mam nic do stracenia.

– A co – powiedziała stanowczym głosem – co masz do zyskania?

– Nie zawracaj mi głowy. Przywołaj Schockena.

– Chwileczkę, Mitch. Jedno słowo dotknęło mnie specjalnie – „fanatyczka”. Były dwa powody, dla których prosiłam Runsteda, żeby cię tylko ogłuszył. Chciałam, byś zniknął przed zabójcami od Tauntona. I chciałam, byś zasmakował życia konsumenta, myślałam... sama już nie wiem. Myślałam, że zrozumiesz jaki wstrętny obrót przyjęły sprawy na Ziemi. Z pozycji pierwszej klasy trudno jest to dostrzec. Z dołu lepiej widać. Myślałam, że po przywróceniu cię do życia będę mogła rzeczowo z tobą porozmawiać, i że będziemy mogli razem pracować nad jedyną rzeczą wartą do zrobienia. Ale nie udało się. Ten twój cholerny umysł... taki dobry, a jednocześnie taki wypaczony. Wszystko czego pragniesz, to znów należeć do pierwszej klasy, i jeść, i pić, i spać trochę lepiej od innych. Niedobrze, że także nie jesteś fanatykiem, wciąż taki sam, stary niereformowalny Mitch. Tak, próbowałam.

Ruszaj się i rób, co uznasz za stosowne. Nie bój się, że mnie tym zranisz. Nic mnie nie zrani bardziej od tych nocy, które spędziliśmy wrzeszcząc na siebie. Byłam związana z Consies i nie mogłam ci nic powiedzieć, a widziałam, jak byłeś zazdrosny. Wysłałam cię do Chlorelli po to, by uczynić z ciebie zdrowego człowieka, wbrew temu, co z tobą zrobiło redaktorzenie i praca w reklamie. Bolało mnie kiedy nie mogłam kochać cię pełną piersią, całą sobą, gdy nigdy nie byłam zdolna do pełnego duchowego i cielesnego oddania się tobie, bo dzieliła nas tajemnica. Wymachiwanie pistoletem jest żartem w porównaniu z tym, jak bardzo byłam przez cały ten czas raniona.

Nastąpiła przerwa, która wydawało się, że będzie trwać wiecznie.

– Zadzwoń po Schockena – powiedziałem niepewnym głosem. – Powiedz mu, by tu przyszedł. Potem wyjdź i zabierz ze sobą tego wróżbitę. Ja... nie wiem co mu powiem. Ale mam zamiar dać tobie i twoim przyjacielom kilka dni spokoju. Czas na zmianę kwater głównych, znaków rozpoznawczych i całej reszty tych szalonych bzdur. Zadzwoń po Schockena i wynoś się stąd. Nie chcę cię już więcej widzieć.

Nie mogłem odczytać wyrazu jej twarzy, kiedy podniosła słuchawkę i wystukała numer.

– Z sekretarką pana Schockena, proszę – powiedziała. – Mówi doktor Nevin, wdowa po

panu Courtenayu. Znajdzie mnie pani na głównej liście, jak sądzę... Dziękuję. Z sekretarką pana Schockena proszę... Hello, panno Grace; tu doktor Nevin. Czy mogę rozmawiać z panem Schockenem?... Oczywiście... dziękuję... – odwróciła się do mnie i powiedziała. – Muszę poczekać parę chwil. – Minęły nam w ciszy, a potem powiedziała. – Dzień dobry, panie Schocken... Tak, dziękuję. Czy mógłby pan przyjść i zobaczyć się ze mną w pewnej ważnej sprawie... służbowej i osobistej... Obawiam się, że im szybciej tym lepiej... Pierwsza Zakupowa, odchodząca od Odbioru... u Warrena Astrona... nie, nic w tym rodzaju. To takie dogodne miejsce do spotkań. Dziękuję panu bardzo, panie Schocken.

Wyrwałem jej słuchawkę i usłyszałem głos Fowlera Schockena mówiący:

– Dobrze, moja droga. Twoja tajemniczość jest intrygująca. Do zobaczenia Kathy. – Moja ekszona była na tyle zdolna, by odegrać jednostronną rozmowę, ale nie zrobiła tego. Nie można było z niczym pomylić głosu Schockena. Przywołał mi wspomnienia rannych posiedzeń Rady w świetności dialektycznych rozgrywek, godziny ciężkiej i satysfakcjonującej pracy, uwieńczone stwierdzeniem „Dobra robota”. Byłem prawie w domu.

Cicho i sprawnie Kathy podparła ramieniem kulejące ciało wróżbity. Bez słowa wyszli z obserwatorium. Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Do diabła z nią...

Uplłynęło kilka minut, zanim usłyszałem jowialny głos Fowlera Schockena.

– Kathy! Jest tu ktoś?

– Tu, w środku – zawołałem.

Weszło dwóch naszych ludzi od Brinka i Fowler Schocken.

– Gdzie jest... zaczął. A potem: – Wyglądasz jak... ależ tak, Mitch! – Pochwycił mnie i zaczął ze mną tańczyć wesoło po okrągłym pokoju, a strażnikom opadły szczęki.

– Co to za pomysł z tym numerem jaki wycięliście staremu? Chłopie, cóż to za historia? Gdzie jest Kathy? – Zatrzymał się sapiąc, swoją wagę odczuwał nawet przy księżycowym ciężeniu.

– Wykonywałem tajną robotę. Obawiam się, że wpakowałem się w spore kłopoty. Może zadzwonisz po więcej strażników. Kto wie, czy nie będziemy musieli stawić czoła ludziom Burnsa z Luna City. – Chłopcy Brinka, dumni jak paw ze swej pracy, uśmiechnęli się szeroko na samą myśl o rozróbie.

– Jasne, Mitch. Wykonać – rzucił na bok do sierżanta, który ochoczo podszedł do telefonu. – Ale o co w tym wszystkim chodzi?

– Na razie – powiedziałem – powiedzmy, że była to wycieczka, która się nie udała. Powiedzmy, że z własnej woli zdegradowałem się na jakiś czas, by wy badać opinię o Projekcie Wenus wśród konsumentów... no i utknąłem. Fowler, proszę, nie żądaj ode mnie drobnych szczegółów. Nie najlepiej się czuję. Głodny, zmoczony, przestraszony, brudny.

– W porządku, Mitch. Znasz moją politykę. Znajdź dobrego konia, daj mu swoją głowę i obciąż go do granic wytrzymałości. Nigdy mnie nie zawiodł – i Bóg mi świadkiem, że

cieszę się, że znów cię widzę na pokładzie. Przydasz się w Projekcie. Nic nie idzie dobrze. Wskaźniki spadły do wartości 3,77 założonego wskaźnika dla Ameryki Północnej, podczas gdy powinny wynosić 4,0 i rosnać. A zmiany? O Boże! Przyjechałem tu rekrutować, no wiesz: taki mały wypad do Luna City, do kopalni księżycowych i innych miejsc w poszukiwaniu kadry kierowniczej mającej doświadczenie w przestrzeni kosmicznej.

Jak dobrze było być znowu w domu.

– Kto tym wszystkim kieruje? – zapytałem.

– Ja. Kilkakrotnie próbowaliśmy różnych ludzi z Rady, ale nic nie pomogło. Mimo moich innych prac musiałem osobiście przejąć Wenus. Jakże się cieszę, że cię widzę.

– Runsted?

– On mnie zastępuje, biedak. Co to za historia z tymi strażnikami. Gdzie jest Kathy?

– Proszę, później... Ścigają mnie za zabójstwo kobiety i zbrodnię cywilną na Ziemi. Tu jestem podejrzanym typem bez ważnych dokumentów. Ponadto stawiałem opór podczas aresztowania, ogłuszyłem strażnika oraz zniszczyłem własność Luna City.

Spoważniał.

– Wiesz, że nie lubię samego dźwięku słowa zbrodnia cywilna – powiedział. – Przypuszczam, że w kontrakcie był jakiś słaby punkt?

– Kilka – zapewniłem go. Rozchmurzył się.

– Spłacimy wszystkie należne powinności, a sprawę zbrodni cywilnej wyjaśnimy w Izbie Handlowej, jeśli będziemy musieli. Jaka to firma?

– Chlorella z Kostaryki.

– Średniej wielkości, ale solidna. Wspaniali ludzie, wszyscy bez wyjątku. Z przyjemnością robię z nimi interesy.

Ale nie jeśli patrzeć na to z dołu, pomyślałem, lecz nie powiedziałem tego głośno.

– Z pewnością będą rozsądni. A gdyby nie byli, to mam większość atutów w mojej kieszeni. Powinienem coś uzyskać dla członków mojej świty, prawda? – Szturchnął mnie figlarnie w żebra. Nie mógł ukryć zadowolenia z ulgi spowodowanej zdjęciem z jego barków Projektu Wenus.

Nagle zrobiło się tłoczno od tuzina naszych ludzi od Brinka.

– To powinno wystarczyć – rozpromienił się Fowler Schocken. – Poruczniku, ludzie Burnsa z Luna City mogą spróbować odebrać nam obecnego tu Courtenaya. Nie chcemy, żeby do tego doszło, prawda?

– Nie, sir – powiedział porucznik z kamienną twarzą.

– No to chodźmy. Ruszyliśmy spacerkiem wzdłuż Pierwszej Zakupowej, wprawiając w zdumienie kilku nocnych turystów. Pierwsza Zakupowa przecinała Rezydencyjną Pierwszą, Drugą i Trzecią, a dalej Handlową Pierwszą.

– Hej, wy tam – zawołał jakiś przypadkowo spotkany strażnik Burnsa. Znajdowaliśmy się w nieco rozrzuconym szyku. Najwidoczniej nie zorientował się, że ludzie Brinka stanowili

moją eskortę.

– Idź bawić się swoimi kucykami, chłoptasiu – rzucił do niego sierżant.

Zbladł, ale zdążył uruchomić alarm, zanim zniknął w gmatwaniu pięści i butów.

Strażnicy Burnsa zbliżali się wzdłuż podobnej do tunelu ulicy, posuwając się do przodu śmiesznymi susami. W drzwiach pojawiły się twarze. Dowódca naszego uzbrojonego oddziału krzyknął jakiś rozkaz i jego chłopcy ze swoich przepastnych uniformów zaczęli wyciągać lufy, podstawki, pasy amunicji i inne urządzenia. Już po chwili dwa karabiny maszynowe były zamontowane na trójnogach, gotowe do ostrzeliwania obu końców ulicy. Ludzie Burnsa w groteskowy sposób odskoczyli od nas na kilkanaście metrów i stanęli bezradnie, wymachując swymi pałkami.

Nasz porucznik zawołał:

– O co chodzi, panowie?

Jeden z ludzi Burnsa odpowiedział:

– Czy ten człowiek – wskazał na mnie – to George Groby?

– Czy jesteś George Groby? – zapytał mnie porucznik.

– Nie. Nazywam się Mitchell Courtenay.

– Słyszałeś – zawołał porucznik. Strzelcy odbezpieczyli broń na sygnał dowódcy oddziału. Te dwa trzaski odbiły się echem od sklepienia, a kilka ciekawskich głów wytrwale wyglądających na ulicę zniknęło w popłochu.

– Och – powiedział człowiek Burnsa cicho. – W takim razie wszystko w porządku, możecie iść dalej. – Odwrócił się do swoich ludzi. – Na co czekacie, bałwany? Nie słyszeliście?

Wynieśli się, a my poszliśmy dalej Pierwszą Handlową. Oddział Luna City Zrzeszenia Fowler Schockena mieścił się na Pierwszej Handlowej pod numerem 75. Poszliśmy tam pogwizdując wesoło. Strażnicy zdemontowali karabiny dopiero w hallu.

Było to fantastyczne przedstawienie. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Fowler Schocken, prowadząc mnie do serca swej agencji wyjaśniał mi.

– To są frontowi chłopcy, Mitch. Coś, co musisz wprowadzić do twego tekstu. „Uspokajacz” – tak nazywają to uczucie. Stanowisko człowieka niewiele tu znaczy. Dobrze wyszkolony i uzbrojony oddział stanowi prawo w górnych warstwach stratosfery. Wraca się do elementarnych zasad życia, gdzie człowiek jest człowiekiem, niezależnie od tego jak wysoki jest jego numer socjalny.

Minęliśmy drzwi.

– Ten pokój należy do O’Shea – powiedział. – Jeszcze go nie ma, oczywiście. Nie ma tego kurdupla, bo zbiera bukiety róż gdzie tylko może – ale to już nie potrwa długo. Jedyne wycieczkowicz, który odwiedził Wenus. My to zmienimy, prawda Mitch?

Wprowadził mnie do kabiny i własnymi rękami rozłożył łóżko.

– Uzupełnij to – powiedział, wyjmując ze swej kieszeni plik notatek. – To kilka moich

zapisków dla ciebie do przeczytania. Przyślę ci coś do jedzenia i trochę Coffiestu. Popracuj nad tym dobrą godzinę lub dwie, a potem wyśpij się dobrze, co?

– Dobrze, panie Schocken.

Uśmiechnął się do mnie i wyszedł zaciągając kurtynę. Usiadłem i zacząłem przeglądać jego notatki.

– Sześciokolorowy podwójny trux. Wspomnieć poprzednie, nieudane loty. Cytować Learoyeda 1959. Holdena 1961, McGilla 2002, podkreślić najwyższe poświęcenie heroicznym pionierów, Nie wymieniać pierwszej misji Myersa-White’a 2010, eksplodowała przed wejściem na orbitę Księżyca. Spróbować wyciągnąć ich raport z archiwum dzienników w księgozbiorach historycznych. Oszacować koszty. Przeszukać archiwa. Wybrać sylwetki pionierów, powinien być blondyn, brunet i rudy. Statki w tle. Nastrój grozy. Kobieta, która ich pożąda, ale heroiczni pionierzy, wzrok pełen poświęcenia nie są nią zainteresowani. Pikantne, bo niedostęp...

Rozejrzałem się po kabinie za ołówkiem i papierem do pisania. Z trudem, odzwyczajony, zacząłem pisać.

– *Byliśmy zwykłymi chłopakami. Lubiliśmy Ziemię i te dobre rzeczy, którymi nas raczyła. Poranny zapach Coffiestu... pierwsze zaciągnięcie się Starrem... wspaniałe uczucie nowego jak spod igły garnituru Verily Ciepły uśmiech dziewczyny w jasnej wiosennej sukience – ale to nam już nie wystarczało. Musieliśmy zobaczyć odległe miejsca, poznać nowe rzeczy. Ten mały chłopak to Learoyd. Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć. Ja jestem Holden. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dwa. Ten rudowłosy z barczystymi ramionami to McGill – dwa tysiące dwa. Tak, już nie żyjemy. Ale zobaczyliśmy odległe miejsca i wiedzieliśmy, że musimy je poznać zanim umrzemy. Nie żałujcie nas, zrobiliśmy to dla was. Długowłosi astronomowie mogli tylko zgadywać jaka jest Wenus. Trujący gaz, mówili. Wiatry tak gorące, że włosy staną w ogniu i tak silne, że porwą cię i odrzucą w dal. Ale nie byli pewni. Co robisz, gdy nie jesteś pewien? Idziesz i sprawdzasz.*

Nadszedł strażnik z kanapkami i Coffiestem. Jadłem i popijałem jedną ręką, a drugą pisałem.

– *Mieliśmy dobre, jak na owe czasy, statki. Zapakowali nas i dali tyle paliwa, byśmy tam dolecieli. To, czego zabrakło, to paliwo na powrót. Ale nie żałuj nas, musieliśmy ją poznać. Zawsze była szansa, że astronomowie pomylili się, że będziemy mogli wydostać się, oddychać czystym powietrzem, pływać w chłodnej wodzie – a potem znaleźć paliwo na drogę powrotną. Jednak tak się nie stało. Okazało się, że długowłosi znali się na rzeczy. Learoyd nie czekał na śmierć głodową w swojej kabinie, otworzył pokrywę i po napisaniu raportu wciągnął metan w swoje płuca. Moja kabina była lżejsza. Wiatr porwał ją i rozbił – i mnie wraz z nią. McGill miał cięższy statek i dodatkowe racje żywnościowe. Siedział i pisał przez tydzień, a potem – no; to było całkiem oczywiste po dwóch niepowodzeniach. Zabrał ze sobą cyjanek. Ale nie żałuj nas. Pojechaliśmy tam i zobaczyliśmy ją i choć sami nie wróciliśmy, to przesłaliśmy z*

powrotem wiadomości. Teraz już wiecie co robić i jak to zrobić. Wiecie, że długowłosi nie zgadywali. Wenus jest nikczemną damą i po to, by ją ujarzmić trzeba zabrać ze sobą materiały i wiedzę, wówczas potraktuje was właściwie. Kiedy odnajdziesz nas i nasze kabiny, to nie żałuj nas. Zrobiliśmy to dla ciebie. Wiedzieliśmy, że nas nie zawiedziesz.

Znowu byłem w domu.

Rozdział 14

– Fowler, proszę – powiedziałem. – Jutro. Nie dzisiaj.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Pójdę sobie, Mitch – powiedział. – Nigdy się nie narzucałem. – Wyjaśnił mi jedną z cech, dzięki którym był urodzonym szefem. Wymazał ze swojego umysłu palącą ciekawość tego, gdzie byłem i co robiłem.

– To dobry tekst – powiedział rzucając wynik mojej nocnej pracy na biurko. – Skonsultuj go z O’Shea, dobrze? Spośród wszystkich ludzi, tylko on może dodać coś bardziej oddziaływującego na zmysły. I spakuj się przed powrotem na pokład „Vilfredo Pareto”. Przepraszam. Zapomniałem, że nie musisz niczego pakować. Tu masz notatnik. Jest także sklep, jeśli zdążysz. Oczywiście, weź ze sobą kilku chłopców. „Uspokajacz”, pamiętasz? – mrugnął do mnie.

Jacka O’Shea znalazłem w kabinie sąsiadującej z moją, zwiniętego jak kota na środku normalnej wielkości łóżka. Gdy wszedłem, przeciągnął się i spojrzał niechętnym wzrokiem na mnie. Wyglądał na bardzo zamroczonego.

– Mitch – powiedział stłumionym głosem. – Jeszcze jedna cholerna zjawa.

– Jack – powiedziałem przekonująco. – Obudź się, Jack.

Skoczył do góry jak sprężyna i spojrzał na mnie.

– Co za pomysł...? Cześć, Mitch. Już pamiętam. Ktoś mi coś mówił, gdy wracałem nad ranem... – Złapał się za swoją głowę. – Umieram – powiedział cicho. – Daj mi coś, dobrze? Znajduję się na łożu śmierci i tak ci radzę: nigdy nie bądź bohaterem. Jesteś za fajnym chłopakiem...

Karzeł popadł w odrętwienie, poruszając się nieznacznie za każdym uderzeniem pulsu. Poszedłem do kuchni i sięgnąłem po Coffiest, Thiamax kromkę chleba. W pół drogi zawróciłem, podszedłem do baru i nalałem podwójnego burbona.

O’Shea spojrzał na tacę i ocknął się.

– Do diabła, coś ty mi przyniósł? – powiedział cicho, mając na myśli Coffiest, Thiamax i chleb. Strzelił burbona i wzdrygnął się.

– Dawno się nie widzieliśmy, Jack – powiedziałem.

– Ooch – mruknął. – Właśnie tego potrzebowałem. Spróbował wstać i wyprostować się na pełną wysokość trzydziestu pięciu cali, lecz przewrócił się do tyłu na koję, tak że nogi zwisały mu w dół.

– Moje biedne plecy – powiedział. – Chyba wstąpię do klasztoru. Żyję odpowiednio do mojej sławy, ale to zabija mnie cal po calu. Ooch, ta turystka z Nowej Szkocji. Teraz jest wiosna, prawda? Czy sądzisz, że to cokolwiek wyjaśnia? Może ona ma w sobie krew Eskimoski?

– Mamy późną jesień – powiedziałem.

– Może oni nie mają kalendarza... podaj mi ten Coffiest. – Żadnego „proszę”. Żadnego „dziękuję”. Tylko to chłodne przekonanie, że świat należy do niego. Zmienił się.

– Myślisz, że możesz trochę popracować dziś rano? – zapytałem trochę obcesowo.

– Mógłbym – rzekł obojętnym tonem. – To w końcu jest działka Schockena. Powiedz lepiej, co u diabła działo się z tobą.

– Prowadziłem tajne dochodzenie – powiedziałem.

– Widziałeś się z Kathy? – zapytał. – Masz cudowną, dziewczynę, Mitch. – Jego uśmiech wyglądał jak wspomnienie. I dlatego nie spodobał mi się.

– Cieszę się, że ci się podobała – powiedziałem głucho. – Wpadnij, kiedy będziesz mógł.

Prychnął do kubka Coffiestu i zapytał starannie dobierając słowa:

– Co to za praca, o której Mówiłeś?

Pokazałem mu swój tekst. Połknął Thiamax i w trakcie czytania w widoczny sposób zaczął wracać do normy.

– Wszystko zepsułeś – powiedział w końcu z pogardą. – Nie znałem Learoyda, Holdena ani McGilla, ale jak mi Bóg miły byli bezinteresownymi odkrywcami. Nie jest się przez Wenus przyciąganym. Jest się do niej pchanym. – Usiadł zamyślony z założonymi nogami.

– Zakładamy, że jest się przyciąganym – powiedziałem. – Jeśli chcesz, spróbujmy przekonać ludzi, że są przyciągani. To, czego chcemy od ciebie, to zmysłowe impresje upiększające ten tekst. Zapytam cię wprost, jak na niego reagujesz?

– Mdłościami – powiedział znużony. – Czy zamówiłbyś mi prysznic, Mitch? Dziewięć minut słodkiej wody, 40 stopni. Do diabła z kosztami. Ty też możesz być znakomitością. Wszystko czego potrzebujesz, to mieć trochę szczęścia jak ja. – Zwiesił swoje krótkie nogi z koi i kontemplował palce, dyndające sześć cali nad podłogą.

– Tak – westchnął. – Biorę kiedy można brać.

– Co z moim tekstem? – zapytałem.

– Przejrzyj moje raporty – powiedział. – A co z moim prysznicem?

– Zawołaj swego lokaja – powiedziałem i wyszedłem, cały gotując się w środku. W

kabinie przez kilka godzin wyglądałem te nieszczęsne impresje, a potem wraz z oddziałem straży poszedłem po zakupy. Nie było żadnych problemów z patrolami. Zauważyłem, że na frontonie sklepu Warrena Astrona wisiała karteczka: „Doktor Astron żałuje, ale pilne interesy na pewien czas wezwały go na Ziemię”.

Spytałem jednego z naszych chłopców:

– Czy „Ricardo” odleciał?

– Kilka godzin temu, panie Courtenay. Następny odlot zaplanowany jest na jutro, „Paretem”.

Poczułem się zwolniony z obietnicy danej Kathy i z dużymi skrótami opowiedziałem Fowlerowi Schockenowi całą historię.

Był dosyć uprzejmy, bo starał się nie zranić moich uczuć.

– Nikt cię nie wini, Mitch – powiedział uprzejmie. – Przeżyłeś wielki stres. To się zdarza nam wszystkim, taka walka z brutalną rzeczywistością. Nie sądz jednak, że jesteś sam, mój chłopcze. Dopomożemy ci w tym. Nadchodzi czas, gdy każdy potrzebuje... pomocy. Mój psychoanalityk...

Obawiam się, że krzyknąłem wtedy na niego.

– Dobrze już, dobrze – powiedział, wciąż uprzejmy i wyrozumiały niczym ojciec. – To tylko tak dla zabicia czasu... Chociaż laicy nie powinni się tym parać, ale sądzę, że się trochę na tym znam i mogę na ten temat obiektywnie dyskutować... pozwól mi spróbować sobie wytłumaczyć...

– Wytłumaczyć, co? Może to? – krzyknąłem, podtykając mu pod nos swój wytatuowany, zmieniony numer socjalny.

– Jak sobie życzysz – powiedział spokojnie. – To jest część tej całej twojej sprawy – nazwij to urlopem od rzeczywistości. Byłeś na tak zwanym pijaństwie psychologicznym. Uciekłeś sam od siebie. Przyjąłeś nową postać i wybrałeś skrajnie różną od twojej normalnej, zapracowanej, niezwykle zdolnej jaźni. Wybrałeś leniwe, łatwe życie zbieracza szumowin, snującego się w tropikalnym słońcu...

Wówczas zorientowałem się kto stracił kontakt z rzeczywistością.

– Twoje straszne oskarżenia rzucane pod adresem Tauntona idealnie pasują do osoby z pewną znajomością naszych podświadomych ciągót. Ucieszyłem się słysząc cię mówiącego o nich. Oznaczają bowiem, że wracasz do swojej rzeczywistej jaźni. Co jest twoim głównym problemem – głównym problemem rzeczywistego Mitchella Courtenaya, redaktora? Pokonać opozycję. Zmiażdżyć konkurencyjne firmy i zniszczyć je. Twoja fantazja dotycząca Tauntona jest, ach, dla poinformowanej osoby wskazówką, że walczysz, by być prawdziwym Mitchellem Courtenayem, redaktorem. Uwikłana w symbole, zagłuszona przez ambiwalentne postawy, symbolika Tauntona pozostaje dla mnie jasna. Twoje wyimaginowane spotkanie z dziewczyną zwaną „Hedy” jest podręcznikowym przykładem.

– Do diabła – zawołałem – spójrz na moją szczękę. Widzisz tę dziurę? Jeszcze mnie boli.

Uśmiechnął się tylko i powiedział:

– Należy się cieszyć, że nie zrobiłeś sobie czegoś gorszego, Mitch. Twoje id, rozumiesz...

– A co z Kathy? – zapytałem ochryłym głosem. – Co z tymi wszystkimi danymi dotyczącymi Consies, które ci podałem? Grypsy, znaki rozpoznawcze, hasła, miejsca spotkań?

– Mitch – powiedział poważnie – jak już powiedziałem, nie powinienem się wtrącać, ale one w rzeczywistości nie istnieją. Wrogość do seksu rozpetana przez rozdwojenie twojej osobowości na „Groby” i Courtenay spowodowała, że swoją żonę identyfikowałeś z obiektem nienawiści i strachu, czyli z Consies. A „Groby” tak ostrożnie zaaranżował sprawy, że twoje dane o Consies są niesprawdzalne i niepodważalne. „Groby” zaaranżował dla ciebie – prawdziwego ciebie – powstrzymanie się od podania wymyślonych danych na temat siatki, dopóki Consies nie będą mogli ich wszystkich zmienić. „Groby” działał w obronie własnej. Courtenay powracał, a on o tym wiedział, „Groby” czuł się wyżęty. Bardzo dobrze, ale on poczeka na stosowną chwilę. Tak zaaranżował wszystko, że będzie mógł powrócić...

– Ja nie jestem obłąkany.

– Mój psychoanalityk... Musisz mi uwierzyć... Te konflikty podświadomości...

– Mówię ci, że Taunton ma zabójców!

– Czy wiesz, co mnie przekonało, Mitch?

– Co? – zapytałem kwaśno.

– Wyobrazenie sobie, komórki Consies umiejscowionej wewnątrz Chicken Little. Ta symbolika – zarumienił się lekko – jest całkiem niedwuznaczna.

Poddałem się z wyjątkiem jednego punktu:

– Czy ludzie czasami biorą pod uwagę to, co mówią uznani za obłąkanych, panie Schocken?

– Nie jesteś obłąkany, mój chłopcze. Potrzebujesz pomocy, jak wielu z...

– Będę konkretny. Czy ustąpisz mi pod jednym warunkiem?

– Oczywiście – uśmiechnął się.

– Chronić siebie i mnie bardziej niż zwykle. Taunton ma zabójców – w porządku, myślę, lub to Groby myśli, lub jakaś inna cholerna osoba, że Taunton ma zabójców. Jeżeli ustąpisz mi w tym, i będziesz chronił siebie i mnie, to obiecuję, że nie będę zwiślał z sufitu oraz plótł bzdur. Pójdę nawet do twojego psychoanalityka.

– W porządku – uśmiechnął się, ustępując mi.

Biedny, stary Fowler. Któż mógłby go obwiniać. Świat jego własnych marzeń był atakowany przez każde wypowiedziane przeze mnie słowo. Moje opowiadanie było bluźnierstwem przeciwko bożkowi sprzedaży. Nie mógł w nie uwierzyć, a już tym bardziej nie chciał przyjąć do wiadomości, że ja – ten prawdziwy ja – w to wierzyłem. Jak mógł Mitchell Courtenay, redaktor, siedzieć tu i opowiadać mu takie przerażające rzeczy, jak:

Interesy producentów i konsumentów nie są identyczne.

Większość świata jest nieszczęśliwa.

Pracownicy nie znajdują automatycznie pracy, którą potrafią wykonywać najlepiej.

Przedsiębiorcy nie stosują się do twardych, ale uczciwych reguł gry.

Consies są przy zdrowych zmysłach, są inteligentni i dobrze zorganizowani.

To było dla niego gorsze od uderzenia obuchem, lecz Fowler Schocken nie byłby sobą, gdyby nie był elastyczny. Młot uderzył dobrze, ale szkody jakie uczynił były znikome. Istniało wytłumaczenie wszystkiego, a Bóg Sprzedaży nie mógł czynić już nic złego. Dlatego Mitchell Courtenay, redaktor, nie siedział tam i nie mówił mu tych bzdur. Było to nikczemne, niepoahamowane id Mitchella Courtenaya, lub diaboliczny George Groby”, lub ktoś inny – ktokolwiek, tylko nie Courtenay.

Te co powiedziałem o sobie mogło zachwycić Fowlera Schockena i jego psychoanalitka. Zacząłem toczyć dialog sam ze sobą.

– Wiesz, Mitch, zaczynasz mówić jak Consie.

– Mówię – odpowiedziałem – więc nim jestem. To straszne.

– Nie chcę o tym słyszeć. Chyba...

– Tak – powiedziałem z namysłem. – Chyba...

Aksjomatem mojego zawodu jest to, że niektóre rzeczy i sprawy są niewidoczne, chyba, że tło jest kontrastowe. Jak, na przykład, opinia i postawa Fowlera Schockena.

„Ustąp mi, Fowler – pomyślałem. – Chroni mnie. Nie chcę nigdy więcej popaść w taką ambiwalentną fantazję, jak Hedy. Symbolika może była i oczywista, ale ona rzeczywiście zraniła mnie swoją symboliczną małą igłą.

Rozdział 15

Runsteda nie było, gdy nasza mała procesja przybyła najwyższe piętra wieżowca Schockena. Składali się na nią Fowler, ja, Jack O’Shea, sekretarki – i uzbrojeni strażnicy, których się domagałem.

Sekretarka Runsteda powiedziała, że jest aż na dole, w hallu, ale czekaliśmy bez skutku na jego pojawienie. Po godzinie podsunąłem myśl, że on już nie wróci, po następnej godzinie ktoś powiedział, że dziesiątki pięter niżej, na podium wieżowca zostało znalezione jakieś roztrzaskane ciało, trudne do zidentyfikowania.

Sekretarka szlochając histerycznie otworzyła biurko Matta Runsteda. W końcu

znaleźliśmy w nim dziennik zawierający zapiski z ostatnich kilku miesięcy życia Runsteda. Pomiędzy notatkami dotyczącymi jego pracy, miłostek, szczegółami dotyczącymi przyszłych kampanii, uwagami o ustronnych restauracjach i tym podobnych rzeczach, znajdowały się następujące zapiski:

„Był tu znowu wczoraj wieczorem. Powiedział, by uderzyć silniej, aż do wstrząsu. Przeraza mnie... Mówi, że w kampanii Starrzeliusa potrzebna była odwaga. Przeraza mnie to cholernie. Rozumiem, że zawsze przerazał wszystkich ludzi wtedy kiedy żył... G.W.H. znowu wczoraj wieczorem... Zobaczyłem go po raz pierwszy za dnia. Skoczył i krzyczał, ale nikt go nie zauważył. Chcę, by sobie poszedł... Zęby G.W.H. wydawały się dzisiaj większe, ostrzejsze. Potrzebuję pomocy... Powiedział, że się nie nadaję, przynoszę wstyd profesji...”

Dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że tajemniczy „on” był duchem George’a Washingtona Hilla, ojca naszego zawodu, odkrywcy olśniewających reklamówek, wartości szoku i Bóg wie, czego jeszcze.

– Biedny facet – powiedział Schocken, bledy jak ściana. – Biedny facet. Gdybym tylko wiedział. Gdyby tylko przyszedł z awansu do mnie.

Ostatni wpis był niestaranny:

„Powiedział mi, że się nie nadaję. Ja sam wiem, że się nie nadaję. Jestem niegodny naszej profesji. Wszyscy o tym wiedzą. Mogę wyczytać to w ich twarzach. Każdy to wie. Powiedział im. Przeklęty. Przeklęty on sam i jego zęby. Przeklęty...”

– Biedny, biedny facet – powtórzył Schocken niemal szlochając. Zwrócił się do mnie i powiedział – Widzisz? Takie są prawdziwe niebezpieczeństwa naszego zawodu...

Oczywiście, że widziałem. Sfabrykowany dziennik i nie dająca się zidentyfikować plama z protoplazmy, tam na dole, na ulicy. Mogło to równie dobrze być 180 funtów protoplazmy z Chicken Little. Ale na próżno szczybiłbym sobie język. Skinałem głowę ze śmiertelną powagą, przyjmując tę oficjalną wersję.

Powróciłem do pracy na czele Projektu Wenus. Codziennie widywałem się z psychoanalitykiem Fowlera. I trzymałem przy sobie uzbrojonych strażników. Podczas łzawych sesji stary człowiek mawiał;

– Musisz porzucić ten symbol. Tylko on stoi teraz między tobą a rzeczywistością, Mitch. Doktor Lawler mówi mi...

Doktor Lawler mówił Fowlerowi to, co ja mówiłem doktorowi Lawlerowi. A był to powolny postęp mojej „integracji”. Wynająłem studenta medycyny, który wynajdywał moje przeszłe urazy przy założeniu, że moje życie jako konsumenta było psychotyczną ucieczką. Nawet mu się to udawało. Choć protestowałem przeciwko kilku rzeczom nie licującym z moją godnością, i tak dla doktora Lawlera zostawało na tyle dużo zmyślonych rewelacji, że co chwila upuszczał swoje pióro. Przekopywaliśmy się przez całe moje życie, nigdy nie byłem bardziej znudzony.

Z jednej jedynej rzeczy, przy której obstawałem, nie mogłem zrezygnować. Życie moje i

Fowlera Schockena było w niebezpieczeństwie.

Fowler i ja zbliżyliśmy się do siebie coraz bardziej – zjawisko, które zaobserwowałem już wcześniej. Myślał, że mnie nawrócił. Wstydzilem się, że go naciagam. Był dla mnie bardzo dobry. Lecz była to sprawa życia lub śmierci.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Fowler Schocken łagodnie powiedział:

– Mitch, mam tego dosyć. Nie proszę, byś ty mógł się obyć bez muru oddzielającego cię od rzeczywistości. Ale ja mam zamiar odprawić moich strażników.

– Zabiją cię, Fowler – wybuchnąłem. Łagodnie potrząsnął głową.

– Widzisz, ja się nie boję.

Wszelkie próby przekonania go były bezsensowne. Kierując się zdrowymi zasadami psychologicznymi, wkrótce zwrócił się do porucznika swego oddziału:

– Nie będę już was więcej potrzebował. Proszę stawić się ze swoimi ludźmi do nowego przydziału w Syndykacie Ochrony Zakładów. Dziękuję wam bardzo za lojalność i za szczególną troskę podczas ostatnich tygodni.

Porucznik zasalutował, ale zarówno on, jak i jego ludzie, nie wyglądali na zadowolonych. Przechodzili z łatwej pracy w kierownictwie do patrolowania korytarzy, służby nocnej, ochrony poczty lub służby gończej w podłych godzinach. Odmaszerowali, a ja wiedziałem, że godziny Fowlera Schockena są policzone.

Tego wieczoru został uduszony w drodze do domu przez kogoś, kto ogłuszył jego szofera i sam zasiadł za kierownicą Cadillaca. Zabójca, najwidoczniej człowiek umyślowo niedorozwinięty stawiał opór podczas aresztowania i chichotał, gdy bito go do śmierci. Jego tatuaż był zdarty, nie można go było w ogóle zidentyfikować.

Można sobie łatwo wyobrazić, ile roboty było do zrobienia następnego dnia w biurze. Odbyło się wspominkowe posiedzenie Rady, na którym uchwalono rezolucję mówiącą, że to wielka hańba, której nasza wspiana profesja nigdy nie zapomni i tym podobne. Inne agencje, nie wyłączając Tauntona, przysłały depesze kondolencyjne. Wyglądałem zapewne dziwnie, kiedy zmiąłem depeszę Tauntona w dłoni i rzuciłem kilka przekleństw. Rywalizacja handlowa zaszła już za daleko. Wszyscy jesteście oczywiście dżentelmenami. Twarda, czysta walka i niech wygra najlepsza agencja.

Ale żaden z członków rady nie zaprzętał tym sobie głowy. Wszyscy myśleli tylko o jednym: pakiecie udziałów Schockena.

Kapitał Zrzeszenia Fowlera Schockena wynosił 7×10^{12} megadolarów przy parytecie akcji 0,1, co dawało 7×10^{13} akcji. Z tego 50%+1 mogło być nabyte tylko przez pracowników legitymujących się kontraktami klasy AAAA lub lepszymi – z grubsza mówiąc klasa gwiazdowa. Pozostałe akcje były sprzedawane według reguł giełdowych na wolnym rynku w celu nadania Zrzeszenia Fowler Schockena pozorowi interesu społecznego. Zwyczajowo, sam Fowler Schocken, dokonując zawitych operacji giełdowych, skwapliwie je skupował przez podstawione osoby.

Na swoje nazwisko miał zapisane skromne $0,75 \times 10^{13}$ akcji, a resztę rozdzielał hojną ręką. Ja sam, będąc stosunkowo młodym człowiekiem, pomimo pełnienia prawdopodobnie drugiej funkcji w hierarchii naszej organizacji, zebrałem tytułem nagród i premii motywacyjnych około $0,857 \times 10^{13}$ akcji. Człowiekiem numer jeden przy stole prezydiálním był prawdopodobnie Harvey Bruner. Był najstarszym współtowarzyszem Schockena oraz zgromadził przez te lata $0,83 \times 10^{13}$ akcji (co oficjalnie dawało mu przewagę nad Fowlerem – lecz oczywiście wiedział, że przy ewentualnej próbie sił, te pozostałe $3,5 \times 10^{13} + 1$ akcji, wjechałoby całymi ciężarówkami pośredników, którzy poparliby Fowlera w zagadkowej jednomyślności. Poza tym był lojalny). Pewnie myślał, że został prawowitym następcą i co poniektórzy z bardziej naiwnych ludzi z Wydziału Badań i Rozwoju już mu się zaczęli podlizywać, okazując tym samym swoją głupotę. Bruner był bowiem całkowicie pozbawionym twórczych idei, uczciwym wołem roboczym. Pod jego ciężką ręką taka delikatna konstrukcja, jak Zrzeszenie Fowlera Schockena rozpadłaby się w ciągu roku.

Gdybym miał się zakładać, dałbym szansę Sillery'emu, szefowi Działu Mediów, a dalej mnie samemu, choć tutaj szansa była nikła. Tak rozumowała większość, z wyjątkiem rozwścieczonego Brunera i kilku naiwniaków. Można było powiedzieć, że Sillery był otoczony przez mały orszak, okazujący mu mnóstwo szacunku, który bez wątpienia pamiętał takie uwagi Fowlera, jak:

– Media, panowie, są podstawą naszego zawodu!

Albo:

– Media dla umysłu, teksty dla talentu.

Właściwie siedziałem sam przy końcu stołu, tak jakbym był trędowny, wraz z moimi strażnikami, śledzącymi w milczeniu wszystko co się działo. Sillery spojrzał raz ma nich i w jego twarzy mogłem czytać jak w książce:

– Tego już za wiele, po pierwsze skończymy z tym ekscentrykiem.

To, na co czekaliśmy nastąpiło niebawem.

– Panowie z Amerykańskiego Towarzystwa Arbitrażu, Sekcji Spraw Spadkowych są już tutaj.

Zgodnie z tradycją ubrani byli w stylu pogrzebowym Dzięki stępienemu lub nierozwiniętemu poczuciu humoru nie chichotali, gdy Sillery przywitał ich małą wyważoną mową powitalną. Mówił o ich smutnej powinności i o tym jak bardzo życzylibyśmy się spotkać w szczęśliwych okolicznościach i tak dalej.

Mamrocząc pospiesznie odczytali ostatnią wolę, a kopię puścili w obieg. W części, którą pierwszy przeczytałem, było napisane:

– Mojemu drogiemu przyjacielowi oraz współpracownikowi Mitchellowi Courtenayowi zapisuję w testamencie i przekazuję inkrustowany kością słoniową dębowy pierścień (numer inwentarzowy 56987) i moje siedemdziesiąt pięć procent udziałów Kapitału Akcyjnego w Instytucie Rozpowszechniania Wiedzy Psychoanalitycznej, Nowojorskiej Korporacji

Nierentownej, z zaleceniem, by poświęcał swój wolny czas na aktywne uczestnictwo w tej organizacji i na wspomnianie jego szlachetnego celu.

– Tak, Mitch – powiedziałem do siebie. – Jesteś skończony. – Cisnąłem kopię na stół i odchyliłem się do tyłu, by dokonać szybkiego przeglądu moich płynnych aktywów. Z grubsza nie wyglądało to najlepiej.

– Ciężkie czasy, panie Courtenay – powiedział do mnie odważny i sympatyczny pracownik badawczy, którego ledwie pamiętałem. – Pan Sillery wydaje się być za to zadowolony z siebie.

Spojrzałem na zapis dla Sillery’ego – paragraf pierwszy. Oczywiście dostał osobiste udziały Fowlera i duże części kapitału akcyjnego w Syndykacie Lokat Kierowniczych, Asekuracyjnej Korporacji Akcyjnej i kilku mniejszych.

Naukowiec przejrzał moją kopię testamentu.

– Za pozwoleniem, panie Courtenay – powiedział do mnie – starszy pan mógł potraktować pana lepiej. Nigdy nie słyszałem o czymś takim, a znam się całkiem nieźle na psychoanalizie.

Wydawało mi się, że słyszę Fowlera chichoczącego gdzieś w pobliżu. Wyprostowałem się na krześle, jakbym kij połknął.

Sillery chrząknął, by przeczyścić sobie gardło i na chwilę w sali Rady zapadła cisza.

Przemówił wielki człowiek.

– Jest tu odrobinę za tłoczno, panowie. Chciałbym, by ktoś postawił wniosek, aby wszystkie osoby nie będące członkami Rady zostały poproszone o wyjście...

Wstałem i powiedziałem. – Oszczędzę ci kłopotu, Sillery. Chodźcie, chłopcy. Sillery, może jeszcze wróć. – Ja i moi strażnicy wyszliśmy.

Instytut Rozpowszechniania Wiedzy Psychoanalitycznej, Nowojorska Korporacja Nierentowna okazała się być nędznym trzypokojowym apartamentem w centrum Yankers. Urzędowała w nim okropna stara panna, wystukująca jakiś tekst na staromodnej maszynie. Było w tym coś z klimatów Dickensa. Półki zawierające drukowane broszury upstrzone były stadami much.

– Jestem z Zrzeszenia Fowlera Schockena – powiedziałem do niej. Podskoczyła na krześle.

– Przepraszam, nie zauważyłam pana. Jak się miewa pan Schocken?

Opowiedziałem jej, jak się miewa na co ona zaczęła beczeć. Był takim dobrym człowiekiem, łożącym tak hojnie na sprawę. Co na Boga pocznie teraz ona i jej biedny brat? Biedny pan Schocken, biedna ona i biedny brat!

– Jeszcze nie wszystko stracone – powiedziałem jej – kto jest tu szefem? – Pociągając nosem powiedziała, że brat, który siedzi w drugim pokoju.

– Proszę, niech mu to pan przekaże delikatnie, panie Courtenay. On jest taki delikatny i wrażliwy...

Zgodziłem się na to i wszedłem. Brat chrapał, pijany i rozwalony na swym biurku. Potrząsałem nim aż się obudził i spojrział na mnie mętym i cynicznym wzrokiem.

– Czeeeego chceesz?

– Przyszedłem z Zrzeszenia Fowler Schockena. Chcę przejrzeć wasze księgi.

Potrząsnął głową z naciskiem.

– Nic z tego. Tylko starszy pan osobiście dostaje księgi do wglądu.

– On nie żyje – powiedziałem mu. – Tu jest jego testament. – Pokazałem mu odpowiedni paragraf i moją legitymację.

– Dobrze – powiedział. – Skończyła się wesoła jazda. Czy zatrzyma nas pan? Bo widzi pan, co tu jest napisane, panie Courtenay? On gorąco poleca pana...

– Widzę – powiedziałem. – Księgi proszę.

Wydostał je z dziwnej krypty za zwykłymi drzwiami.

Zaledwie trzy godziny ślęczenia nad nimi przekonały mnie, że...Instytut istniał jedynie po to, aby kontrolować pięćdziesiąt sześć procent kapitału akcyjnego grupy Korporacji Redukcji Fosforytów w Newarku zgodnie z życzeniami Fowlera Schockena.

Wszedłem na korytarz i powiedziałem do moich strażników.

– Chodźcie, chłopcy. Jedziemy do Newarku.

Nie będę zanudzał szczegółami. Przez trzy kolejne etapy mojego śledztwa byłem na jednym tropie, który potem się rozdwajał. Jeden ślad kończył się dwa etapy dalej we Frankfort Used Machine Tod Brokerage Company, która kontrolowała trzydzieści dwa procenty kapitału akcyjnego wystawionego przez Zrzeszenie Fowlera Schockena do „publicznej sprzedaży”. Drugi ślad rozwidłał się jeden etap dalej i kończył na United Concessions Corp. oraz Wankegan College of Dentistry and Orthodontia, które kontrolowały resztę.

Dość, że w dwa tygodnie później podczas porannego posiedzenia Rady. Wszedłem wraz z moimi strażnikami do sali obrad.

Przewodniczył Sillery. Wyglądał na zmizerowanego i wymęczzonego, jakby przez ostatnie tygodnie pracował noc w noc, gorączkowo czegoś szukając.

– Courtenay – warknął. – Myślałem, że zrozumiałeś, że masz zostawić swój regiment na zewnątrz.

Skiąłem głową szacownemu i milczącemu Harreyowi Brunerowi, którego uprzednio wtajemniczyłem w całość sprawy. Lojalny względem Schockena, lojalny względem mnie, odezwał się basowym głosem.

– Panie przewodniczący, wnoszę, by członkom Rady wolno było wprowadzać na salę obrad przydzielony im personel kompanii ochrony zakładowej, w liczbie uznanej przez nich za niezbędną do ochrony osobistej.

– Mam też drugi wniosek, panie przewodniczący – powiedziałem. – Przynieście je chłopcy, dobrze?

Moi strażnicy uśmiechając się zaczęli wciągać skrzynie pełne moich pełnomocnictw.

Oczy wychodziły z orbit, a szczęki opadały z głuchym łoskotem, podczas gdy stos rósł. Dużo czasu zajęło policzenie i zalegalizowanie wszystkiego. Ostatecznie wynik był następujący: za $5,73 \times 10^{13}$ akcji, przeciw $1,27 \times 10^{13}$. Wszystkie głosy przeciw były Sillery'ego i tylko Sillery'ego. Nie było wstrzymujących się. Pozostali przeskoczyli na moją stronę, jakby im coś przypalał pięty.

Lojalny stary Harvey wysunął propozycję, bym został przewodniczącym zebrania, co zaakceptowano jednogłośnie. Następnie zaproponował, żeby Sillery'ego przenieść na emeryturę, a jego udział w pakiecie kontrolnym nabyć według parytetu i złożyć jako fundusz premii firmy. Przegłosowano to jednogłośnie. Następnie – trzaśnięcie batem po to, by ich właściwie ustawić – wysunął wniosek, by niejaki Thomas Heartherby, młody człowiek z Wydziału Sztuki, który skandalicznie podlizywał się Sillery'emu, został zdegradowany z poziomu Rady i bez kompensaty pozbawiony swojego małego pakietu akcji kontrolnych. Przegłosowano jednogłośnie. Heatherby nawet nie śmiał się uskarżać. Pół bochenka jest lepsze niż nic, mógł sobie powiedzieć, tłumiąc gniew.

Załatwione. Byłem panem Zrzeszenia Fowlera Schockena. W międzyczasie zaś nauczyłem się pogardzać wszystkim czym było.

Rozdział 16

– Wiadomość z ostatniej chwili, panie Courtenay – odezwał się głos mojej sekretarki. Nacisnąłem przycisk komunikacyjny.

– Właśnie zaaresztowano Consie w Albany, zadenuncjowanego przez sąsiada. Czy mam pana połączyć?

– Do cholery, tak – wybuchnąłem. – Ile razy mam pani powtarzać regulamin? Oczywiście, niech mnie pani połączy. Dlaczego do diabła nie miałyby pani tego zrobić.

– Przepraszam, panie Courtenay – zadrżała. – Myślałam, że to niezbyt ważne...

– Niech pani przestanie myśleć. Niech pani zorganizuje transport. – Może nie powinienem być dla niej taki obcesowy, ale chciałem odnaleźć Kathy, nawet gdybym musiał w tym celu przeszukać każdą komórkę Consies w tym kraju. Spowodowałem, że Kathy musiała się ukrywać – ze strachu, że ją wydam – a teraz chciałem, by wróciła.

Godzinę później byłem w kwaterze głównej Centralnej Agencji Detektywistycznej. Była to duża brygada, która miała mnóstwo kontaktów w okolicy, nie wyłączając Albany. Sam ich przewodniczący w pełnej gali przywitał mnie i moich chłopców już przy drzwiach windy.

– To zaszczyt – mamrotał. – Wielki, wielki zaszczyt, panie Courtenay, czym mogę panu służyć?

– Moja sekretarka zakomunikowała wam, żebyście nie zabierali się do roboty nad waszym podejrzanym Consie, dopóki nie przyjadę? Czy tak zrobiliście?

– Oczywiście, że tak, panie Courtenay. Niektórzy z moich pracowników mogli go co prawda nieco poturbować, lecz nadal całkiem nieźle wygląda.

– Chcę go natychmiast zobaczyć.

Prowadził nas z niepokojem. Miał nadzieję zamienić ze mną parę słów, które mogłyby stać się podstawą stosunków klienckich z Zrzeszeniem Fowlera Schockena, ale bał się odezwać.

Podejrzany siedział na stołku przed zwykłym reflektorem. Był konsumentem – urzędnikiem w wieku mniej więcej trzydziestu lat. Miał kilka siniaków na twarzy.

– Zgaście to – powiedziałem.

Człowiek z kwadratową twarzą odezwał się:

– Ale my zawsze... – Jeden z moich strażników bez słowa odepchnął go na bok i wyłączył reflektor.

– W porządku, Lombardo – pośpiesznie powiedział prezes. – Mamy współpracować z tymi dżentelmenami,

– Krzesło – powiedziałem i usiadłem na wprost podejrzanego. Odezwałem się.

– Nazywam się Courtenay. A ty?

Popatrzył na mnie rozszerzającymi się ze zdziwienia źrenicami. – Fillmore – powiedział wyraźnie. – August Fillmore. Czy może mi pan powiedzieć, o co tu chodzi.

– Jesteś podejrzanym o przynależność do ruchu Consie.

Rozległ się pomruk wszystkich obecnych w pokoju agentów. Łamałem najbardziej elementarną zasadę śledczą, informując oskarżonego o naturze popełnionej przez niego zbrodni. Wiedziałem o tym dobrze, lecz w ogóle nie dbałem o konsekwencje.

– To śmiechu warte – parsknął Fillmore. – Jestem szanowanym, żonatym mężczyzną z ośmiorgiem dzieci następnym w drodze. Ludzie, kto na Boga powiedział wam takie bzdury?

– Powiedz mu kto – powiedziałem do prezesa. Utkwił we mnie wybałuszone oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał.

– Panie Courtenay – powiedział w końcu. – Z całym szacunkiem, nie mogę za to wziąć odpowiedzialności. To całkiem niesłychane. Kodeks respektuje prawa informatorów...

– Ja biorę za to odpowiedzialność. Czy chce pan, bym uczynił to na piśmie?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Proszę panie Courtenay. Przypuśćmy, że ja powiem panu nazwisko informatora rozumiejąc, że zna pan prawo, i że jest pan osobą odpowiedzialną, a następnie opuścę pokój?

– Mnie jest wszystko jedno, jak pan to zrobi.

Uśmiechnął się łagodnie i szepnął mi do ucha

– Jakaś pani Worley. Te dwie rodziny mieszkają w jednym pokoju. Proszę, niech pan będzie ostrożny, panie Courtenay.

– Dzięki – powiedziałem. Opuścił oczy jak jakaś skromnisia i nerwowo wycofał się ze swoimi pracownikami.

– No więc, Fillmore – odezwałem się do podejrzanego, – On mówi, że to pani Worley.

Gość zaczął przeklinać. Przerwałem mu.

– Jestem człowiekiem, który nie ma za dużo czasu. Ale wiesz oczywiście, że jesteś ugotowany. Wiesz co Vogt mówi na temat konserwatyzmu?

Najwidoczniej nazwisko to nic mu nie mówiło, bo zapytał szaleńczo

– Kto to jest?

– Nieważne. Zmieńmy temat. Mam mnóstwo pieniędzy. Mogę wypłacać hojną pensję twojej rodzinie, kiedy ciebie nie będzie, jeśli zgodzisz się przyznać, że należysz do Consies.

Przez kilka chwil myślał intensywnie, w końcu powiedział:

– Oczywiście, że jestem Consie. I co z tego. Winny lub niewinny. Jestem ugotowany, więc dlaczego nie powiedzieć tak?

– Jeśli jesteś takim zagorzałym Consie, to może zacytujesz mi kilka wyjątków z Osborne'a?

Nigdy nie słyszał o żadnym Osbornie, więc zaczął zmyślać:

– No więc, jeden tak się nazywa. Pierwszym obowiązkiem Consie, uch, jest... jest przygotowanie się do powszechnego powstania... Nie pamiętam reszty, ale tak to się zaczyna.

– Całkiem niezłe – powiedziałem mu. – A teraz powiedz o spotkaniach w waszej komórce. Kim oni wszyscy są?

– Nie znam ich nazwisk – powiedział bardziej pewnie. – Nazywamy siebie numerami. Jest tam ciemnowłosey facet, który jest szefem i...

Było to znakomite przedstawienie. Nie miało oczywiście nic wspólnego z legendarnymi bohaterami konserwatystów, Vogtem i Osbornem, których książki obowiązkowo były czytane we wszystkich komórkach – o ile były dostępne ich kopie.

Wyszliśmy. Do prezesa, krążącego niecierpliwie po korytarzu, powiedziałem:

– Nie sądzę, żeby on był Consie.

Ja byłem prezydentem Zrzeszenia Fowler Schockena, a on był tylko prezesem nędznej brygady policji, ale tego było za wiele. Wyprostował się i powiedział z godnością:

– My zarządzamy sprawiedliwością, panie Courtenay. A kanoniczna zasada starożytnego prawa stanowi: „Lepiej jeśli tysiąc niewinnych cierpi niesprawiedliwość, niżby pozwolić uciec jednemu winnemu”.

– Znam tę zasadę – powiedziałem. – Do widzenia.

Kapral z mojej ochrony podbiegł, gdy usłyszał trzask

priorytetowego sygnału w swojej słuchawce i podał mi telefon. Była to moja sekretarka z

Wieżowca Schockena, informująca o nowym aresztowaniu, tym razem w Pile City za przyłądkiem Cod.

Polecieliśmy do Pile City, które tego dnia kołysało się na wezbranym morzu. Nienawidziłem miast typu Pile ze względu na fakt, że cierpię na chorobę morską.

Podejrzany Consie był zawodowym kryminalistą. Próbował obrabować sklep jubilerski, zabierając tacę pełną dębowych i mahoniowych szpilek. Pozostawił za sobą ponury list o zemście Consie, w którym ostrzegał przed nadchodzącą burzą, jaką będzie przewrót dokonany przez Consie i zabójstwo wszystkich bogaczy. List miał na celu skierowanie pościgu w innym kierunku. Jednym słowem kolejny fałszywy krok.

Miasto to było chronione przez agencję Burnsa. Z miejscowym szefem odbyłem małą pogawędkę. Na początku przyznał, że większość aresztowanych podczas ostatnich miesięcy Consie była ludźmi tego pokroju, a potem niechętnie potwierdził, że wszyscy ostatnio aresztowani Consie byli tacy sami. Przedtem rozpracowywali autentyczne komórki terrorystów, mniej więcej jedną na tydzień. Sądził, że być może było to zjawisko przejściowe.

Polecieliśmy stamtąd do Nowego Jorku, gdzie złapano jeszcze innego spiskowca. Słuchałem jego patetycznych bzdur przez kilka minut. Zajmował się historią Consie i mógł cytować Vogta i Osborne'a strona po stronie. Stwierdził również, że Bóg go wybrał, by oczyścić Matkę Ziemię z nicponi. Powiedział oczywiście, że był w zawodowej organizacji Consie, ale że prędzej umrze, niż wyda jakikolwiek z jej sekretów. Wiedziałem, że mówił prawdę, gdyż nie znał żadnych. Consie nie zaakceptowałyby nikogo tak niezrównoważonego, nawet gdyby liczyli tylko trzech członków.

O zachodzie słońca wróciliśmy do Wieżowca Schockena. Zmienili się moi strażnicy. Był to ohydny dzień. Dokładnie taki sam, jak wszystkie, które spędziłem od czasu odziedziczenia agencji.

W planach było posiedzenie. Nie chciałem tego przyjąć do wiadomości, ale zaczęło męczyć mnie sumienie, kiedy pomyślałem o wierze jaką pokładał we mnie Fowler Schocken, gdy uczynił mnie swoim następcą. Zanim zawlokłem się do sali obrad Rady, skontaktowałem się z przedstawicielem personelu specjalnego, którego przydzieliłem do sekcji wywiadu przemysłowego,

– Nic, proszę pana – usłyszałem. – Nic nowego jeśli chodzi o pana czy doktor Nevin. Ślad, który pochodził od człowieka z Chlorelli urwał się. Czy mamy nadal próbować...?

– Próbujcie – powiedziałem. – Jeżeli będziecie potrzebowali większych kredytów lub agentów, nie wahajcie się. Zróbcie dobrą robotę.

Przysiągł lojalność i odwiesił słuchawkę, myśląc prawdopodobnie, że jego szef był starym głupcem tropiącym żonę – nawet nie poślubioną na stałe – która postanowiła zniknąć z jego życia. Jak dawał sobie radę z innymi, których także kazałem mu śledzić, nie wiedziałem. Wszystko czego się dowiedziałem, to że zapadli się pod ziemię. Wszystkie moje nieliczne kontakty z Consie nawiązane w Kostaryce, w kanałach nowojorskich i na Księżycu.

Kathy nigdy nie wróciła do swojego mieszkania ani do szpitala, Warren Astron nigdy nie powrócił do swej frajerskiej pułapki na ulicy Zakupowej Pierwszej, moi towarzysze z komórki w Chlorelli znikli w dżungli – i tak dalej, na każdej linii frontu.

Posiedzenie Rady.

– Panowie, przepraszam za spóźnienie. Obejdziemy się bez uwag wstępnych. Charlie, jak Wydział Badań i Rozwoju radzi sobie z problemem Wenus?

Wstał.

– Panie Courtenay, panowie, w moim skromnym mniemaniu uważam, że mogę powiedzieć, nieoficjalnie, że wydział, prze do przodu, i że moi chłopcy są chlubą Zrzeszenia Fowlera Schockena. Właśnie rozwiązaliśmy problem efektu cieplarnianego. Ilościowo. Eksperymenty potwierdziły teoretyczne przewidywania naszego wspaniałego oddziału chemii fizycznej i termodynamiki. Płaszcz z dwutlenku węgla na wysokości czterdziestu tysięcy stóp nad Wenus, gruby na około 0,05 stopy będzie sam się podtrzymywał oraz sam regulował, co spowoduje stałe zmniejszanie się temperatury powierzchni o jakieś pięć stopni rocznie, aż do ustalenia się jej na poziomie 20°C. Aktualnie prowadzimy badania, w jaki sposób można uzyskać tę olbrzymią ilość gazu i wyrzucić ją z dużą szybkością do stratosfery Wenus. Mówiąc ogólnie, możemy odkryć tam naturalne źródła dwutlenku węgla, ale także wytworzyć go lub dokonać obu tych rzeczy równocześnie. Powiedziałbym, że najprawdopodobniej znajdziemy go na miejscu. Produktem powierzchniowej erupcji Wenus jest ciekły amoniak, przedostający się przez porowate skały do miękkich, głębiej położonych formacji. Jesteśmy wszak pewni, że wierząc odpowiednio głęboko dotrze do znacznych pokładów ciekłego dwutlenku węgla...

– Jak bardzo pewni? – zapytałem.

– Całkiem pewni, panie Courtenay – podkreślił, z trudem tłumiąc ten lekko zarozumiały uśmiezek, jakim obdarzają nas naukowcy. – Analiza fazowa raportów O’Shea...

Znowu mu przerwałem.

– Czy pojechałby pan na Wenus powodowany tą pewnością, zakładając, że pozostałe czynniki się nie zmieniają?

– Oczywiście – powiedział nieco urażony. – Czy mam wejść w techniczne szczegóły?

– Nie, dziękuję Charlie. Kontynuuj...

– Zajmujemy się problemem efektu cieplarnianego w dwóch aspektach. Przygotowujemy mapę wierceń o największym prawdopodobieństwie występowania złóż oraz projektujemy urządzenie do wykonywania bez dozoru ludzi głębokich odwiertów. Moje wytyczne projektowe to tani koszt, własne zasilanie oraz zdalne sterowanie. Sądzę, że to wystarczy?

– Jak najbardziej. Dziękuję, Charlie. Chociaż jest jedna sprawa. Jeżeli ten materiał będzie tam i to w obfitości, to rysuje się ewentualny problem. Jeżeli będzie występował go za dużo i będzie łatwy do wydobycia, to Wenus stanie się eksporterem ciekłego dwutlenku węgla – czego zdecydowanie nie chcemy. Związek ten mamy tutaj w dostatecznej ilości i nie ma

potrzeby sprzedawać go po cenie niższej niż robią to producenci na Ziemi. Pamiętajmy zawsze, że Wenus ma spłacić się surowcami, których jest niewiele na Ziemi, a nie rywalizować cenami z planetą matką. Żelazo, tak. Azotany, stanowczo tak. Zapłacimy im odpowiednio duże pieniądze za te rzeczy, tak, by mogli ciągle kupować towary z Ziemi, a swoje sprzedawali bez zbytecznych ceregieli po odpowiednio niskiej cenie ziemskim bankierom, towarzystwom ubezpieczeniowym i przedsiębiorcom handlowym. Nigdy nie zapominajmy, że Wenus ma być przez nas eksploatowana, więc nie pozwólmy, by stało się odwrotnie. Charlie, chciałbym, żebyś skontaktował się z wydziałem Kontroli Danych i określił, czy udostępnienie kopalnianych zasobów dwutlenku węgla kiedykolwiek umożliwi dostarczanie go przez Wenus po cenie konkurencyjnej. Jeżeli tak, to wasze obecne plany trzeba będzie zmienić. Wasz gaz na powłokę cieplarnianą będziecie musieli uzyskać w sposób bardziej kosztowny, produkując go.

– Jasne, panie Courtenay – powiedział Charlie, naprędce coś bazgrząc.

– W porządku. Czy ktoś, zanim przejdziemy dalej, ma do powiedzenia coś szczególnie ważnego jeśli chodzi o projekt Wenus?

Bernhard, rewident naszej księgowości podniósł rękę, a ja skinąłem na niego.

– Pytam o pana O’Shea – zagrzmiał. – Płacimy mu nieźle, jako konsultantowi. Rozpytywałem się – i mam nadzieję, że nie jestem osamotniony w osądach, panie Courtenay, ale taki jest mój zawód – rozpytywałem się i twierdzę, że otrzymaliśmy od niego już dokładnie wszystko. Powinienem również nadmienić, że w ciągu ostatnich tygodni zaczął żyć ostro na kredyt. Gdybyśmy zamrozili albo gdybyśmy zerwali z nim nasz kontrakt, to byłby nam winien pieniądze. Jest jeszcze drobnostka, ale wymowny fakt. Dziewczęta w moim wydziale uskarżają się, że je zanudza i molestuje.

Uniosłem brwi.

– Sądzę Ben, że nie zważając na sprawy prestiżowe, powinniśmy go trzymać, pomimo tego, że jego popularność wydaje się przemijać. Porozmawiaj z nim o podwyższeniu kontraktu. A jeśli chodzi o dziewczęta – to dziwię się. Myślałem, że do tej pory nie żaliły się, kiedy przystawiał się do nich.

– Widziałeś go ostatnio? – mruknął Ben. Zdałem sobie sprawę, że nie. Reszta posiedzenia minęła szybko.

Wróciwszy do biura, spytałem moją sekretarkę z nocnej zmiany, czy O’Shea był w budynku i jeśli tak, to poprosiłem ją, by posłała po niego.

Wszedł cuchnąc alkoholem i uskarżając się głośno.

– Do cholery Mitch, jak dosyć to dosyć. Wpadłem tylko, by poderwać jedną z dziewczuch na noc, a ty mnie zgarnąłeś. Czy nie traktujesz tych konsultacji zbyt poważnie? Dostałeś moje nazwisko, czego chcesz więcej?

Wyglądał fatalnie. Wyglądał jak miniatura grubego, rozdrażnionego i zapomnianego Napoleona I z Elby. Lecz po jego przyjsciu przestałem myśleć o czymkolwiek za wyjątkiem

Kathy. Otrząśnięcie się zabrało mi dobrą chwilę.

– No więc? – dopytywał się. – No co się gapisz? Czy niedokładnie się pomalowałem?

Zapach alkoholu otaczał go wkoło, ale coś niecoś przebijało się przez niego: Menage a Deux, perfumy, które wylansowałem dla Kathy i tylko dla niej, gdy byliśmy w Paryżu. Było to coś, co uwielbiała i czasami nadużywała. Słyszałem jak mawiała:

– Nie mogę się im oprzeć, kochanie; są o tyle przyjemniejsze od formaliny i tego czym zazwyczaj pachnę po dniu spędzonym w szpitalu...

– Przepraszam, Jack – powiedziałem spokojnie. – Nie wiedziałem, że jest to twój szalony wieczór. Nie przeszkadzam. Baw się dobrze.

Skrzywił się i wyszedł, prawie kołysząc się na swoich krótkich nogach.

Złapałem słuchawkę i połączyłem się z moim oddziałem specjalnym w Szpiegostwie Przemysłowym.

– Śledźcie Jacka O’Shea – rzuciłem. – Wkrótce wyjdzie z budynku. Jeśli to coś da, ty oraz twoi ludzie dostaniecie awans i premię. Ale niech was Bóg ma w swojej opiece jeśli schrzaniecie robotę.

Rozdział 17

Zrobiłem się taki opryskliwy, że nikt nie śmiał zbliżyć się do mnie. Nic na to nie mogłem poradzić. Żyłem jedną tylko rzeczą: codziennymi raportami dotyczącymi Jacka O’Shea. Cokolwiek, czym próbowałem się zająć, natychmiast mnie nudziło i irytowało.

Po tygodniu miałem już dwadzieścia cztery zespoły agentów śledzących równolegle Jacka O’Shea i ludzi, z którymi rozmawiał. Byli to szefowie kelnerów, jego agenci od spotkań, dziewczyny, stary przyjaciel pilot oblatywacz, który zatrzymał się w Astorii, gliniarz, z którym jednej nocy wdał się w pijacką awanturę – ale czy rzeczywiście był wtedy pijany i czy rzeczywiście była to awantura? – oraz inni nieciekawi ludzie.

Pewnego wieczoru, najzwyczajniej dołączono do akt nowy jego kontakt: kobieta, konsumentka, lat około trzydziestu, wzrostu takiego a takiego, takiej wadze, ruda, koloru oczu nie dostrzeżono, ubrana tanio. Obiekt wszedł do Hash Heaven (restauracja) 1837, po odczekaniu 14 minut na zewnątrz i natychmiast podszedł do stolika zajmowanego przez nowy kontakt, stolika właśnie zwolnionego przez jakieś towarzystwo. Domniemanie: obiekt najpierw zainteresował się kelnerką. Zamówił kotlet mielony, zjadł bardzo lekki posiłek, wymienił kilka słów z nowym kontaktem. Mogli wymienić papiery, ale było to niemożliwe do zaobserwowania z powodu odległości od obserwatora, śledzenie kontaktu przejęła

agentka...

Wiek, wzrost i waga się zgadzały. To mogła być ona. Zatelefonowałem, by powiedzieć:

– Rzućcie się na to. Przesyłajcie mi wszystkie wiadomości, które zdobędziecie. Może dowiedzieć się czegoś więcej o restauracji?

W Szpiegostwie Przemysłowym zaczęto mi z niejakim zażenowaniem wyjaśniać, że zrobią to, jeśli będę nalegał, ale że to nie jest to dobra technika gdyż zazwyczaj śledzona osoba dowiaduje się o tym i...

– Dobrze – powiedziałem. – Działajcie po swojemu.

– Proszę jeszcze chwileczkę zaczekać, panie Courtenay. Nasza dziewczyna właśnie nas poinformowała – nowy kontakt pojechał do domu, do Budynku Tauntona. Zajmuje schody 17-18 na trzydziestym piątym piętrze.

– Co jest na trzydziestym piątym? – zapytałem z ciężkim sercem.

– Dla par.

– Czy ona...?

– Nie jest z nikim związana, panie Courtenay. Nasza dziewczyna udąła, że poszukuje wolnego miejsca. Powiedziano jej, że pani spod 17 trzyma 18 do przyjazdu jej męża, który został wysłany na żniwa.

– O której godzinie zamyka się schody u Tauntona? – spytałem.

– O 22, panie Courtenay. Spojrzałem na zegar na biurku.

– Odwołajcie śledzącego ją agenta. – Na razie to wszystko. Wstałem i powiedziałem do ochrony:

– Wychodzę bez was, panowie. Proszę, zaczekajcie tutaj. Poruczniku, czy mogę pożyczyć pański pistolet?

– Oczywiście, panie Courtenay. – Podał mi rewolwer. Sprawdziłem go i wyszedłem pieszo, sam.

Kiedy opuszczałem hall Wieżowca Schockena, cień jakiegoś młodego człowieka oddzielił się od ściany i zaczął posuwać się za mną. Natknąłem się na niego idąc po opustoszałej ulicy, w ciemnej wąskiej szczelinie między potężnymi budynkami miejskimi, w powietrzu ciężką chmurą wisiał tlenek węgla i smog, lecz miałem na nosie zatyczki przeciwsadzdowe. On ich nie miał. Słyszałem jak charczał za mną, trzymając się w przyzwoitej odległości. Jakaś zakryta taksówka przemknęła obok nas z wykrzywionym i dyszącym ciężko kierowcą, mocno naciskającym na pedały.

Nie oglądając się skręciłem za róg Wieżowca Schockena i momentalnie rozplaszczyłem się na ścianie. Mój cień minął mnie stanął osłupiały wpatrując się w mrok.

Trzasnąłem go w kark ręką pistoletu nagłym, silnym ciosem i odszedłem. Był to prawdopodobnie jeden z moich ludzi, ale nie chciałem, by ktokolwiek szedł za mną.

Do wejścia dla nocnych mieszkańców Budynku Tauntona dotarłem tuż przed zamknięciem. Drzwi za mną zatrzasnęły zamek zegarowy. Była tam mała płatna winda.

Wrzuciłem ćwiartkę dolara, nacisnąłem 35 i zacząłem czytać komunikaty i zarządzenia, podczas gdy skrzypiąc wznosiła się do góry.

„Nocni mieszkańcy są odpowiedzialni za sprząkanie. Zarząd nie ponosi żadnej odpowiedzialności za kradzieże, napady o gwałty”.

„Zwracamy uwagę nocnym mieszkańcom, że bariery są podnoszone dziesięć minut po zamknięciu budynku na całą noc, w związku z czym uprasza się o wcześniejsze załatwienie swoich potrzeb”

„Czynsz opłaca się z góry w automacie”

„Zarząd zastrzega sobie prawo odmowy dzierżawy akwizytorom produktów Starrzeliusa”

Drzwi otworzyły się na trzydziestym piątym piętrze. Było tak, jakby ktoś zajrzał do robaczywego sera. Ludzie, mężczyźni i kobiety uwijali się niespokojnie, próbując znaleźć trochę miejsca, zanim podniosą się bariery. Spojrzałem na zegarek, miałem dziesięć minut. Ruszyłem ostrożnie i bardzo powoli w drogę, przechodząc w półmroku przez kończyny i tułowia, przepraszając na lewo i na prawo, licząc stopnie... Na siedemnastym przekroczyłem leżące ciało, gdy nagle, z zardzewiałym szczękiem podniosły się bariery, odcinając stopnie siedemnasty i osiemnasty, ze mną i...

Usiadła, rozglądając się. Była zła i przestraszona, w rękę trzymała mały pistolet.

– Kathy – powiedziałem. Opuściła pistolet.

– Mitch. Ty głupcze. – Jej głos był niski i przestraszony. – Co tutaj robisz? Nadal cię poszukują, nadal chcą zamordować...

– Wiem o tym – powiedziałem. – Jestem na świeczniku, Kathy. Wkładam głowę w paszczę lwa, by przekonać się naocznie, że naprawdę tak sądziłem mówiąc, że miałaś rację, a ja się myliłem.

– Jak mnie znalazłeś? – spytała podejrzliwie.

– U Jacka O’Shea poczułem jedno z twoich perfum, Menage a Deux. Rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu i zachichotała.

– Naprawdę?

– Odkryjmy karty, Kathy – powiedziałem do niej – Nie przyszedłem tu, by cię obłapiać bez, czy z twoim przyzwoleniem. Przyszedłem, by ci powiedzieć, że jestem po twojej stronie. Nazwij to, a możesz to dostać.

Spojrzała na mnie uważnie i zapytała:

– Wenus?

– Jest twoja.

– Mitch – powiedziała – jeśli kłamiesz... jeśli kłamiesz...

– Przekonasz się jutro, jeśli wyjdziemy stąd żywi. Do jutra nie ma chyba nic więcej do powiedzenia na ten temat, prawda? Jesteśmy tu na noc.

– Tak – powiedziała. – Jesteśmy tu na całą noc.

I nagle namiętnie.

– Boże, jakże mi ciebie było brakowało!

Gwizdki na przebudzenie rozbrzmiały o szóstej. Ich ton zawierał rozsadzające czaszkę częstotliwości, jedno było pewne, żaden śpioch nie będzie przeszkadzał w porannej ewakuacji.

Kathy zaczęła energicznie chować posłanie w schodach. – Za pięć minut opuszczą bariery – rzuciła. Podniosła pokrywę stopnia siedemnastego i wyciągnęła płaską kosmetyczkę.

– Nie ruszaj się.

Zaskowyczałem, gdy brzytwą zacięła mnie nad prawym łukiem brwiowym.

– Nie ruszaj się! – Obcięła bandaż nad czołem. Energicznie dotykała mojej twarzy tu i tam tajemniczymi szczoteczkami.

– Aaaa – powiedziałem, kiedy odwinęła moją górną wargę i podłożyła pod nią mały plastikowy wacik. Dwa lepkie tampony przykleiły moje odstające uszy do głowy.

– Spójrz – powiedziała Kathy i pokazała mi lusterko.

– Dobra robota – powiedziałem. – Kiedyś już raz wydostałem się stąd w rannym tłoku. Myślę, że uda nam się to znowu.

– Opuszczają bariery – powiedziała w napięciu, słysząc zapewne jakieś charakterystyczne dźwięki, niedostępne dla moich uszu.

Bariery opadły. Byliśmy jedynymi nocnymi mieszkańcami na trzydziestym piątym piętrze. Ale nie byliśmy sami. Był tu B.J. Taunton i jego dwaj ochroniarze. Taunton kiwał się nieco na swych nogach, miał czerwoną twarz i obleśnie się uśmiechał. Każdy z jego ludzi trzymał pistolet maszynowy wycelowany we mnie.

Grubas czknął i powiedział:

– Złe miejsce wybrałeś Courtenay, staruszkule, na seksualne polowanie. Mamy fotokomórkę rejestrującą takich ptaszków jak ty. Dziewczynko, czy zechciałabyś uprzejmie odsunąć się...

Nie odsunęła się. Poszła prosto w jego ramiona wtykając mu swój pistolet w pępek. Jego czerwona twarz przybrała kolor kitu.

– Wiesz, że zrobię to bez wahania – powiedziała groźnie.

– Chłopcy – powiedział słabym głosem – rzućcie broń. Na miłość boską, rzućcie broń!

Spojrzeli po sobie.

– No, szybciej – błagał.

Zajęło im to całą wieczność, ale uczynili to wreszcie. Taunton zaczął szlochać.

– Odwróćcie się – powiedziałem im – i połóżcie się na stopniach.

Wyciągnąłem pożyczony rewolwer. Był cudowny.

Windę łatwo można było wypełnić gazem, schodziliśmy na dół schodami. Było to długie, powolne i zmudne zajęcie, chociaż wszyscy nocni mieszkańcy zostali usunięci na kilka

godzin przed akcją Tauntona. Szlochał i paplał coś przez całą drogę. Na dziesiątym piętrze zaczął lamentować.

– Muszę się napić, Courtenay. Umieram. Tu zaraz jest bar, możesz mnie mieć na zawsze...

Kathy zaśmiała się głucho na samą myśl o tym i dalej kontynuowaliśmy powolne, stopień po stopniu, schodzenie. Przy wyjściu dla nocnych mieszkańców, pomimo zimna, zarzuciłem mój płaszcz na trzymającą pistolet rękę Kathy.

– W porządku! – Taunton zawołał drżącym głosem do zdumionego strażnika, który ruszył w naszą stronę. – Ci ludzie są moimi przyjaciółmi. Wszystko jest w całkowitym porządku.

Poszliśmy z nim do wejścia do kolejki miejskiej, w którym zniknęliśmy zostawiając go poszarzałego i spoconego na ulicy. W tłumie było bezpiecznie. Jedyńm sposobem, w jaki mógł nas dostać było wysadzenia całej kolejki, ale nie był na to przygotowany. Kluczyliśmy przez godzinę. Z dworcowego telefonu zadzwoniłem do mego biura. Z oddziałem ochrony zakładowej spotkaliśmy się na innej stacji i piętnaście minut później byliśmy w Wieżowcu Schockena.

Poranna gazeta przyniosła nam sporo radości. Okazało się, że o trzeciej nad ranem wykryto przeciek płynu chłodzącego na klatce schodowej Wieżowca Tauntona. Sam B.J. Taunton, ryzykując życie, nadzorował ewakuację nocnych mieszkańców budynku, która odbyła się bez ofiar i w rekordowo krótkim czasie.

Nad tacą ze śniadaniem na moim biurku powiedziałem do Kathy:

– Twoje włosy wyglądają fatalnie. Czy ta farba się zmywa?

– Dosyć tych zalotów – powiedziała. – Powiedziałeś mi, że mogłabym mieć Wenus, Mitch, a ja mówię serio. I na Boga, Wenus należy do nas. Jesteśmy – my, czyli Consies – jedynymi ludźmi, którzy wiedzą co z nią zrobić i również wylądowaliśmy tam pierwsi. O’Shea jest jednym z nas, Mitch.

– Od kiedy?

– Od czasu, kiedy jego rodzice odkryli, że nie rośnie, dokładnie od tamtego czasu. Wiedzieli, że W.C.A. będzie potrzebował wkrótce pilotów astronautów – im mniejszych tym lepiej. Ziemia nie odkryła Wenus. Zrobiło to W.C.A. I domagało się prawa do jej kolonizacji. Czy możesz nam pomóc?

– Oczywiście – powiedziałam. – Boże, wygląda na to, że nie obejdzie się bez bólu głowy. Mamy już wypełnione listy startowe, pełne frajerów mających ochotę dostać się na Wenus i być eksploatowanym przez Ziemię i Fowlera Schockena. Muszę się tym zająć.

Przez telefon biurowy połączyłem się z Badaniami i Rozwojem.

– Charlie – powiedziałem. – Chodzi o konkurencję z ziemskimi producentami dwutlenku węgla. Zapomnij o tym. Dowiedziałem się, że Taunton opłaca większość producentów.

– Oczywiście, panie Courtenay – powiedział uszczęśliwiony Charlie. – Ze wstępnego rozeznania wynika, że damy im prawdziwego kopa w jaja.

Powiedziałem do Kathy:

– Czy możesz dla mnie przywrócić do życia Runsteda? Nie wiem, gdzie W.C.A. go przetrzymywał, ale potrzebujemy go tutaj. Jest robota do wykonania. Najwyższą sztuką dla redaktora jest przekonanie ludzi, nie uświadamiając im faktu, że są przekonywani. To co muszę zrobić, to spowodować, by moi redaktorzy nie przekonywali ludzi bez uzmysławiania im tego, co ja z nimi robię. Mogę skorzystać z pomocy wysoko postawionej osoby, z którą mam możliwość swobodnie porozmawiać.

– To da się załatwić – powiedziała, całując mnie delikatnie. – To za powiedzenie „my”.

– Hm? – powiedziałem. – Czy ja powiedziałem „my”? Tak, rzeczywiście. Och, słuchaj, kochanie. Jako szef mam na górze elegancki apartament dwanaście na dwanaście. Miałaś ciężką noc. Przypuśćmy, że pójdziesz tam i odpoczniesz sobie przez chwilę. Mam mnóstwo pracy do wykonania.

Pocałowała mnie znowu i powiedziała:

– Nie pracuj za ciężko, Mitch. Do zobaczenia wieczorem.

Rozdział 18

Bez Runsteda nie mogłem niczego zrobić na czas. W odpowiedzi na tajemniczą wiadomość od Kathy wrócił z pobytu w Chinach, gdzie przebywał po nieudanym samobójstwie. Pojawił się w środku posiedzenia Rady; uścisnęliśmy sobie dłonie; wszyscy łatwo przełknęli historyjkę, że zniknął po to, by wykonać jakieś tajne zadanie. Zresztą zdarzyło się to nie pierwszy raz. Wiedział co ma robić i natychmiast zagłębił się w tym po uszy.

Czy był Consie, czy nie, wciąż uważałem Runsteda za szczura. Lecz musiałem pozwolić, by wszystko przybrało właściwy obrót.

Z zewnątrz wyglądało to tak, że Zrzeszenie Fowlera Schockena rozpiśało gigantyczny konkurs sloganów. Było w nim osiemset tysięcy nagród, lecz liczyło się tylko tysiąc pięćset – miejsca w rakiecie na Wenus. Rozstrzygnięcie konkursu powierzono bezstronnej firmie analityków, na czele której, jak się okazało, stał szwagier przyjaciela Runsteda. Matt powiedział mi, że tylko tysiąc czterystu zdobywców nagród było rzeczywistymi członkami organizacji Consies. Pozostała setka to nazwiska zmyślane. Zrobiono to po to, by można było

jeszcze kogoś zabrać w nagłym przypadku.

Wziąłem Kathy do Waszyngtonu. Pojechałem tam po to, by przyspieszyć zezwolenie na lot rakiety, podczas gdy Runsted wykonywał podziemną robotę w New Yorku. Do Waszyngtonu jeździłem stosunkowo często na obiad lub spędzałem tam popołudnie, lecz tym razem zapowiadało się na dwudniowy pobyt. Cieszyłem się z tego jak dziecko. Zakwaterowałem Kathy w hotelu i obiecałem jej nie zwiedzać samotnie miasta, następnie złapałem taksówkę do Departamentu Stanu. Smutny mały człowiek w meloniku czekał w poczekalni, a gdy usłyszał moje nazwisko wstał pospiesznie i zaoferował mi swoje miejsce. Ależ zmiana w porównaniu z czasami w Chlorelli, powiedziałem do siebie. Nasz attache wyszedł podniecony, by mnie przywitać; uspokoilem go i wyjaśniłem o co mi chodził.

– Najłatwiejsza rzecz pod słońcem, panie Courtenay – obiecał. – Spowoduję, by dziś po południu przedstawiono komitetowi autoryzowaną umowę, a przy odrobinie szczęścia przejdzie ona dziś wieczorem przez obie izby.

– Świetnie – powiedziałem wylewnie. – Potrzebne jakieś wsparcie?

– Och, nie sądzę, panie Courtenay. Chyba będzie dobrze, gdy zwróci się Pan do Izby rano, oczywiście jeśli znajdzie pan czas. Byliby radzi słysząc to od pana i mogłoby przygotować drogę do szybkiego przepchnięcia sprawy.

– Cieszę się – powiedziałem, schylając się po moją walizeczkę. Mężczyzna w kapeluszu uprzedził mnie i wręczył mi ją z lekkim ukłonem.

– Zaaranżuj spotkanie, Abels – powiedziałem do naszego przedstawiciela. – Będę tam.

– Dziękuję panu bardzo, panie Courtenay – otworzył dla mnie drzwi.

– Pan Abels? – powiedział mimochodem mały mężczyzna.

Przedstawiciel potrząsnął głową.

– Widzi pan, jaki jestem zajęty – powiedział dosyć uprzejmie. – Proszę przyjść jutro.

Mały mężczyzna uśmiechnął się z wdziękiem i razem wyszliśmy. Obydwaj zatrzymaliśmy taksówkę, a on otworzył mi drzwi. Wiecie jakie są taksówki w Waszyngtonie.

– Czy mogę pana podwieźć? – zapytałem.

– To bardzo uprzejmie z pana strony – powiedział i wsiadł za mną. Kierowca wyprostował się na swoich pedałach i zajrzał do nas.

– Dla mnie Park Starr – powiedziałem. – Ale najpierw proszę podwieźć tego dżentelmena.

– Jasne – skinął kierowca. – Biały Dom, panie prezydencie?

– Tak, proszę – powiedział mały człowiek. – Doprawdy, nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo jestem zadowolony, że pana poznałem, panie Courtenay – kontynuował. Przypadkowo słyszałem pana rozmowę z panem Abelsem, wie pan. To bardzo ciekawe usłyszeć, że rakieta na Wenus jest tak bliska ukończenia. Kongres już w zasadzie zarzucił zwyczaj informowania mnie o tym, co się dzieje. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że są zajęci swymi dociekaniem i tym wszystkim. Ale... Uśmiechnął się i nieco złośliwie dodał:

– Wziąłem udział w pana konkursie, panie Courtenay. Moje hasło brzmiało: „Moje oczy są bardziej gwiazdziste niż gwiazdy”. Nie przypuszczam, bym mógł pojechać, nawet gdybym wygrał.

– Nie wiem, czy mogłoby to być możliwe – powiedziałem szczerze, a potem mniej szczerze dodałam – poza tym, musi być pan tutaj bardzo zajęty.

– Och, niezupełnie. Styczeń jest ciężki, zwołuję Kongres, rozumie pan, i czytają mi Raport Stanu. Ale reszta roku mija powoli. Czy rzeczywiście zwróci się pan jutro do Kongresu, panie Courtenay? Oznaczałoby to wspólne obrady, na które zazwyczaj pozwalają mi przychodzić.

– Będę zadowolony jeśli pan przyjdzie – powiedziałem serdecznie.

Mały człowiek uśmiechał się błyszcząc okularami. Taksówka zatrzymała się; prezydent uściskał mi ciepło dłoń i wyszedł. Wsunął głowę w drzwi.

– Byczy chłop z pana – powiedział bystro spoglądając na kierowcę. – Może to co mówię nie pasuje do mojej pozycji, ale jeśli mogę coś zasugerować, a znam się nieco na astronomii, to coś w rodzaju hobby, to mam nadzieję, że nie opóźni pan startu rakiety poza obecną koniunkturę.

Zamyśliłem się. Wenus była około dziesięciu stopni poza opozycją i oddalała się, lecz nie miało to znaczenia, gdyż większość podróży i tak odbywałyby się z wyłączonym silnikiem.

Podniósł palec do ust.

– Do widzenia, proszę pana – powiedział. Resztę drogi spędziłem wpatrując się we włochate uszy kierowcy i zastanawiając się, co mały człowiek chciał przez to powiedzieć.

Wieczorem Kathy i ja wyszliśmy trochę rozejrzeć się po mieście. Nie odniosłem spodziewanych silnych wrażeń. Słynne kwiaty wiśni były piękne, lecz dzięki moim nowo nabytym przekonaniom uznałem je za zbyt wystawne, wręcz dekadentkie.

– Wystarczyłoby dwanaście – protestowałem. – Wystawianie ich w ten sposób, całymi wazami jest czystym marnotrawstwem pieniędzy podatników. Wiesz ile one kosztują u Tiffany’ego?

Kathy zachichotała.

– Mitch, Mitch – powiedziała. – Zaczekaj aż przejdziemy Wenus. Czy pomyślałeś kiedykolwiek, jakie to uczucie, kiedy ma się całą planetę pod uprawy? Akry i akry kwiatów, drzew – wszystkiego?

Jakiś tłścioch w typie nauczyciela szkolnego, opierający się obok nas o balustradę, wyprostował się nagle, spojrział, pociągnął nosem i oddalił pospiesznie.

– Chyba źle nam życzysz – powiedziałem do Kathy – Zanim wpakujesz nas w kłopoty, chodźmy... chodźmy do hotelu.

Obudził mnie podniecony pisk Kathy.

– Mitch! – wołała z łazienki, dwoje okrągłych oczu spoglądało z niedowierzaniem znad ręcznika owijającego jej ciało – Mają tutaj wannę. Otworzyłam drzwi do kabiny natryskowej,

ale to wcale nie była kabina! Mitch, mogę? Proszę?

Są chwile, gdy nawet zagorzały konserwatysta znajduje przyjemność, występując w roli szefa Zrzeszenia Fowlera Schockena. Ziewnąłem, posłałem jej całusa i powiedziałem:

– Jasne. I... napełnij całą słodką wodą, słyszysz?

Kathy udawała, że mdleje, ale zauważyłem, że nie traciła czasu i zawołała służbę pokojową. Podczas gdy wanna napełniała się, ja się ubierałem. Zjedliśmy wspaniałe śniadanie i trzymając się za ręce spacerkiem poszliśmy do Kapitolu.

Znalazłem dla Kathy miejsce siedzące w boksie dla prasy, po czym skierowałem się do Izby. Szef naszego Waszyngtońskiego lobby przepychał się do mnie poprzez tłum. Wręczył mi pasek przebitki.

– Tu jest wszystko, panie Courtenay – powiedział. – Hm, czy wszystko w porządku?

– Jak najbardziej – odpowiedziałem i spojrzałem na papier. Był to raport od Dickena, który zajmował się rakieta.

Pasażerowie i załoga są postawieni w stan gotowości. Pierwsi koloniści zostaną zamustrowani o dwunastej czasu wschodnioamerykańskiego, załadunek zakończy się o szesnastej. Statek w pełni zatankowany, bezpieczeństwo i ochrona zapewnione. Nawigator uprzejmie przypomina, że start możliwy jedynie w godzinach przedpołudniowych.

Roztarłem kartkę pomiędzy palcami, rozpadła się na proszek. Kiedy wchodziłem na podium, ktoś pociągnął mnie za łokieć. Był to wychylający się ze swej urzędowej łoży prezydent.

– Panie Courtenay – szepnął z przyklepionym do twarzy uśmiechem. – Mam nadzieję, że zrozumiał pan, co próbowałem panu powiedzieć wczoraj w taksówce. Cieszę się, że rakietka jest gotowa. I... – rozszerzył swój uśmiech oraz uklonił się dokładnie wyćwiczonym ruchem męża stanu, wymieniającego błahe uwagi z dostojnym gościem – pan prawdopodobnie wie to, ale... on jest tutaj.

Nie miałem żadnej szansy dowiedzenia się, kim był „on”. Przewodniczący Izby podszedł do mnie z wyciągniętą ręką, z sali dobiegały oklaski, a ja wymusiłem uśmiech na twarzy. Lecz był to wyłącznie odruch. Gdyby wiadomości o rakiecie dotarły do prezydenta, nie miałbym najmniejszego powodu do uśmiechu.

Fowler Schocken był pobożnym starym hipokrytą, ale Fowler Schocken był także uśmiechającym się oszustem, i gdybym nie robił tego dla Fowlera Schockena, nigdy nie dałbym sobie rady z tą mową. Słyszałem w mych uszach jego głos:

– Sprzedaj im, Mitch, będziesz mógł im wszystko sprzedać, jeśli wbijesz sobie do głowy, że oni chcą to kupić.

I sprzedałem zebranych przedstawicielom dokładnie to, co chcieli mieć. Napomknąłem krótko o amerykańskiej przedsiębiorczości i o domu rodzinnym; zaoferowałem im cały świat

do złupienia, cały świat, a potem cały wszechświat, kiedy dzielni pionierzy Fowlera Schockena otworzą już do niego drogę, przedstawiłem im wizję planet jak z linii montażowej, posiadanych i zarządzanych przez nas samych, przedsiębiorczych amerykańskich przedsiębiorców. Przedsiębiorców, którzy cywilizację uczynili wielką. Bardzo im się to podobało. Aplauz był fantastyczny.

Kiedy opadły pierwsze fale uniesienia, w hallu wciąż stało kilkanaście osób klaszczących w dłonie i proszących przewodniczącego o głos. Mimochodem zauważyłem coś dziwnego, Kathy nie było w kabinie dla prasy. Przewodniczący udzielił głosu siwemu, staremu Colbee, wychudłemu weteranowi, mającemu na liczniku cztery dekady służby.

– Przewodniczący udziela głosu dżentelmenowi z Yummy-Cola.

– Dziękuję bardzo, panie przewodniczący – na twarzy Colbee miał dworski uśmiech, lecz jego oczy przywodziły mi na myśl oczy węża, przypomniałem sobie jak pewnego razu Fowler Schocken skomentował zadziwiającą bliskość stosunków niewolniczej aneksji, którą on reprezentował, wraz z Tauntonem.

– Jeśli wolno mi skierować się do Senatu, chciałbym podziękować naszemu dostojnemu gościowi za starannie dobrane uwagi. Jestem pewien, że wszyscy z przyjemnością wysłuchaliśmy człowieka takiego kalibru i o takiej pozycji.

„Wracaj do szkoły Berliza ze swoją arystokratyczną wymową” pomyślałem kwaśno. Poczulem, że wokół dzieje się coś niedobrego, podczas gdy Colbee grzmiał dalej.

– Za pozwoleniem przewodniczącego, chciałbym zadać naszemu gościowi kilka pytań dotyczących prawodawstwa, które mieliśmy tu dziś rozpatrzyć.

„Rozpatrzyć, doprawdy, ty bękarcie”. Zebrałem myśli. Teraz nawet ci na galeriach pojęli, że coś się święci. Nie potrzebowałem już w ogóle słuchać tego co miał do powiedzenia Colbee.

– Może umknęło państwu uwadze, że mamy szczęście gościć na sali innego wspaniałego gościa. Mam na myśli oczywiście pana Tauntona. – Zamachał wdzięcznie do galerii dla publiczności, gdzie pojawiła się czerwona twarz Tauntona, tkwiącego pomiędzy dwoma postawnymi osobami, które powinienem był zidentyfikować na pierwszy rzut oka, jako jego ochronę.

– Podczas krótkiej dyskusji przed naszym spotkaniem tutaj, pan Taunton był uprzejmy przekazać mi kilka informacji, co do których chciałbym, by pan Courtenay się ustosunkował. Po pierwsze – czy węża stały się teraz stalowe – chciałbym zapytać pana Courtenaya, czy nazwisko George Groby, poszukiwanego za zerwanie kontraktu oraz zabójstwo kobiety jest mu znane. Po drugie, chciałbym zapytać, czy pan Courtenay jest panem Groby. Po trzecie, chciałbym zapytać pana Courtenaya, czy jest prawdą informacja przekazana mi w zaufaniu przez kogoś, komu, jak zapewniał mnie pan Taunton, można absolutnie zaufać, że pan Courtenay jest wysoko postawioną osobistością w organizacji Consies, znanej w większości nam wszystkim, którzy jesteście lojalnymi Amerykanami jako...

Nawet sam Colbee nie mógł usłyszeć swych ostatnich słów. Zgiełk, który powstał, był niczym eksplozja bomby.

Rozdział 19

Gdy patrzę wstecz, wszystko co zdarzyło się podczas tamtego szalonego kwadransa, zamazuje się i znika, jak kształty w wirującym kalejdoskopie. Pamiętam tylko żywe obrazy, zamrożone chwile, które wydają cię nie mieć żadnego związku ze sobą.

Fala pogardy i nienawiści, które mnie zalewały, wykrzywiona twarz siedzącego poniżej prezydenta, krzyczącego coś niesłyszalnego do inżyniera dźwięku, gniewne, omiatające mnie spojrzenie przewodniczącego.

Następnie dziki ruch, powstrzymany grzmącym na całą salę, maksymalnie wzmocnionym głosem prezydenta.

– Ogłaszam zebranie za odroczone – i wyraz twarzy posłów, oszołomionych jego niezwykłą śmiałością. Było coś wielkiego w tym małym człowieku. Zanim ktokolwiek mógł zareagować, klasnął w dłonie – wzmocniony odgłos był jak wybuch bomby atomowej – i odświetnie umundurowany oddział ruszył w naszym kierunku.

– Zabierzcie go – rzucił prezydent ze wspaniałym gestem i nie minęły dwie sekundy, jak oddział otoczył mnie i ściągnął z podium. Prezydent odprowadził nas do samych drzwi. Jego twarz była biała ze strachu, lecz szepnął do mnie:

– Nie mogę tego zrobić wprost, lecz zajmie im to całe popołudnie, zanim dostaną orzeczenie z Sądu Najwyższego. Niech pana Bóg błogosławi, panie Courtenay.

I odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z salą. Nie sądzę, by chrześcijanie za Nerona wchodzili na arenę z większą odwagą.

Moi strażnicy należeli do osobistej ochrony prezydenta, uczciwi ludzie z oficerskiej akademii Brinka. Porucznik ani razu nie odezwał się do mnie słowem, lecz mogłem wyczytać z jego twarzy kontrolowane obrzydzenie, kiedy czytał kartkę papieru, którą wręczył mu prezydent. Wiedziałem, że nie podobało mu się to co mu kazano zrobić, ale wiedziałem, że rozkaz wykona.

Zawieźli mnie na lotnisko i wsadzili do osobistego samolotu prezydenta; zostali ze mną, żywili mnie, a jeden z nich grał ze mną w karty, podczas gdy odrzutowce błyskały za oknami, a my pokonywaliśmy przestrzeń. Tylko nie rozmawiali ze mną.

Był to długi lot w ciężkim, starym luksusowym liniowcu, który „tradycja” przywiązała do

stanowiska prezydenta. Nad lotniskiem straciliśmy nieco czasu, a pod nami mogłem dostrzec niewyraźny pas zbliżającego się mroku. Kiedy podchodziliśmy do lądowania było już zupełnie ciemno. Ale oczekiwanie jeszcze się nie skończyło. Nie skończyła się też niepewność, czy Kathy również wydostała się cała i zdrowa oraz kiedy znowu ją ujrę. Porucznik wyszedł sam z samolotu; nie było go przez długi, bardzo długi czas.

Spędzałem go usiłując odpowiedzieć na pytanie – pytanie, które kiedyś sobie stawiałem, lecz które zawsze odrzucałem. Teraz, mając tyle czasu i przyszłość pełną różnych znaków zapytania, analizowałem je.

Na przykład:

Kathy i Matt Runsted oraz Jack O'Shea razem uknuli, by mnie wysłać na lodowiec. W porządku, to tłumaczyło większość rzeczy, które były dla mnie zagadką. Ale nie tłumaczyło sprawy Hester. Jak również, co najmniej niejasna była w tym wszystkim rola Runsteda.

Consies działali na rzecz podróży kosmicznych, a Runsted sabotował projekt Wenus w Kal-Mex. Nie było co do tego żadnych wątpliwości, miałem przecież zeznanie jego współpracownika. Czy grał na dwa fronty? Runsted pozujący na udającego redaktora Consie, a w rzeczywistości kim był?

Zapragnąłem Kathy z zupełnie nowego powodu.

Kiedy wrócił porucznik, była już północ.

– W porządku – powiedział do mnie. – Na zewnątrz czeka na ciebie taksówka. Biegacz wie, dokąd jechać.

Wstałem i wyprostowałem się.

– Dzięki – powiedziałem z zażenowaniem. Porucznik splunął na ziemię prosto między moje stopy. Drzwi zatrasnęły się, a ja zszedłem z pasa startowego.

Taksówkarz był Meksykaninem. Zadałem mu pytanie, ale nie znał angielskiego. Spróbowałem hiszpańskiego z Chlorelli; rozdziawił usta. Miałem pięćdziesiąt dobrych powodów, dla których, bez wyjaśnienia co się święciło, nie chciałem z nim jechać. Lecz kiedy przestałem o tym myśleć, miałem cholernie duży wybór. Porucznik działał zgodnie z rozkazami. Teraz je wykonał i już widziałem jak jego aktywny, wojskowy mały umysł formułuje raport, który spowoduje, że ktoś przyjedzie, by odnaleźć znanego Consie, Mitchella Courtenaya.

Byłbym dogodnym celem, ciekawe tylko, czy pierwszy dostanie mnie Taunton, czy policja. Nie był to wybór, nad którym warto byłoby się dłużej zastanawiać.

Konsument „gorszej” narodowości jako kierowca – nie ruszyło mnie to, choć powinno. Przeżywałem kolejne warianty przyszłości, dopóki nie zobaczyłem migotania gwiazd na masywnym pocisku znajdującym się przede mną. W jednej chwili zrozumiałem, że znalazłem się w Arizonie i pojąłem, co prezydent zrobił dla mnie,

Oddział Pinkertonów z naszej własnej straży zakładowej otoczył mnie i poprowadził pomiędzy budkami wartowniczymi, przez pas zaoranej ziemi, do samej rakiety. Dowódca

pokazał mi półksiężyc, który zrobił z kciuka i palca wskazującego i powiedział:

– Jest pan teraz bezpieczny, panie Courtenay.

– Ale ja nie chcę lecieć na Wenus – powiedziałem. Zaśmiał się głośno.

Pośpiech i czekanie. Długi, ponury lot był zastojem; wszystko co działo się przed i po nim było wypełnione szalonym ruchem, ruchem nad którym nie panowałem nawet na tyle, by zebrać myśli. Również i tutaj nie dano mi tej szansy, poczułem jak ktoś schwycił mnie z tyłu za spodnie i wciągnął bezceremonialnie do środka. Tam zostałem, bardziej zaciągnięty niż zaprowadzony do hamaka przeciwprzeciążeniowego, przywiązany i pozostawiony sam ze sobą.

Hamak kołysał i trząsł się, a dwunastu tytanów uciskało moje piersi. Żegnaj Kathy, żegnaj Wieżowcu Schockena. Czy podobało mi się to czy nie, leciałem na Wenus.

Lecz nie było to pożegnanie z Kathy.

To właśnie ona przyszła mnie odwiązać, gdy wyszliśmy w przestrzeń kosmiczną i skończyły się przeciążenia.

Wstałem z hamaka i stanąłem nieważki na chwiejących się nogach, pocierając kark. Otworzyłem usta, by wypowiedzieć zdawkowe powitanie. To, co się z nich wydobyło było piskliwym.

– Kathy.

Nie było to znakomite powitanie, ale nie miałem czasu na wspaniałą mowę. Nasze usta były zajęte.

Kiedy zrobiliśmy wreszcie przerwę dla złapania oddechu, powiedziałem:

– Jakie alkaloidy umieszczono w tym produkcie? – lecz pozostało bez odpowiedzi. Chciała być całowaną, więc to zrobiłem.

Całowanie w tej pozycji i w stanie nieważkości było trudnym zadaniem. Za każdym razem, gdy poruszyła się zbyt gwałtownie unosiliśmy się nad podłogą. Na szczęście włączono silnik, który nadał statkowi ruch obrotowy i zyskaliśmy niewielkieciążenie.

Usiedliśmy. Po chwili zaczęliśmy rozmawiać.

Wyprostowałem się i rozejrzałem wokoło.

– Ładnie tu wszystko urządziliście – powiedziałem. – Muszę zadać ci parę pytań, które od dawna chodzą mi po głowie. Dwa pytania. – Powiedziałem jej, jakie.

Wyznałem jej wszystko o sabotującym w San Diego Runstedzie, o projekcie Wenus i zamordowaniu Hester.

– Och, Mitch – powiedziała. – Od czego mam zacząć? Czy pamiętasz w jaki sposób zdołałeś dostać się do najwyższej klasy?

– Chodziłem do szkoły wieczorowej... nie? Więc słucham.

– No dobrze. Powinieneś móc to sobie wyobrazić. Oczywiście, my Consies pragnęliśmy podróży kosmicznych. Rasa ludzka potrzebuje Wenus. Potrzebuje niezatrutej,

niezaśmieconej, niewyeksplloatowanej, niesplądrowanej, nie...

– Och – skrzywiła się.

– ...nieobrabowanej, niezdewastowanej... zresztą, wiesz. Oczywiście potrzebny nam był statek, by tam się dostać. Ale nie chcieliśmy mieć na Wenus Fowlera Schockena. Ani również Mitchella Courtenaya, dopóki ten był facetem, który wypatroszyłby Wenus za dodatkowe megadolary. Nie ma wokół mas zbyt wielu planet, na których mogłaby rozwijać się nasza rasa, Mitch. Nie mogliśmy dopuścić, by projekt Wenus Fowlera Schockena powiódł się, tak jak on to sobie zaplanował...

– OK – powiedziałem, trawiąc jej słowa. – A Hester?

Kathy potrząsnęła głową.

– Sam sobie odpowiedz – powiedziała.

– Nie znasz odpowiedzi?

– Oczywiście, że ją znam. Nie jest trudna.

Przymiłałem się, lecz bez rezultatu. Tak więc znowu zacząłem ją całować, aż do chwili, gdy przyszedł jakiś wścibski typ z naszywką oficera pokładowego na ramieniu. Uśmiechnął się.

– Hej ludzie, nie chcecie popatrzeć na gwiazdy? – spytał się tak, jak pilot wycieczki.

Nie znosiłem tego. Oczywiście, nie chodziło o to, że należał do określonej klasy – oficerowie pokładowi zawsze zachowują się nieco ponad pasażerów. Zresztą nie można mu było odmówić wdzięku, a przynajmniej winić go za to. Właściwie... właściwie...

Nagła myśl spowodowała, że zatrzymałem się na chwilę. Przywykłem, że do tej pory należałem do pierwszej kategorii. Wcale nie było zabawne być jednym z tłumu. Szybko przebiegłem w myślach całą znaną mi ideologię Consies. Nie, nigdzie nie było niczego, co mogłoby wskazywać, że miałbym jakąś szansę być tytułowanym, lub by moje potrzeby były lepiej zaspokajane.

Witaj Kathy, żegnaj Wieżowcu Schockena.

W końcu poszliśmy na górę, do przedniego luku obserwacyjnego. Wszystkie twarze były mi obce.

Na statkach lecących na Księżyc nie ma okien, wyposażono je w radary, macki i czujniki, poświęcając estetyczny, lecz bezużyteczny gwiazdny spektakl na rzecz większej wytrzymałości. Nigdy przedtem nie oglądałem gwiazd w przestrzeni.

Błyszczące gwiazdy świeciły na tle pyłu gwiazdnego rozrzuconego pomiędzy nimi. Nigdzie nie było szerszego od mojego kciuka czarnego kawałka przestrzeni, wszystko było jasne, wszystko było w barwach ognistych pasteli. Ognisty pierścień wokół brzegu okna wskazywał kierunek, gdzie było słońce.

Odwróciliśmy się od okna.

– Gdzie jest Matt Runsted? – zapytałem.

Kathy zachichotała.

– Znowu w Wieżowcu Schockena. Odżywia się pigułkami pobudzającymi, próbując rozwikłać zagadkę. Ktoś musiał tam zostać, Mitch. Na szczęście Matt ma twoich zastępców. W Waszyngtonie miał czas na rozmowy; będzie miał dużo pytań do zadania, ale wokół siebie nikogo, kto mógłby na nie odpowiedzieć. Wytrzeszczyłem oczy.

– Co na Boga Runsted robił w Waszyngtonie?

– Wydostawał cię stamtąd, Mitch. Po tym jak Jack O’Shea się załamał...

– Po czym?

– O Boże. Posłuchaj, zacznijmy po kolei. O’Shea załamał się. Pewnej nocy wypił za dużo i nie mógł znaleźć wolnego miejsca na ramieniu do wbicia igły i poderwał najniewłaściwszą pod słońcem dziewczynę do zwierzeń. Pocięli go nieźle. Wszystko o tobie, wszystko o mnie, i o rakiemie, dosłownie wszystko.

– Kto to zrobił?

– Twój wspaniały i dobry przyjaciel, B.J. Taunton – Kathy ze złością przypaliła papierosa. Mogłem odczytać jej myśli. Mały Jack O’Shea, sześćdziesiąt funtów galaretowatej porcelany i topionego wosku, trzydzieści pięć cali pokręconych jelit i tranu. W ciągu ostatnich kilku tygodni były chwile, gdy go nie lubiłem. Odwołałem je wszystkie, całkowicie wymazałem z pamięci, kiedy myślałem o tym kruchym, małym człowieczku w rękach goryli Tauntona.

– Taunton dowiedział się wszystkiego, Mitch – powiedziała Kathy. – Wszystkiego, co miało znaczenie. Gdyby Runsted nie miał podsłuchu w pokoju przesłuchań u Tauntona, nie dowiedzielibyśmy się tego na czas. Ale Matt miał czas pojechać do Waszyngtonu, ostrzec mnie i prezydenta – och, on nie jest Consie, prezydent, ale jest dobrym człowiekiem. Nic nie mógł poradzić, że urodził się urzędnikiem. No... i oto jesteśmy tutaj.

Przerwał nam kapitan.

– Pięć minut do korekty – powiedział. – Lepiej udajcie się do swoich hamaków. Przeciążenie podczas korekty pewnie nie będzie wielkie – lecz nigdy nic nie wiadomo.

Kathy skinęła głową i odprowadziła mnie do kajuty. Wyjąłem papierosa z jej ust, zaciągnąłem się nim i oddałem z powrotem.

– Co z tobą, Mitch? – zapytała.

– Nawróciłem się – powiedziałem. – Och, Kathy. Jeszcze jedno pytanie. To nie jest przyjemne pytanie.

Westchnęła.

– Tak samo jak to, co było pomiędzy tobą a Hester – powiedziała.

– Co było między Jackiem... a – zapytałem.

– Słyszałeś. To, co było między Jackiem a mną było tym samym, co między tobą a Hester. Tylko jednostronne. Jack kochał się we mnie, lub coś w tym rodzaju. Ja nie – i gwałtownie dodała. – Zawsze byłam zbyt szaleńczo i głupio zakochana w tobie.

– Och – powiedziałem. Wydało mi się, że nadszedł moment, by pocałować ją znowu, ale

mnie odepchnęła. Rozbiłem sobie głowę o ścianę korytarza.

– Aj – wrzasnąłem.

– To właśnie dlatego tak zacząłeś szaleć, niech cię – mówiła. – Jack pragnął mnie, ale ja ani przez chwilę nie chciałam nikogo prócz ciebie. A ty nigdy ale zadałeś sobie trudu, żeby sobie to wyobrazić. Nigdy nie zdawałeś sobie sprawy, jak bardzo troszczyłam się o ciebie, o wiele bardziej niż Hester. Biedna dziewczyna. Któż mógł przypuszczać, że nigdy nie mogła mieć ciebie. Mój Boże, Mitch, dlaczego jesteś tak bardzo ślepy naprawdę?

– Hester była we mnie zakochana?

– Tak, do diabła! A dlaczego niby popełniła samobójstwo? – Kathy tupnęła nogą, od czego uniosła się nieco nad podłogę.

Potarłem czoło.

– Coś takiego – wymamrotałem oszołomiony.

Przerwał nam brzęczyk.

– Do hamaków – powiedziała Kathy, z oczu popłynęły jej łzy. Przytuliłem ją i objąłem ramieniem.

– To jest cholerne, obrzydliwe zajęcie – powiedziała mi do ucha. – Mam dokładnie jedną minutę na pocałunek i makijaż, przejście z tobą przez liczne pytania i danie na nie odpowiedzi, lekką sugestię, że dysponuję własną kabiną z dwoma hamakami i na przymocowanie nas obojga do nich.

Wyprostowałem się błyskawicznie. – Minuta to bardzo dużo czasu, kochanie – powiedziałem.

Nawet bardzo dużo.

Posłowie

Planując serię książek, mającą zaprezentować kanon powieści science fiction, od razu pomyślałem o „Handlarzach kosmosem” spółki autorskiej Pohl – Kornbluth. To książka, która zdążyła u nas obrosnąć legendą, ale wydana piętnaście lat temu w obiegu „klubowym”, trafiła tylko do wąskiego kręgu odbiorców. Poza tym najwartościowsza jej warstwa – w satyryczny sposób krytykująca konsumpcyjny model społeczeństwa amerykańskiego – nie bardzo mogła trafić do polskiego czytelnika, borykającego się z socjalistycznym systemem zaopatrzenia sklepów, który de facto oznaczał brak takowego zaopatrzenia w jakiegokolwiek produkty (poza octem, którego było w nadmiarze przez cały rok, oprócz okresu grzybobrania).

Wydaje mi się, że po dziesięciu latach życia w realiach gospodarki rynkowej, postępującej amerykańskiej kultury i stylu życia, co przekłada się na inwazję hamburgerów i frytek, wszechobecną reklamę, kult pieniądza oraz pragnienie osiągnięcia sukcesu za wszelką cenę, jesteśmy już w stanie tę powieść prawidłowo odczytać.

Pohl i Kornbluth napisali „Handlarzy” w 1952 roku, jako odpowiedź na powstający właśnie konsumpcyjny model życia amerykańskiego społeczeństwa. Pierwsza połowa lat 50. to okres budowania powszechnego dobrobytu Ameryki – wzbogacone na II wojnie światowej i dostawach dla odbudowującej się po zniszczeniach wojny Europy Zachodniej, Stany Zjednoczone rozwijały się błyskawicznie, pozostawiając resztę świata daleko w tyle na długie lata. To czas, gdy narodziły się sieci barów szybkiej obsługi, czas rozwoju reklamy telewizyjnej i wzrostu udziału mediów w każdym aspekcie życia Amerykanów, czas powszechnej dostępności towarów, które nam, mieszkańcom Europy Środkowej, jawiły się jako zbyt kosztowne luksusy: samochodów, pralek, robotów kuchennych i telewizorów kolorowych. Pomimo zagrożenia ze strony Związku Sowieckiego i widma zimnej wojny, Amerykanom wydawało się, że ich styl życia jest najlepszy z możliwych, a rozwój będzie trwał wiecznie.

Innego zdania byli autorzy „Handlarzy kosmosem”, oczerniając i wyśmiewając amerykańską wiarę w wieczny postęp. Zrobili to w niezwykle obrazowy i celny sposób, co zauważył już Stanisław Lem w „Fantastyce i futurologii”. W tym monumentalnym dziele nie zostawił suchej nitki na amerykańskiej science fiction, ale o kilku książkach wyrażał się pozytywnie. Jedną z nich byli „Handlarze kosmosem”. Lem zrugął co prawda autorów za banalną – jego zdaniem – sensacyjną fabułę i styl, ale chwalił prognostyczną i trafną wymowę powieści.

Nie zgadzam się z Lemem, że fabuła „Handlarzy kosmosem” to słaba strona tego dzieła. Według mnie jest atrakcyjna (choć dzisiaj trąci już nieco myszką), po prostu spełnia wymogi literatury popularnej, jaką była, jest i będzie science fiction. Fantastyka ma nie tylko uczyć, przestrzegać, prognozować, budować i przedstawiać światy przyszłe i alternatywne w sposób, który może się ziścić z „niezerowym prawdopodobieństwem”, ale także bawić. Inaczej fantastyka nigdy nie zdobyłaby takiej popularności. I takie powieści będziemy w „Kanonie” przedstawiać.

Autorzy przedstawili bardzo ponurą wizję przeludnionego i zdewastowanego świata. Brak paliwa spowodował, że auta zastąpiono rykszami, jedzenie wyparły chemicznie preparowane odpady, woda jest reglamentowana, podobnie przestrzeń budowlana. Światem rządzą wielkie korporacje przemysłowe, ludzie są z nimi związani na całe życie kontraktami, które mają większą wymowę niż przynależność do którejś nacji czy wyznania. Rządy i państwa straciły tym samym rację bytu, prezydent Stanów Zjednoczonych jest tu jedynie marionetką, którą pokazuje się przy okazji specjalnych uroczystości.

Ten system jest chory, ale można go utrzymać przy życiu tylko poprzez dalszą intensywną produkcję i konsumpcję dóbr o wciąż spadającej wartości. Stąd Bóg przyszłości ma na imię Sprzedaż, a jego kapłanami są osoby piszące reklamy, które tę sprzedaż napędzają – copywriterzy, czyli redaktorzy reklam.

Czy Pohl i Kornbluth tak bardzo się pomylili prognozując, w celowo przecież przejawiony sposób, przyszłość Ameryki i świata? Może tylko w sprawie głodu nie mieli racji – Ziemia nadal jest w stanie wyżywić ludzkość, ale żarcie z soi (ta sama breja pod innymi nazwami – flaki z soi, kotlety z soi, ziemniaki z soi) reklamuje się dziś jako tak zwaną zdrową żywność. Może i jest zdrowa, ale smakuje jak Chicken Little z powieści. Kryzys paliwowy pewnie wkrótce zajrzy nam w oczy (Amerykanie już uczynili roponośne pola Teksasu swoją rezerwą paliwową i wstrzymali ich eksploatację), bez reklamy właściwie nie można dziś nic sprzedać, a ponadnarodowe korporacje to dzisiejsza rzeczywistość. Zaś w ruchach ekologicznych czy w ludziach sprzeciwiających się unii walutowej i gospodarczemu zjednoczeniu Europy, dostrzegam załączek „Consies”.

Mieli więc autorzy sporo racji w swych prognozach i w tym tkwi wielkość „Handlarzy kosmosem”.

Wojtek Sedeńko